



Kontynuacja bestsellerowej
Trylogii Starka

Nie Opuszczasz Mnie

Tom 3 trylogii
Stark International

J. Kenner

Nie Opuszczasz Mnie

J. Kenner

Przekład
ANNA SAUVIGNON



Korekta
Agnieszka Deja
Agnieszka Cieślak

Zdjęcie na okładce
© Riyueren/iStock/Thinkstock

Tytuł oryginału
Under My Skin

Copyright © 2015 by Julie Kenner

All rights reserved.

This translation is published by arrangement with Bantam Books,
an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5999-4

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

juras@evbox.pl

Rozdział 1

Jest jakiś spokój w tych chwilach pomiędzy snem a przebudzeniem. Miękkie minuty wydają się rozciągać w godziny, ciepło i łagodnie, jak dar od przyjaznego wszechświata.

Teraz już czuję się bezpiecznie w tej krainie snu. Jest mi dobrze. I chciałabym tu zostać, w kojących objęciach jego silnych ramion.

Ale sny mogą często zmieniać się w koszmary i, gdy tak płynę przez tunel półrealnych rojeń, czuję, jak gdzieś od tyłu sięgają po mnie zimne macki strachu. Krew zaczyna mi pulsować w żyłach, a oddech staje się coraz płytszy. Odwracam się do niego, szukam jego dotyku, ale go nie znajduję. Siadam więc gwałtownie na łóżku, lepka i wilgotna od potu. Serce wali mi tak mocno, jakby zaraz miało rozsadzić żebra.

Jackson.

Nie śpię już. Jestem sama. Do mojej zamroczonej świadomości dociera jedynie wrażenie panicznego lęku. Boję się, ale nie pamiętam dlaczego.

Po chwili jednak wszystko powraca. Odzyskuję przytomność, a wraz z nią zalewa mnie fala wspomnień, przez które najchętniej znów pograżyłabym się w niebycie. Bo żaden koszmar, jaki mógłby zrodzić mi się w głowie, nie będzie gorszy od tej nieubłaganej rzeczywistości, która mnie otacza.

Rzeczywistości, w której mój świat z hukiem rozpada się na kawałki.

Rzeczywistości, w której mężczyzna, którego kocham ponad wszystko, podejrzany jest o morderstwo.

Z ciężkim westchnieniem przykładam dłonie do twarzy. Mgliste pozostałości snu pierzchają i stopniowo wyostrza mi się pamięć. Zanim wysunął się cicho z naszej intymnej bliskości w chłód poranka, musnął mi policzek ustami. Cudownie było wtedy zatonać w poduszkach przesiąkniętych zapachem i ciepłem jego ciała.

Teraz żałuję, że nie wstałam razem z nim, bo przez to budzę się sama. Kiedy jestem sama, ogarnia mnie panika.

Kiedy jestem sama, wiem, że go stracę.

Kiedy jestem sama, zaczynam się bać.

I akurat gdy ta myśl zaczyna niebezpiecznie przybierać na sile, moja samotność pęka, bo drzwi sypialni otwierają się z impetem i do środka wpada ciemnowłosa i błękitnooki promień słońca, który gramoli się na łóżko i zaczyna podskakiwać tak radośnie i energicznie, że śmieję się mimo woli.

– Sylvie! Sylvie! Ja i wujek Jackson zrobiliśmy tosty!

– Tosty? Naprawdę? – Staram się brzmieć dziarsko i wesoło, chociaż lęk oblepia mnie jak pajęczyna. Przytulam Ronnie na powitanie, ale niemal natychmiast o niej zapominam, bo moją uwagę całkowicie przyciąga stojący w drzwiach mężczyzna.

Stoi swobodnie w progu, z rozwichrzonymi od snu włosami i dwudniowym zarostem na twarzy, trzymając przed sobą drewnianą tacę. Ma na sobie jasnoszary T-shirt i flanelowe spodnie od piżamy. Ponad wszelką wątpliwość jest mężczyzną, który dopiero wstał z łóżka. Mężczyzną, którego w tym momencie zaprzęta jedynie śniadanie i urywki porannych wiadomości wypełniających gazetę, którą zatknął sobie pod pachą.

Ale jest przecież czymś znacznie więcej. Jest moją siłą i czułością, podporą i ucieczką. Jest mężczyzną, który zabarwił moje dni i rozświetlił noce.

Jackson Steele. Mężczyzna, którego kocham. Mężczyzna, którego kiedyś próbowałam w swej głupocie zostawić. Mężczyzna, który mnie złapał, a potem przepędził moje demony i tym samym zdobył moje serce.

To właśnie te demony doprowadziły nas tu, gdzie dzisiaj jesteśmy.

Ponieważ Robert Cabot Reed był jednym z nich. A teraz on nie żyje. Ktoś włamał się do jego domu w Beverly Hills i roztrzaskał mu głowę figurką z kości słoniowej.

I nie mogę pozbyć się obawy, że tym kimś był Jackson i że wkrótce będzie musiał ponieść konsekwencje.

Przyjechaliśmy do Santa Fe wczoraj późnym popołudniem, radośni i podekscytowani. Jackson miał zamiar spędzić weekend z Ronnie, a potem w poniedziałek ustalić w sądzie termin posiedzenia w sprawie jego wniosku o formalne uznanie ojcostwa i przyznanie mu praw rodzicielskich nad Ronnie. Ale cały plan wziął w łeb, kiedy po wylądowaniu wpadliśmy na tutejszych funkcjonariuszy policji, którzy poinformowali nas, że Jackson wzywany jest przez policję Beverly Hills na przesłuchanie w sprawie zabójstwa Reeda.

Więc zamiast radosnego spotkania i beztronskiego popołudnia z rodziną, zaczęła się bieganina, wydzwanianie z Nowego Meksyku do Kalifornii i z powrotem, przekrzykiwania prawników i dogadywanie warunków.

W końcu stanęło na tym, że Jackson może zostać w Santa Fe przez weekend pod warunkiem, że zaraz w poniedziałek rano zgłosi się na komisariat w Beverly Hills. Wprawdzie mógł wytargować sobie więcej czasu, bo bez nakazu aresztowania śledczy nie mają żadnej siły przebicia, ale jego obrońca słusznie mu to odradził. Takie uniki nie zjedną mu później przychylności ani ze strony policji, ani opinii publicznej. A dopóki nie wiemy, jakie są oficjalne zarzuty, faktem jest, że motywu do zabicia Reeda mu nie brakowało.

Motyw.

To słowo wydaje się zbyt eleganckie w odniesieniu do Reeda, który był niczym więcej jak nikczemną gnidą.

Nie dość, że wykorzystywał mnie i molestował, gdy byłam nastolatką, to ostatnio zagroził, że opublikuje niektóre z tamtych obleśnych zdjęć, jeżeli nie przekonam Jacksona, żeby przestał blokować produkcję filmu, na którym Reedowi bardzo zależało. Filmu, przez który wyszłyby na jaw różne kłamstwa i tajemnice, i który rzuciłby Ronnie – małe, niewinne dziecko – w sam środek gigantycznego, brudnego, publicznego skandalu.

Czy Jackson chciał zablokować film? O, tak.

Czy chciał uchronić mnie przed koszmarem, na jaki naraziłaby mnie publikacja tych zdjęć w Internecie? Bez wątpienia.

Czy chciał się zemścić na Reedzie za to, co tamten zrobił mi wiele lat temu? Z pewnością.

Czy Jackson zabił Reeda?

Tego jednego naprawdę nie potrafię powiedzieć.

Co więcej, nie mogę nawet zapytać. obrońca Jacksona, Charles Maynard, twierdzi, że ja też najprawdopodobniej będę przesłuchiwana. A partnerkom nie przysługuje prawo odmowy zeznań. Czyli Charles chce, żebym w razie czego mogła zgodnie z prawdą powiedzieć, że za radą swoich prawników Jackson nie rozmawiał ze mną o tym, czy zabił Reeda, czy nie. Ani „tak”, ani „nie”, ani „być może”. Po prostu nic nie wiem.

Nic.

Oczywiście rozumiem, co to znaczy. „Nic” to inaczej „prawdopodobnie”.

„Nic” to inaczej „w ten sposób mu nie zagroisz”.

„Nic” to inaczej „próbujemy uniknąć najgorszego”.

Na samą myśl wstrząsają mną dreszcze. Siadam sztywno, oparta o wezglowie łóżka, i z całych sił przyciskam do siebie poduszkę, przyglądając się, jak mężczyzna, którego kocham, kładzie tacę na stoliku pod wciąż zasłoniętym oknem.

Wykonuje tę prostą czynność z typową dla siebie pewnością i precyzją. Jackson nie jest mężczyzną, który poddaje się okolicznościom i pokornie znosi ataki. Jest mężczyzną, który chroni to, co kocha, a jedno, co wiem na sto procent, to to, że dwie osoby, które kocha najbardziej na świecie, to jego córka i ja.

Nie mam wątpliwości, że mógłby zabić w obronie którejś z nas i ta świadomość sprawia mi nawet pewną, perwersyjną przyjemność. Chociaż podszytą grozą i przerażeniem. Bo Jackson mógłby posunąć się jeszcze dalej i dobrowolnie poświęcić siebie, jeżeli uznalby, że to dla nas za najlepsze. I potwornie się boję, że tak właśnie zrobił.

A jeżeli Jackson pójdzie do więzienia, to naprawdę nie wiem, jak dam radę znieść to poczucie winy.

Podchodzi i siada na skraju łóżka, gdzie natychmiast dopada go trzyletni huragan złakniony łaskotek. Rozjaśnia się i baraszkuje z Ronnie przez chwilę, po czym podnosi wzrok. Mimo uśmiechu w jego niebieskich oczach połyskuje lód.

Wyciągam rękę i chwytam jego dłoń. Ile już razy w ciągu tych kilkunastu godzin od naszego przyjazdu próbowałam znaleźć odpowiednie słowa, żeby go pocieszyć? Ale takich słów nie ma. Mogę zrobić dla niego tylko jedno. Być przy nim.

– Jest coś o tobie? – pytam, wskazując głową gazetę, którą położył na stole.

– Nie, ale to lokalna gazeta z Santa Fe, więc zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

Marszczę brwi.

– Mam sprawdzić?

Nie mówię o gazecie i on o tym wie. Proponuję, że przeszukam Internet i przejrzę plotkarskie portale ze szczególnym naciskiem na Los Angeles, Beverly Hills i morderstwa wśród celebrytów.

Potrząsa głową, a ja nachmurzam się jeszcze bardziej. Wczoraj powiedział mi, że nie chce, żeby cokolwiek zepsuło mu ten weekend z Ronnie i ja, rzecz jasna, to rozumiem. Ale wisi nad nami cień zabójstwa i, czytając plotki, moglibyśmy po prostu lepiej się przygotować.

Już wczoraj usiłowałam go do tego przekonać, ale jestem gotowa spróbować jeszcze raz. Lecz gdy

otwieram usta, Jackson kładzie mi palec na wargach.

– Sprawdziłem dziś rano – mówi łagodnie. – Nic nie ma.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdza. Ścisną moją dłoń, a drugą rękę wyciąga do Ronnie. – Włączyłem tablet i rzuciłem okiem, kiedy ten smyk przygotowywał tosty. Prawda? – pyta, gdy Ronnie pakuje mu się na kolana. – Prawda? – powtarza i zaczyna łaskotać małą, która zanosi się radosnym piskiem i na koniec krzyczy:

– Tak! Tak! – Chociaż jasne jest, że nie ma pojęcia, o czym rozmawiamy.

– Twój świadek nie wydaje się zbyt wiarygodny – mówię z bladym uśmiechem. Jest taki naturalny w roli ojca, a łatwość, z jaką mu to przychodzi, trochę mnie przeraża.

– Być może. Ale zeznania są zgodne z prawdą. – Całuje ją w czubek głowy i przygarnia do siebie z tak rozbrajającą czułością, że ścisną mi się serce.

– Idź no do babci na dwór – mówi Jackson do małej. – Fred pewnie wszędzie cię szuka.

Na wspomnienie o szczeniaku jej niebieskie ślepka, tak podobne do oczu Jacksona, otwierają się szeroko.

– A ty też?

– No pewnie – obiecuje. – Tylko zostanę z Syl, aż wypije kawę i zaraz do was przyjdę.

– I zje tosta – przykazuje Ronnie z powagą, zwracając się w moją stronę.

– W tej chwili – mówię. – Idę o zakład, że to najlepszy tost na caluteńkim świecie.

– Uhm – potakuje, po czym wypada z pokoju jak rakietą.

Jackson patrzy za nią, a ja patrzę na niego. Gdy obraca głowę i zauważa, że mu się przyglądam, przykrywa zmieszanie uśmiechem.

– Czasem aż trudno uwierzyć – mówi – że ona naprawdę jest moja.

Przypominam sobie jej czarne włosy i niebieskie oczy. Myślę o tym, jaka jest bystra, żywiołowa i nieustępliwa.

– E, nie tak znowu trudno.

Wbrew oczekiwaniom nie udaje mi się go rozpogodzić.

– Naprawdę nic nie było?

– Słowo. – Chyba nie wyglądam na przekonaną, bo mówi dalej:

– Policja nie będzie ujawniać nazwisk. Nie przed aresztowaniem. Albo dopiero, gdyby cała sprawa tak się przeciągała, że musieliby zabezpieczyć się przed ewentualnym wyciekiem.

– A wnioskujesz to na podstawie swojego bogatego doświadczenia w kryminale, tak?

– Na podstawie długich lat spędzonych przed telewizorem – poprawia. – Ale wiesz, że mam rację.

Kiwam głową. To brzmi sensownie. Poza tym policja nie wie jeszcze wszystkiego. O ile się orientuję, wiedzą tylko, że Jackson nie chciał dopuścić do produkcji filmu. Cały szantaż i istnienie Ronnie nadal pozostają w ukryciu.

Co wcale nie rozwiewa moich obaw. No bo jeżeli – czy raczej kiedy – cała reszta się wyda, to tylko jeszcze bardziej pogrąży Jacksona.

– W porządku? – pytam.

To głupie pytanie zawisa między nami jakoś dziwnie niepotrzebne i ja czuję się dokładnie tak samo.

Potrząsa lekko głową.

– Nie – przyznaje.

Muska mnie palcami po policzku, studiuje moją twarz i szuka mojego wzroku. Z początku z oczu bije mu bezradność, ale zaraz potem pojawia się w nich zapał i pragnienie zogniskowane wprost na mnie. Nie ma tu żadnych pytań czy prośby o pozwolenie. Po prostu przesuwając mi rękę za głowę, przyciąga mnie do siebie i pochłania moje usta językiem.

Poddaję mu się bez wahania, nie tylko moje usta, ale też całe moje ciało. Cała jestem jego, bez względu na to, do czego akurat musi mnie wykorzystać.

Całuje mnie głęboko, pieszcząc i smakując językiem. Czuję na ustach pełen pasji płomień jego warg.

Nie kochaliśmy się wczoraj wieczorem, byliśmy zbyt zmęczeni podróżą, emocjonalną huśtawką po przyjeździe i całkiem pochłonięci spotkaniem z rodziną i Ronnie.

I trochę dlatego oczekuję teraz czegoś więcej niż tylko dzikiego, pożądanego pocałunku. Mam nadzieję, że zaraz poczuć jego dłonie na piersiach i usłyszę jego urywany oddech, gdy powali mnie znów na łóżko, a sam wstanie, żeby zatrzaskać drzwi i zamknąć je na zasuwkę. Potem wróci, a materac ugnie się pod jego ciężarem, po czym rozlegnie się elastyczny dźwięk rozciąganej bawełny, gdy zedrze ze mnie majtki.

Czekam, żeby poczuć na sobie ciężar jego ciała i pozwolić mu ściągnąć sobie przez głowę T-shirt, w którym śpię, i omotać mi nim nadgarstki.

Wyobrażam sobie moją napiętą skórę po wewnętrznej stronie ud, kiedy rozłoży mi nogi, i krótki opór mięśni, gdy wsunie się we mnie jednym, zdecydowanym ruchem, żeby potem zatracić się w tej dzikiej napiętości, której tak potrzebuje i pragnie.

Spodziewam się tego wszystkiego, bo dobrze go znam. Życie wymyka mu się z rąk, a Jackson jest mężczyzną, który nie tylko lubi mieć wszystko pod kontrolą, ale też sam sobie tę kontrolę przywłaszcza. Nie jest kimś, kto bezwolnie daje się ponieść fali wydarzeń. On walczy. Zdobywa. Panuje.

„Seks daje mi poczucie kontroli”.

Tak kiedyś powiedział. A potem udowodnił mi to wiele razy.

A mimo to nie szuka mnie teraz. Nie domaga się. Nie bierze.

Wypuszcza mnie z objęć i wstaje, a ja czuję, jak wzbiera we mnie strach. Nie patrzy na mnie, ale odwraca się i podchodzi do okna, przeczesując włosy palcami.

– Jackson?

Nie reaguje. Stoi przygarbiony, odwrócony do mnie plecami. I dam głowę, że nawet mnie nie usłyszał. Bo i niby jak? W tej chwili dzielą nas przecież całe lata świetlne, a nie kilka metrów nagiej, drewnianej podłogi.

Przed sobą ma stół, na którym ciągle stoją moja nietknięta kawa i tost. Odsuwa tacę na bok i rozwiera zasłony, wpuszczając do wnętrza światło poranka.

Jesteśmy w domu Betty Wiseman, prababci Ronnie ze strony matki. To bardzo zamożna rodzina, a posiadłość w Nowym Meksyku to tylko jedna z ich letnich rezydencji, raptem pięćset metrów kwadratowych powierzchni. Ja i Jackson dostaliśmy pokój w tylnej części domu. Kiedy wczoraj wieczorem wyjrzałam przez okno, aż mi dech zaparło na widok skalnych wzgórz w malowniczej, jesiennej scenerii. Zieleń traw i sosen. Brunatnoczerwone liście i skały. No i, rzecz jasna, intensywnie błękitne, bezkresne niebo, jakby wypełniające całą duszę od środka.

Ale stąd, gdzie teraz siedzę nieruchomo, sztywna, skrępowana i trochę wylękniona, widzę tylko niewielki fragment zadaszzonego tarasu i boczne skrzydło budynku. Z mojej perspektywy nie widać zachwycającej panoramy, która roztacza się w tej chwili przed Jacksonem. Myśl o tym, jak różne mogą być nasze punkty widzenia, napęłnia mnie palącym niepokojem.

Oblizuję wargi, bo czuję się odepchnięta, bezsilna i zagubiona. I tak, trochę też wściekła. Bo, do cholery, nie mogę tak po prostu patrzeć na to, jak cierpi. Zwłaszcza że mogę mu ulżyć.

I w tym właśnie tkwi sedno całej sprawy. Tego się boję najbardziej.

Nie tego, że nie potrafiłabym go pocieszyć, ale tego, że on może zwyczajnie nie chcieć mojej pomocy.

Do diabła z tym.

Odrzucam kołdrę i wstaję. Jego T-shirt, w którym spałam, muska mnie po udach, gdy podchodzę do niego od tyłu. Otaczam go w talii ramionami i przywieram do niego z policzkiem przytulonym do jego pleców. Wdycham jego męski zapach piżma z leciutką nutą płynu do płukania. Pachnie czystością, może nawet trochę higienicznie. Ale na Jacksonie nawet ten zapach jest nieodparcie seksowny.

Trzymam mu dłonie na brzuchu i z łatwością mogłabym przesunąć je niżej, pogłaskać go i poczuć, jak sztywnieje mi w palcach. Głaskać go i pieścić. Rozpalić i zadowolić.

Mógłby wtedy rozochocić się i stwardnieć tak bardzo, że nie pragnąłby niczego więcej poza mną i nie mógłby nawet myśleć o czymkolwiek innym. Mogłabym tak go podniecić, że podniósłby mnie i rzucił na łóżko, a potem oboje dalibyśmy się porwać tej piorunującej eksplozji, w której ogniu i świetle spłonęłyby wszelkie złe duchy, jakie zakradły się niepostrzeżenie między nas.

Ale to też nie to, czego bym najbardziej chciała. Nie do końca. To, czego pragnę, czego potrzebuję, to żeby Jackson sam do mnie przyszedł i wykorzystał mnie tak jak wcześniej, do uzdrawiania ran i odzyskiwania spokoju.

Więc nie zsuwam rąk niżej i nie biorę w garść jego członka, tylko nieporuszenie przylegam do tego mężczyzny, którego kocham i potrzebuję, bo panicznie się boję, że on postanowił odsunąć mnie na bok.

Tak mija chwila, i druga. Z zewnątrz dobiega szczekanie psa na trawniku za domem i cienki, piskliwy śmiech Ronnie, a potem niższe głosy jej prababci i Stelli, dawnej pomocy domowej awansowanej na nianię.

Jackson trwa nieruchomo, aż nagle podnosi rękę i przykrywa moje złączone dłonie, zakleszczając mnie wokół siebie. Zamykam oczy i rozkoszuję się jego silnym dotykiem. Ale wtedy on niezwykle delikatnie rozplata mi palce i wysuwa się z obręczy moich ramion.

Pozbawiona jego ciepła, rozpaczliwie obejmuję się sama. To jednak nic nie daje. Jestem przemarznięta do szpiku kości. Zagubiona, wściekła i przerażona. I bardzo, bardzo samotna.

Robi kilka kroków, siada na brzegu łóżka i drapie się po brodzie. Kiedy podnosi wzrok, wygląda na tak zmęczonego, że cała moja złość i obawa z miejsca wyparowują i chcę tylko za wszelką cenę zdjąć z niego ten straszny ciężar. Podchodzę, kucam przed nim i kładę mu dłonie na kolanach.

Jego uśmiech, chociaż przygaszony, działa na mnie krzepiąco, a kiedy delikatnie przesuwam mi kciukiem po policzku, mam ochotę rozplakać się z ulgi.

– A niech to – mówi w końcu. – Chyba jestem całkowicie rozbity.

– Trochę – przyznaję i dostaję lekki cień uśmiechu w odpowiedzi. – Ale przetrzymasz to. Razem to przetrzymamy.

– Ja tylko chciałem sprowadzić moją córeczkę do domu.

Jego słowa sprawiają, że przenika mnie jakaś niejasna groza. Dopiero po chwili uświadamiam sobie dlaczego.

– Chciałem? – powtarzam.

– Rano zadzwoniłem do Amy. – Jego głos jest głuchy i matowy, jakby celowo wyzuty z emocji.

– Aha...

Amy Brantley jest prawnikiem rodziny w Santa Fe. To ona złożyła wniosek o uznanie ojcostwa i przyznanie mu praw rodzicielskich. Jeszcze jej nie poznałam, ale wiem, że ma zabiegać o wyznaczenie terminu rozprawy jak najszybciej.

– I co powiedziała? Na kiedy planujecie przesłuchanie?

W jego wzroku pojawia się cień.

– Nie planujemy. Postanowiliśmy na razie się wstrzymać.

– Wstrzymać? Ale... – Próbuję zebrać myśli, chociaż w sumie powinnam być na to przygotowana. Wiem przecież, co to znaczy. To znaczy, że on myśli, że nie będzie mógł sam zaopiekować się Ronnie.

– Jackson, Jezu... – Mimo woli w moim głosie dźwięczy rozpacz.

– Nie – mówi i powtarza jeszcze dobitniej: – Nie. Nie mam zamiaru się poddać. Nie odpuszczę. Nie ma takiej opcji. Ale nie będę narażał mojej małej dziewczynki. A co, jeżeli dojdzie do najgorszego i pójdę za kratki? Teraz to Megan jest jej prawnym opiekunem, ale nie będzie nim, kiedy przyznają mi prawa. Myślisz, że – jakby co – sąd w Kalifornii odeśle Ronnie z powrotem do Nowego Meksyku? Do Megan? Do dawnej opiekunki z całą litanią zaburzeń psychicznych, która sama zgłosiła się na leczenie? Albo do Betty, podstarzałej prababci? Może i tak. Ale bardziej prawdopodobne, że skierują ją do rodziny zastępczej. Nie mogę tak ryzykować. Nie ma mowy.

Chcę zaprotestować, przypomnieć mu, ile Ronnie dla niego znaczy. Musi przecież wierzyć, że wyjdziemy z tego obronną ręką. Ale boję się, że w ten sposób tylko jeszcze bardziej dam mu odczuć, jak wiele utracił. Więc mówię jedynie:

– Tak mi przykro.

– Mnie też.

Mam ochotę wślizgnąć mu się w ramiona i mocno go przytulić. Chcę się w niego zapaść. Wdychać jego zapach i czekać, aż jego bliskość rozproszy moje strachy.

Ale on mnie nie przygarnia, a ja nie mogę się zdobyć, żeby pierwsza przebrnąć przez tę czarną, gęstą chmurę między nami. Bo co, jeżeli się ode mnie odsunie?

Więc robię coś zupełnie przeciwnego. Wstaję i przywołuję uśmiech na twarz.

– W porządku. W takim razie, jaki jest plan? Rano musisz być w Beverly Hills, tak? To o której stąd wyjeżdżamy?

Wygląda, jakby ten nagły zwrot w rozmowie sprawił mu ulgę.

– Dziś po południu. Chcę się spotkać z Charlesem i tym nowym prawnikiem przed tym, jak wejdę jutro do jaskini lwa – mówi, mając na myśli Charlesa Maynarda, swojego adwokata i jakiegoś osławionego specja od spraw karnych, którego Charles obiecał zwerbować.

– Dałeś już znać Graysonowi i Darrylowi? – pytam.

Grayson Leeds jest głównym pilotem w Stark International i kiedy Damien zaproponował, żebyśmy

wzięli jeden z jego mniejszych samolotów, przydzielił nam Graysona jako dowódcę i nowo zatrudnionego Darryla w roli drugiego pilota. Początkowo zakładaliśmy, że chłopaki przelecą się dwie godziny do Nowego Meksyku, wysadzą nas i wrócą sobie do Kalifornii. Ale kiedy okazało się, że Jackson musi wracać do Beverly Hills na przesłuchanie, Grayson i Darryl postanowili zostać. Wylegują się teraz w dwóch innych pokojach gościnnych, odpoczywając po niezwykle serdecznym powitaniu Wisemanów wczorajszego wieczoru.

– Właśnie im powiedziałem – mówi Jackson. – Są gotowi do wylotu w każdej chwili. Chciałbym się zbierać zaraz po obiedzie.

– To co tu teraz robisz, w tym pokoju? – mówię, wskazując oczami na okno, po czym wyciągam do niego rękę i stawiam go siłą na nogi. – Jacksonie Steele, marsz na dwór pobawić się z córką. – Podnoszę dłoń i głaszczę go po szorstkim, kłującym policzku. – Dzisiaj tylko trochę, ale to nic. Niedługo będziecie mieli dla siebie mnóstwo czasu.

Przez chwilę mam wrażenie, że będzie się wzbraniał, ale w końcu kiwa głową potakująco.

– Idziesz ze mną?

– Najpierw chcę się wykąpać i ubrać. A! – Biorę do ręki wystygłą już grzanekę. – No i nie mogę się tam pokazać, zanim nie zjem najlepszego tosta na świecie.

Parska naturalnym śmiechem, aż jestem dumna z mojego mało wymyślnego żarciku.

Patrzę, jak wychodzi, a gdy zamykają się za nim drzwi, wracam do okna i czekam, aż ukaze się na podwórzu. Po kilku minutach pojawia się na trawniku, a ja obserwuję, jak macha do Ronnie. Mała i jej szczeniak rzucają się w jego stronę, on chwyta ją w ramiona i obraca w powietrzu cały rozpromieniony.

Na myśl, że to jego szczęście zaraz się skończy, czuję ostre ukłucie w sercu. Bo boję się, że zanim wszystko się wreszcie ułoży, czeka nas ciężka przeprawa.

Gorzej. Boję się, że w ogóle nigdy się nie ułoży.

Kiedy wychodzę spod prysznica, dzwoni mój telefon. Nie znam numeru i przez chwilę mam ochotę go zignorować i złapać dzwoniącego na pocztę głosową. Ale ostatecznie odbieram na wypadek, gdyby to była moja przyjaciółka Cass dzwoniąca na przykład od kogoś znajomego albo Charles z jakiejś kancelarii. Czy choćby mój szef, Damien Stark, który mógłby nagle wyskoczyć gdzieś z Nikki i łapać mnie, dajmy na to, z pokoju hotelowego.

Oczywiście okazuje się, że to żadne z nich.

Za to głos, który odzywa się po drugiej stronie, należy do mojego ojca.

– Sylvia, kochanie, musimy porozmawiać.

Wzdrygam się na ten jego pełen czułości ton, który nieprzyjemnie zgrzyta mi w uszach. Jakbym w ogóle cokolwiek go obchodziła. Jakby mu na mnie naprawdę zależało.

Ale ja go znam.

Wiem, że dzwoni tylko dlatego, że Jackson rzucił mu w twarz prawdę, przed którą bronił się, odkąd miałam czternaście lat – prawdę o tym, że Robert Cabot Reed zagrabił moje życie, a mój ojciec podał mnie temu łajdakowi na tacy i udawał, że niczego nie widzi.

– Sylvia – podejmuje. – Sylvia, porozmawiaj ze mną.

– To nie jest dobry moment. – Mój głos jest pełen napięcia i z trudem udaje mi się wykrzusić poszczególne słowa.

– Zostawiłem ci chyba z dziesięć wiadomości, ale nie oddzwoniłaś.

– Więc postanowiłeś mnie podejść i zadzwonić z nieznanego numeru?

– A co miałem zrobić? Muszę z tobą pomówić.

– Ty musisz? – Moje słowa zawisają w przestrzeni, ciężkie i skondensowane. Dwa zwykłe wyrazy, które wydają się smutnym podsumowaniem całego mojego makabrycznego dzieciństwa.

– Musimy – prostuje szybko. – My musimy porozmawiać. O Reedzie. O tym, co się stało. O tych zdjęciach, którymi cię szantażuje.

– Nie mogę. – Potrząsam głową, z całych sił próbując nie dopuścić do siebie tego, o czym mówi i wyprzeć ze świadomości tamte wydarzenia. Ale na próżno. Podłoga zaczyna uginać się pode mną i muszę przytrzymać się lady, żeby nie upaść.

– Nie możesz unikać mnie w nieskończoność.

Owszem. Mogę. Ale nie jestem w stanie tego wyartykułować. Nie w tej chwili. Nie, kiedy gardło zaciska mi się w ciasny supeł, pokój spowija dziwnie mglista szarość, a podłoga zaczyna przechylać się na bok, jakby chciała pozwolić tym upiorom z przeszłości łatwiej się do mnie dobrać.

– Sylvia, musimy porozmawiać. Naprawdę. – Jego głos brzeczy gdzieś daleko, jak odległy hałas, który mnie nie dotyczy. Nie chcę już tego słuchać.

Nie mogę. Nie mogę. Nie mogę. Nie mogę.

Nie wiem, czy faktycznie wypowiadam te słowa, czy one tylko rezonują mi w głowie. Jakoś jednak udaje mi się nakierować palec na odpowiedni klawisz i skończyć połączenie, a zaraz potem telefon wypada mi z dłoni. Nogi załamują się pode mną i nagle leżę na podłodze, skulona, z kolanami pod brodą. Zamykam oczy i zwijam się, kołysząc miarowo w przód i w tył. Z całych sił próbuję pokonać panikę i wspomnienia, które napierają na mnie ze wszystkich stron i zaraz wessą mnie w głąb.

Nienawidzę tego – tego lęku. Tego poczucia kompletnego zagubienia. Bezsilności.

Tego, że wystarczy wziąć mnie z zaskoczenia, żebym w jednej chwili znowu zapadła się w otchłań przeszłości.

Gdybym wiedziała, że to on, mogłabym się jakoś przygotować. Uruchomić mój mechanizm obronny.

Naprawdę? Mogłabyś? Potrafiłabyś? Czy raczej schowałabyś się przed tym, co on chce powiedzieć? Przed jego głosem?

Czuję w piersi przygniatający ciężar tej prawdy. Bo wiem, że tak by było. Gdybym tylko mogła, ukrywałabym się przed moim ojcem już do końca świata.

Oddycham głęboko i całą siłą woli próbuję wziąć się w garść. Nie ma go. Już po wszystkim. Mogę sama dać sobie z tym radę.

Więcej, muszę sama dać sobie z tym radę.

Nie upłynął jeszcze nawet tydzień, odkąd Jackson powiedział mojemu ojcu, co wyczyniał ze mną Robert Cabot Reed. Nie to, żeby mój ojciec niczego się nie domyślał. To w końcu on załatwił mi sesje z Reedem, kiedy byłam młoda. I pobierał od niego astronomiczne sumy w zamian za moje usługi – oficjalnie za pozowanie do zdjęć – ale to, rzecz jasna nie było tyle warte.

I mimo moich próśb, za nic nie chciał się zgodzić, żeby przerwać te sesje.

Więc tak, mój ojciec doskonale wiedział, co działo się w studiu Reeda, ale nigdy nie przyjął tego do wiadomości. Aż wreszcie Jackson zmusił go nie tylko do uznania faktów z przeszłości, ale i tego, co dzieje się teraz. Tego, że Reed mnie szantażuje i grozi, że upubliczni te odrażające, osobiste zdjęcia, jeżeli nie wyperswaduję Jacksonowi sabotowania produkcji jego filmu.

Od tamtego wieczoru ojciec wiele razy próbował się do mnie dodzwonić, a ja konsekwentnie go unikałam. I nic się w tej sprawie nie zmieni. Jeżeli o mnie chodzi, ten człowiek przestał być moim ojcem w dniu, w którym zawiózł mnie do studia Reeda pierwszy raz. Jeżeli dzwoni, żeby przeprosić, to mam to głęboko gdzieś. A jeżeli chce przebaczenia, to nie ma na co liczyć.

Potrząsam ramionami i klepię się lekko po twarzy, jakbym była ofiarą wypadku, którą trzeba przywrócić do życia. Jeżeli się dobrze zastanowić, to w sumie tym właśnie jestem.

Koniecznie muszę się natychmiast pozbierać, bo Jackson nie może, nie może, nie może zobaczyć mnie w takim stanie. Nie dlatego, że boję się, że nie umiałby mnie uspokoić, ale właśnie dlatego, że na pewno będzie próbował. Bo chociaż sam usiłuje odsunąć mnie od swoich obaw i problemów, wiem, że nigdy nie zlekceważyłby moich. Wręcz przeciwnie, wzięłby jeszcze na siebie mój ból, jakby nie miał dość własnych zmartwień, a na to nie mogę pozwolić. Nie teraz. Nie dzisiaj.

Wiem, że zatajenie przed Jacksonem mojej rozmowy z ojcem to zdecydowanie najwłaściwszy wybór, ale mimo to nie mogę pozbyć się wrażenia, że ten sekret to pierwszy krok na mrocznej drodze prowadzącej coraz dalej od niego. I jeżeli nie zrobię wszystkiego, co w mojej mocy, żeby go przy sobie zatrzymać, ta ciemność mi go odbierze.

Rozdział 2

Proszę pani!

Głos Graysona przebija mi się do świadomości przez gęste kłęby waty zalegające mi w głowie. Podrywam się w panice, z łomoczącym sercem.

– Tak? – pytam. – Wszystko w porządku? Co pan tu robi? Nie powinien pan w tej chwili prowadzić tej maszyny?

Nie lubię samolotów. Latanie powoduje u mnie napięcie i niepokój. Tak naprawdę rozluźniam się dopiero po wylądowaniu, gdy uświadamiam sobie, że jakimś cudem przeżyłam kilka godzin gdzieś wysoko w przestworzach, w rozpędzonej metalowej puszcze. Kiedy więc Grayson uprzedził nas, że nad Nowym Meksykiem i Arizoną rozpętały się burze, zrobiłam tak, jak radzili mi obaj z Jacksonem – wzięłam kilka pigułek na uspokojenie. Zawsze potem robię się trochę śpiąca. Ale tym razem przed wyjazdem Stella podała do obiadu cały dzbanek sangrii, a że wcześniej porządnie się zgrzałam i spociłam, szalejąc z Jacksonem i Ronnie na podwórku, wychyliłam duszkiem więcej, niż powinnam.

Tak że już kiedy wsiadałam na pokład, byłam śnięta. A gdy pigułki zaczęły działać, odpadłam zupełnie. I to, że teraz budzą mnie niespodziewanie, tylko potęguje moją panikę.

– Już dobrze. Wszystko w porządku. – Głos Jacksona brzmi łagodnie i uspokajająco, więc ze wszystkich sił staram się wyluzować. Jesteśmy w samolocie, a ja spałam jak zabita. Jackson wyciąga rękę, a ja garnę się do niego z wdzięcznością i myślę sobie, że koniec końców latanie nie jest przecież takie złe, jeżeli to oznacza, że Jackson będzie uciszał moje lęki, trzymając mnie mocno w objęciach.

Oddycham głęboko i napawam się jego krzepiącą bliskością. Nie zapytałam go jeszcze o tę szarość wypełniającą przestrzeń między nami. Za to jak wyposzczony żebrak karmię się każdym najdrobniejszym przejawem czułości z jego strony. Każdym muśnięciem jego palców na mojej dłoni. Ciepłem jego ręki na moich plecach. Każdym serdeczniejszym spojrzeniem czy uśmiechem w moją stronę.

Ale to za mało. Zawsze świetnie się uzupełnialiśmy, jak dwa kawałki puzzli. A teraz się wydaje, jakby elementy się odkształciły i nie przylegały już do siebie tak idealnie jak wcześniej. To nieprzyjemne poczucie niedopasowania doprowadza mnie do szaleństwa. Nie wytrzymam tego na dłuższą metę i w końcu doprowadzę do konfrontacji. Muszę go powstrzymać, osadzić w miejscu i usłyszeć, dlaczego odsuwa się ode mnie coraz dalej. A potem pozostanie mi już tylko modlitwa o to, żeby nie oddalił się ode mnie jeszcze bardziej.

Ale to nie na teraz. Najpierw muszę się dowiedzieć, dlaczego pilot nachyla się nad moim fotelem zamiast siedzieć na swoim miejscu w kokpicie.

– Nie, naprawdę – mówię, wpatrując się w Graysona spod zmarszczonych brwi. – Dlaczego pan nie siedzi za kierownicą czy drążkiem, czy jak to się tam nazywa?

– Darryl ma wszystko na oku – zapewnia mnie Grayson. – I przepraszam, że panią budzę, ale jest do pani telefon przez satelitę.

– Damien?

– Trent – mówi Jackson. – Proponowałem, że cię zastąpię, ale on koniecznie chce rozmawiać z tobą.

Aj! Staram się stłumić narastający niepokój. Powtarzam sobie, że to przecież nie musi być nic poważnego. Sama ciągle wydzwaniam do Damiena, kiedy jest w powietrzu. To po prostu jeden z wielu sposobów kontaktu. Pewnie Trent czegoś szuka, a Rachel nie wie, gdzie leży. Albo potrzebuje pomocy przy którymś ze swoich projektów, bo sam się już nie wyrabia. I chce na mnie zrzucić jakąś najbardziej żmudną część swojej roboty.

To nie musi od razu być pożar. Bo, daję słowo, w tej chwili mój limit pożarów do ugaszenia jest na wyczerpaniu.

Grayson przynosi mi słuchawki. Zakładam je i czekam, aż wróci do kabiny i przekaże mi połączenie.

Parę sekund później na linii pojawia się głos Trenta Leitera.

– Mam nadzieję, że siedzisz?

– Trent, jestem w samolocie, jak ci się wydaje?

– O, przepraszam, przepraszam – wycofuje się bełkotliwie. Trent nie jest człowiekiem, którego łatwo wytrącić z równowagi, więc już sama nerwowość w jego głosie podrywa mnie na nogi i zaczynam krążyć po kabinie w tę i z powrotem.

„Co?” pyta Jackson bezgłośnie.

W odpowiedzi mogę jedynie wzruszyć ramionami.

– Dobra, Trent, o co znowu chodzi?

– Kurczę – mówi i niemal widzę, jak kuli ramiona. Trent jest atrakcyjnym facetem, chociaż nie należy do tych, którzy zwracają na siebie uwagę w pierwszej kolejności. Ma w sobie jednak pewien chłopięcy wdzięk, którym ujmuje klientów i bardzo umiejętnie to wykorzystuje – wyskakuje z nimi do barów albo na mecze Lakersów, gdzie przy kilku piwach i żywiołowej dyskusji o najświeższych statystykach zrećtnie zdobywa ich sympatię.

Więc to wyraźne napięcie, które słyszę teraz w jego głosie, to jasny sygnał, że z czymkolwiek dzwoni, to nie może być nic dobrego. Gorzej. Jestem niemal pewna, że chodzi o ośrodek i moja wcześniejsza nadzieja, że może trzeba po prostu zapoznać jakiegoś inwestora z projektem Century City, pryska jak bańka mydlana.

Więc tak, jestem podminowana.

– Trent? – naciskam i podejmuję swoją wędrówkę wzdłuż kabiny.

– Sprawa wyciekła – mówi. – Wszyscy o tym piszą.

Akurat docieram pod zamknięte drzwi do kokpitu i odwracam się, z miejsca napotykać czujny wzrok Jacksona. Muszę wyglądać na mocno przerażoną, bo zaczyna podnosić się zaniepokojony, ale powstrzymuję go, potrząsając głową.

– Jaka sprawa? – pytam zduszonym od napięcia głosem. – Jaka sprawa wyciekła?

– „The Business Round-Up” opublikował artykuł – mówi, odnosząc się do lokalnej gazety z Los Angeles. – Nie wiem, skąd się dowiedzieli, ale tekst pojawił się na ich stronie dziś rano i kilka godzin później wszystkie tabloidy podchwyciły temat, a teraz huczy o tym cały Internet.

– O czym? – powtarzam. – Trent, przestań kręcić i mów, o co chodzi.

Ale jeszcze kiedy to mówię, dopadam do mojego fotela i przetrząsam torbę w poszukiwaniu tabletu, żeby zajrzeć na stronę „Round-Up” i przekonać się osobiście. Próbuję połączyć się z siecią, aż mi się przypomina, że powiedzieliśmy Graysonowi, że nie warto nawet uruchamiać Wi-Fi na dwie godziny lotu, bo nic się nie stanie, jeżeli rzeczywistość dopadnie nas dopiero po przyjeździe.

– Piszą, że inwestorzy zaczynają się denerwować. Już wcześniej niepokoiła ich ta historia z Lost Tides – mówi, mając na myśli konkurencyjny kurort, który buduje się w Santa Barbara, zaledwie kilka godzin od mojego ośrodka na Santa Cortez. Też mnie to niepokoi, bo chociaż inicjatorzy nie chcą ujawniać szczegółów, przygotowując grunt pod PR-owy sukces w trakcie otwarcia, to jednak, z tego, co już wiem, wynika, że pomysł powstał na bazie mojego projektu na Cortez. I, szczerze mówiąc, mocno mnie to wkurza.

Trent odkasłuje i ciągnie:

– I ponoć podnoszą się głosy, że skoro architekt Cortez podejrzany jest o zabójstwo, to inwestycja może okazać się ryzykowna.

– Cholera!

Nie pamiętam, kiedy opadłam na fotel, wiem tylko, że w tej chwili siedzę na swoim miejscu, a Jackson nachyla się do mnie z niepokojem wypisanym na twarzy.

„Powiedz”, prosi bez słów.

Tym razem ulegam.

– Wyciekło – szepczę. – Ktoś poinformował media. Wiedzą, że jesteś podejrzany. – Po czym podnoszę głos, zwracając się do Trenta. – Jak to się stało?

– Pewnie jakiś nadgorliwy dziennikarz ma swoje doświadczenia w policji w Beverly Hills. Najprostszy sposób, żeby dotrzeć do najgorętszych afer z udziałem celebrytów, to wziąć trochę kasy i sprawdzić, komu tam najlepiej podsypać.

– Niech to szlag. – Nabieram powietrza i całą siłą woli próbuję zachować spokój.

Jackson siedzi obok i wygląda, jakby zaraz miał rozłupać pięścią kadłub samolotu. Z uwagi na mój lęk przed lataniem nie bardzo mi się uśmiecha taki rozwój wypadków, więc biorę jego dłoń i oplątam palcami. Najchętniej skończyłabym natychmiast tę rozmowę, cisnęła te przekłete słuchawki w drugi kąt kabiny i zaszyła się mu na kolanach. Chciałabym mocno się do niego przytulić, poczuć, jak do mnie przywiera, i po prostu oddychać.

Chociaż to też pół prawdy, bo chciałabym przecież czegoś znacznie więcej. Chciałabym poczuć na sobie jego usta i dotyk jego dłoni. Chciałabym, żeby pomógł mi zapomnieć. Żeby zabrał ode mnie ten strach.

I chciałabym zrobić to samo dla niego.

Ale to nie miejsce na takie rzeczy – jesteśmy w małym, ośmioosobowym samolocie, w którym główną kabinę dzielą od kokpitu jedynie cienkie drzwi.

A poza tym, za bardzo się boję, że Jackson by mnie odepchnął. Delikatnie, łagodnie i z czułym pocałunkiem. Ale skutecznie, a więc jednak boleśnie.

Roztrzęsiona podrywam się znowu z fotela, bo z nerwów nie mogę usiedzieć na miejscu, a przy uchu rozlega mi się niepewny głos Trenta:

– Syl? Jesteś tam? Halo!

– Jestem, jestem. Damien wie?

– Tak.

Na wzmiankę o swoim przyrodnim bracie Jackson też się podnosi. Krzepiącym ruchem przebiega mi palcami po ramieniu i rusza na tył samolotu. Nie tyle nawet chodzi, co cały aż się gotuje. Jakby zassała się w nim cała bezsilna wściekłość i frustracja. Wiem, że aż go roznosi, żeby w coś przywalić. I ze strachem, ale też z ulgą myślę o tym, jak z hukiem eksploduje, gdy wreszcie wysiadziemy z tej przeklętej maszyny. Musi się wylądować. Ja zresztą też, do cholery.

– I? – naciskam. – Co Damien na to?

– Martwi się – odpowiada Trent. – I trudno mu się dziwić. Inwestorzy się wycofują i wszystko się komplikuje. Na razie próbuje ratować sytuację.

– Jak?

– Dallas jest w mieście. Okazuje się, że „Round-Up” sami się do niego odezwali.

Dallas Sykes jest jednym z kluczowych inwestorów w projekcie, a przy tym ulubionym *enfant terrible* tabloidów. Nawet najmniejszy skandal wokół niepokornego spadkobiercy imperium galerii handlowych roznosi się błyskawicznie. Już jego miłosne ekscesy stanowią nieustanną pożywkę dla mediów, które interesują się nim od małego. Każda jego bójka, każde wystawne przyjęcie czy wykroczenie drogowe odbija się szerokim echem, nie wspominając już o jego częstych, tajemniczych zniknięciach, za którymi kryje się najpewniej jakaś obrotna dama.

– Zadzwońię do Damiena – mówię.

– Nie ma potrzeby. On już próbuje wyciszyć całą sprawę. Powiedziałem mu, że będę do ciebie dzwonił.

– A Aiden jest?

– To ja zauważyłem ten artykuł – mówi Trent z irytacją, aż cierpnie mi skóra.

– Przepraszam. Nie miałam na myśli nic złego.

Wiem, czemu jest taki drażliwy. Trent odpowiada za realizację projektów w południowej części Kalifornii. Ośrodek na Cortez powinien więc formalnie być jego. Ale ponieważ to był mój pomysł, Damien postanowił mnie przydzielić ten projekt, co oznacza, że podlegam bezpośrednio Aidenowi Wardowi, wiceprezesowi Stark Real Estate Development, z całkowitym pominięciem Trenta.

– Słuchaj, dziękuję, że mnie uprzedziłeś.

– No, pomyślałem, że lepiej, żebyś mogła się przygotować. Już i tak ciągle się coś tego projektu czepia, bez sensu byłoby go stracić przez jakieś tanie machlojki.

Stracić ośrodek.

Stracić ośrodek?

Doznaję nieprzyjemnego ukłucia i zdaję sobie sprawę, że do tej pory miałam klapki na oczach. Tak bardzo przejęłam się tym, że Jackson mógłby pójść do więzienia, że nie przyszło mi nawet do głowy, że przez to mój projekt mógłby być zagrożony.

Po ciele rozchodzi mi się twarde, zimne uczucie grozy. Zrobiłam dla tego projektu wszystko, co się dało. Ja nim oddycham i żyję. Dla niego zaryzykowałam nawet swoje serce.

Kręcę gwałtownie głową.

– Wykluczone, żebym straciła ośrodek. Nie ma takiej opcji. – Ale nawet kiedy wypowiadam te słowa, nie mogę odpędzić od siebie rozpaczliwego lęku. Nie mam przecież wpływu na media i jeżeli inwestorzy uznają, że udział Jacksona w projekcie im szkodzi, to cała moja dotychczasowa praca rozwieje się jak puch dmuchawca na wietrze.

– Nie to chciałem powiedzieć – zaczyna Trent.

– Nie. – To słowo wystrzeliwuje ze mnie soczyste i nabrzmiące paniką.

– Syl – rozlega się obok miękki, ale zdecydowany głos Jacksona. – Powiedz mi, że musisz kończyć.

Niedługo lądujemy. Nie stracisz ośrodka. Nawet się tym nie gryź.

W słuchawkach słyszę kasłanie Trenta.

– Syl?

– Muszę kończyć – mówię machinalnie.

– Aha, dobrze. Jeszcze tylko jedno: „Round-Up” nie jest jedynym portalem, który o tym pisze. Oni tylko rozpoczęli aferę.

– Wiem. Mówiłeś już.

– Tak, ale chodzi mi o to, że nie piszą tylko, że Jackson jest podejrzany, ale też spekulują na temat możliwego motywu i wszystkich okoliczności.

Robi mi się niedobrze i odruchowo sięgam po rękę Jacksona.

– Motywu? – Z trudem powstrzymuję się, żeby nie przygryźć ust.

– Piszą o filmie. I o pobiciu. O wszystkim, czego w sumie można się było spodziewać – mówi i wyobrażam sobie, jak cały się kurczy.

Prawdę mówiąc, ja też mam ochotę się skurczyć. Jackson lewą ręką wyjmuje mój tablet z kieszeni fotela. Włącza go, po czym klnie pod nosem, bo sygnał nie pojawia się żadnym magicznym zrządzeniem losu.

– Poczytaj sobie sama, jak dolecicie. Damien kazał ci przekazać, że wszystko omówicie razem dziś wieczorem.

– Aha. Dobrze. Oczywiście.

– Dobrze się czujesz?

Nie. Wcale niedobrze!

– Tak, wszystko w porządku. Będzie okej. Dzięki. Dzięki serdeczne za pomoc.

Następuje chwila ciszy, a potem Trent mówi łagodnie, głosem nabrzmiętym z emocji:

– A co myślałaś, Sylvia? Że rzuciłbym cię tym hienom na pożarcie?

– Ja... Nie... – Zaczynam, ale urywam, bo już się rozłączył.

– Mów – prosi Jackson i powtarzam mu wszystko o tekście w „Round-Up” i o Dallasie. – Kurwa – wrywa mu się z głębi serca, a ja wtóruję mu w duchu.

– I co jeszcze? Mówiłaś coś o motywie...

– Nic więcej nie wiem. Chodzi o film i pobicie. To wszystko, co Trent mi powiedział. To, i że sprawa szybko się roznosi. – Lekko kładę mu dłoń na udzie. – Przetrywamy to – mówię z mocą. – Ośrodek. Proces. Wszystko.

Chcę, żeby mi przytaknął i powtórzył za mną. Chcę, żeby wziął mnie za rękę i uścisnął. Chcę, żeby otoczył mnie ramieniem, mocno przygarnął do siebie, i zapewnił, że choćby nie wiem co, to przecież

jesteśmy w tym razem. Chcę być blisko niego, ale to, czego ja chcę, najwyraźniej nie ma tu żadnego znaczenia, bo kiedy Jackson podnosi na mnie wzrok, mam wrażenie, że spoglądam w teleskop od złej strony i to, co powinno być bliskie, staje się naraz bardzo, bardzo odległe.

– Jackson. – Mój słaby szept kryje w sobie błaganie.

Przez chwilę to słowo pozostaje bez odpowiedzi. Siedzi koło mnie, sztywny i daleki, z zaciętym wyrazem twarzy i arktycznie lodowatym spojrzeniem. Narasta we mnie strach i zaciskam kurczowo palce na oparciach fotela, żeby się przed nim bronić. Wprawdzie nic takiego nie powiedział ani nie zrobił, a jednak wiem na pewno, że Jackson nieuchronnie oddala się ode mnie. I nie tylko trudno mi to pojąć, ale też całkiem nie wiem, jak go zatrzymać.

I już mam rozpaczliwie wykrzyczeć jego imię, gdy widzę, jak ramiona mu opadają, a sylwetka wyraźnie się odpręża. Zerka na mnie i na widok ciepłych iskierek w jego błękitnym spojrzeniu zalewa mnie fala obezwładniającej ulgi.

Podnosi ręce i przeczesuje włosy palcami, pochylając się naprzód tak, że opiera łokcie na kolanach i trzyma głowę w dłoniach.

– Jezu, Syl, wszystko spieprzyłem.

Zastygam jak rażona piorunem, niepewna, co ma na myśli. Czy to znaczy, że on zabił Reeda?

Wyciągam rękę, żeby dotknąć jego ramienia, bo potrzebuję naszego fizycznego kontaktu prawie tak samo jak tlenu.

Ale mi się nie udaje.

Bo zaraz potem z wrzaskiem czepiam się fotela, podczas gdy metalowa puszka, w której się znajdujemy, zaczyna podskakiwać jak na trampolinie. Moja torba na ramię leżąca pod nogami ulatuje w górę, odbija się od sufitu i spada na podłogę, a z każdym jej łupnięciem wydaję z siebie kolejną porcję historycznego krzyku.

Urywam, gdy nad naszymi głowami rozlega się szum. To Grayson mówi do nas przez interkom.

– Przepraszam za to – mówi, podczas gdy maszyna powraca do równowagi. – Przy schodzeniu uderzyliśmy w sporą poduszkę powietrzną, ale już wszystko w porządku, za około piętnaście minut będziemy na dole.

Gdy milknie, wypuszczam powietrze, które, jak się okazuje, wstrzymywałam od dłuższego czasu. Próbuję oderwać dłonie od oparcia fotela, ale wydają się jakoś przygwożdżone. Jestem tak przejęta niechybną wizją śmierci, że przez chwilę autentycznie nie wiem, co się dzieje. W końcu wraca mi zdrowy rozsądek i zdaję sobie sprawę, że to Jackson trzyma mnie mocno za rękę. Delikatnie przesuwając mi kciukiem po przegubie i mruży łagodnie:

– Już dobrze, Syl, wszystko w porządku.

Z trudem nabieram powietrza, pełna tak bezgranicznej ulgi, że kręci mi się w głowie.

– W porządku – powtarza, gdy obracam się i patrzę mu w oczy.

Delikatnie podnosi moją dłoń do ust i całuje po palcach.

– Już lepiej?

Oddycham ciężko i kiwam głową, a serce tłucze mi się w piersi gorączkowo.

Uspokaja mnie, tak. I fakt, że mi to pomaga.

Ale to wcale nie znaczy, że mu wierzę.

Rozdział 3

Pan Stark się odzywał? – Mijam hangar J, jeden z prywatnych hangarów Stark International w północnej części lotniska Santa Monica, przeglądając portale społecznościowe i rozmawiając z weekendową asystentką Damiena, Rachel Peters.

Firma posiada tu w sumie dziesięć hangarów oraz strefę rekreacyjną, jak nazywamy budynek, w którym znajdują się biura pracowników, kuchnia i jadalnia, dobrze zaopatrzony bar do dyspozycji przylatujących gości oraz członków załogi, sala wypoczynkowa ze stołem bilardowym i olbrzymim telewizorem oraz dwa prywatne pokoje noclegowe na użytek personelu.

Tam się właśnie kieruję w ślad za Jacksonem, którego Darryl namówił na drinka.

– Jest już po południu – stwierdził. – I, szczerze powiedziawszy, wydaje się, że mały kieliszek dobrze by państwu zrobił.

Powiedziałam, że do nich dołączę, jak tylko skończę rozmawiać, a że w tym samym czasie robiłam jeszcze pięć innych rzeczy, to w końcu zostałam z tyłu. Nie chcę rozmawiać z Jacksonem, dopóki najpierw nie przejrzę mediów społecznościowych. Nie mam złudzeń, że powinniśmy się przygotować na prawdziwą burzę.

– Nie, nic nie mówił – odpowiada Rachel.

Przez projekt na Cortez coraz trudniej mi było obsługiwać biurko Damiena, więc Rachel, która miała pracować tylko w weekendy, zastępuje mnie teraz także w tygodniu, i to częściej niż początkowo zakładaliśmy. Dobrze sobie radzi, a Damien dał jasno do zrozumienia, że mam ją przygotować do przejęcia całości moich obowiązków, jeżeli zostanę menedżerem w dziale nieruchomości.

A ponieważ taki jest właśnie mój cel, wzięłam sobie to szkolenie poważnie do serca. Podstawowa rzecz, jaką Rachel musi zrozumieć, to fakt, że asystentka Damiena zawsze wie, co w danej chwili piszczy w każdym zakątku firmy. Bez tego nie ma szans zagrzać miejsca na długo.

Dlatego też podsuwam teraz:

– Nie mówił nic, ale...

– Ale – podejmuje, chwytając w lot, o co mi chodzi – jakieś piętnaście minut temu dzwonił tutaj Dallas i prosił, żeby zarezerwować mu apartament w Century Plaza.

– O, proszę. Jak sądzisz, co to może znaczyć? – Ja wiem, co to znaczy i w duchu trzymam kciuki, żeby Rachel też się domyśliła.

– Że nie ma zamiaru się wycofywać. Przynajmniej na razie. A nawet jeżeli rozważy taką opcję, to nie rozmawiał o tym z panem Starkiem. Moim zdaniem nie zrezygnuje. To by tylko wkurzyło pana Starka, gdyby Dallas korzystał teraz z jego gościnności, a potem wstrzymał dofinansowywanie. A nikt, nawet Dallas Sykes, nie chce mieć z Damienem Starkiem na pieńku.

– Nieźle – mówię. – Co jeszcze?

– Reszta to już tylko moje przypuszczenia. Być może całkowicie bezpodstawne.

– Na tym polega ta robota, Rachel. Nikomu niepotrzebna jest potulna trusia, co to potrafi tylko spełniać polecenia.

– No tak. Więc obawiam się, że Dallas może nie być dobrym wyznacznikiem tego, co zrobią inni inwestorzy. – Chociaż wygłasza zdanie twierdzące, głos jej podjeżdża do góry, jakby się upewniała.

– W porządku – mówię, skrywając uśmiech, bo przypominam sobie, jak bardzo sama się stresowałam, kiedy przejęłam obowiązki osobistej asystentki Damiena. – Dlaczego?

– Bo on jest zupełnie nieprzewidywalny. Taki tabloidowy rozrabiaka numer jeden. Pozostali nadal mogą chcieć się wycofać, szczególnie po tym, co stało się dzisiaj. Czyli ciągle jesteśmy w dupie.

Wybucham śmiechem na takie podsumowanie, a Rachel po drugiej stronie głęboko nabiera powietrza.

– Nie powiedziałałabym tego w ten sposób przy panu Starku.

– W porządku – uspokajam. – Rozumiem.

Trzeba przyznać, że „w dupie” dość wiernie oddaje nasze położenie.

Rozmawiam z nią ze słuchawkami w uszach, więc mogę w tym samym czasie przeglądać Internet. I chociaż nie mam czasu czytać artykułów, to, co zobaczyłam, upewnia mnie, że Trent się nie mylił. To badziewie jest wszędzie. Sieć aż roi się od czarnych scenariuszy, w których inwestorzy dali się złapać w pułapkę, a projekt ośrodka kończy się spektakularnym fiaskiem. Jackson pewnie też je już widział.

– Chcesz, żeby ci przesłać oświadczenie Nigela?

– Nigela? – powtarzam.

Znam tylko jednego Nigela. To przyjaciel Damiena, który pracuje w Pentagonie i był bardzo pomocny przy zakupie wyspy Santa Cortez pod budowę ośrodka przez Stark Vacation Properties parę miesięcy temu.

– Masz na myśli Nigela Galwaya?

– No, o minach.

Staję jak wryta na płycie lotniska.

– Rachel, o czym ty mówisz, do cholery?

– Trent nic ci nie mówił?

– Trent mówił o przeciekach na temat Jacksona. O spekulacjach dotyczących motywu. Więc jeżeli chodzi ci o miny w przenośni, to okej, mówimy o tym samym. Ale jeżeli nie, to nie mam pojęcia, o czym rozmawiamy. – Mówię bardzo powoli, wyraźnie cedząc słowa.

Czuję skurcz w żołądku, a na skórę występują mi kropelki potu, bo mam nieprzyjemne wrażenie, że wiem, dokąd to zmierza, i nie spodziewam się niczego dobrego.

– Wszyscy inwestorzy dostali e-maile z informacją, że Santa Cortez jest nafaszerowana minami przeciwpiechotnymi pozostałymi po próbnym operacjach wojskowych.

– Ożeż, jego mać – uchodzi ze mnie. Biorę głęboki oddech. – I Nigel wydał na ten temat oświadczenie?

– Aiden i Damien rozmawiali z nim jakąś godzinę temu. Dziwne, że Trent ci tego nie przekazał. Pewnie myślał, że sytuacja jest już opanowana. Bo jest. Serio. To znaczy wszystko może się jeszcze wykrzaczyć, ale...

– Rachel, do diabła, zwolnij i mów od początku, co się wydarzyło.

Ostatecznie dowiaduję się więc wszystkiego. Wygląda na to, że inwestorzy otrzymali nieoficjalną wersję wewnętrznej notatki Pentagonu z propozycją zakopania na wyspie min przeciwpiechotnych z okresu, gdy Santa Cortez służyła jako obiekt szkoleniowy dla morskich jednostek wojskowych. Pomysł ten został ostatecznie odrzucony i żadne miny tam się nie znalazły, co oficjalnie potwierdza Nigel w swoim pisemnym oświadczeniu, które Damien przekazał inwestorom.

Czyli zwykle nieporozumienie, łatwo to wyjaśnić.

Tyle że to nieporozumienie może być zapowiedzią czegoś poważniejszego – ktoś ewidentnie próbuje sabotować ośrodek. I nie zanoszę się, żeby miał prędko odpuścić.

Odkąd do projektu dołączył Jackson, kurort na Cortez co i rusz spotykają jakieś przeciwności. Najpierw wyciek nagrań z monitoringu do mediów. Potem ujawnienie prywatnej korespondencji mailowej. Niby drobnostka, a jednak zżarły mi mnóstwo czasu i nerwów, a w końcu istotnie podkopały ufność inwestorów.

Myślałam, że mam to już wszystko za sobą.

Jak widać, byłam w błędzie.

Proszę Rachel, żeby przesłała mi oświadczenie Nigela, żebym była w obiegu, po czym kończę rozmowę i przyspieszam kroku, bo rozsadza mnie wewnętrzna energia i chcę dogonić Jacksona.

Rozglądam się za nim już od progu. Sala wypoczynkowa świeci pustkami. Tak się składa, że wiem, że tego dnia nie ma w planie innych lądowań, a obsługa normalnie ma w niedzielę wolne, więc zakładam, że znajdę go bez większego trudu. Jednak przy barze kręci się tylko Darryl, Jacksona ani śladu.

– Poszedł do łazienki?

Podchodzę, a Darryl podnosi wzrok. Jest szczupłym mężczyzną o żałośnie pociągłej twarzy, przez co wygląda na więcej niż swoje dwadzieścia osiem lat i zawsze wydaje się śpiący. Ale wiem, że to tylko złudzenie. Wystarczy dobrze się przyjrzeć jego czujnym, szarym oczom, żeby zrozumieć, że Darryl ma wszelkie niezbędne kompetencje i szczerze mu życzę, żeby kiedyś zastąpił Graysona.

– Przed chwilą odjechał. Prosił, żebym odwiózł panią do domu. Powiedział, że ma parę spraw do załatwienia przed wieczornym spotkaniem. – Urywa i przypatruje mi się spod zmrużonych powiek. – To jakiś problem?

No chyba że problem, ale mówię tylko:

– Nie, proszę sobie nie zawracać głowy. Wezmę samochód służbowy, też jeszcze mam coś do zrobienia.

Najchętniej od razu rzuciłabym się w pogoń, ale nie chcę nic po sobie pokazać. Spokojnie więc wchodzę za bar i wyjmuję z lodówki butelkę perriera. Poprawiam torbę na ramieniu, biorę swoją walizkę na kółkach, którą Darryl postawił przy bocznych drzwiach, i niespiesznie opuszczam budynek.

Ledwo jednak wychodzę na zewnątrz, puszczam się biegiem w stronę zastawionego pojazdami parkingu na tyłach. Stark International trzyma tu samochody do użytku klientów, inwestorów, konsultantów i innych osób korzystających z lotniska. Oczywiście, według zasad firmy nie wolno ich brać na prywatne potrzeby, ale w tej chwili jest mi zupełnie wszystko jedno.

Od spotkania z policją w Santa Fe Jackson bawi się ze mną w emocjonalnego kotka i myszkę, a teraz przeniósł grę na kolejny poziom.

Cóż, na jego nieszczęście, nie jestem w nastroju do zabaw.

Wystukuję kod na przymocowanej do ściany kasetce i wyjmuję kluczyki do jaskrawożółtego mustanga. Dopadam do samochodu, odpalam silnik i przy akompaniamencie jego radosnego warkotu, wyprowadzam pojazd z parkingu. To sterowne auto, znacznie bardziej zrywne niż mój pięcioletni nissan, więc liczę, że da radę dogonić Jacksona.

Nie mógł przecież przemknąć przez teren lotniska na pełnym gazie. Chociaż sama mam zamiar olać wszelkie ograniczenia i właśnie dokładnie to zrobić. Oby tylko nie zdążył wyjechać za bramę, bo nie mam najmniejszych szans odnaleźć go w mieście. No ale przecież nie odjechał znowu tak dawno temu, prawda?

Przez należący do Starka fragment lotniska prowadzi tylko jedna, kręta droga, więc Jackson musiał pojechać właśnie tędy. Ale ja znam skrót przez boczny dojazd dla dostawców za hangarami, dzięki czemu może udałoby mi się dogonić go na wysokości bloku C, gdzie obydwie drogi zbiegają się ze sobą.

Nie do końca wiem, co wtedy mam zamiar zrobić, ale jestem gotowa śledzić go dokądkolwiek się tak wyrywa. Bo wiem, że na pewno nie jedzie do domu. Potrzebuje się wyżyć i odreagować. Poczuc, że panuje nad sytuacją, zanim wszystko wokół nie wróci do normy.

Jedyne, czego najwyraźniej nie potrzebuje, to ja, a na myśl, że on nie tylko ode mnie ucieka, ale wręcz wymyka się chyłkiem tylnymi drzwiami, mam ochotę zwinąć się w kłębek i zawyc. Na szczęście złość bierze górę nad strachem. Jestem tak rozgniewana, że aż się gotuję. Poużalam się nad sobą później. Teraz muszę przede wszystkim go znaleźć, potrząsnąć nim i zmusić, żeby wziął się w garść. Bo chyba ma już na głowie dosyć problemów, a ja, do jasnej cholery, nie jestem jednym z nich.

Od tych rozmyślań nakręciłam się do tego stopnia, że nagle okazuje się, że pruję niemal sto pięćdziesiąt na obszarze lotniska.

Dociskam gaz mocniej, aż wskazówka na prędkościomierzu odchyła się jeszcze bardziej. Nie ma ryzyka – ta część lotniska służy głównie do przechowywania samolotów i części maszyn, więc nawet w tygodniu mało kto się tu kręci. Inna rzecz, że i tak wdeptywałam gaz do dechy, nawet gdyby kłębił się tu teraz największy tłum ludzi. Bo w tej chwili w nosie mam wszelkie przepisy. Ten anarchistyczny wybryk ostatecznie mi się jednak opłaca, bo kiedy przelatuję z lewej strony koło samolotów skupionych na płycie hangaru D, spostrzegam za nimi czarny, lśniący punkcik porsche Jacksona.

Jedziemy równo, może nawet go trochę wyprzedzam, ale wciskam gaz jak szalona, nie zwalniając nawet, gdy docieram pod hangar C, i gwałtownie skręcam w prawo, żeby okrążyć budynek od północy i zajeżdżać mu drogę akurat wtedy, jak będzie przejeżdżał.

Walę w kierownicę, jakby od tego samochód mógł jechać jeszcze szybciej. Porsche Jacksona wyłania się z prawej strony, dokładnie kiedy wypadam zza hangaru. Uderzam w hamulce i samochód gwałtownie staje w miejscu, blokując mu przejazd tak, że ledwo udaje mu się wyhamować.

Spinam się w sobie na dźwięk pisku opon i zbyt późno uświadamiam sobie, do czego może dojść, jeżeli we mnie uderzy. Nie chodzi już nawet o to, że mogę zostać ranna, ale co stanie się z jego porsche?

A to by się Jacksonowi bardzo nie spodobało.

Jednak nie czas teraz roztkliwiać się nad porsche. Wyhamowuje dosłownie o włos od mustanga i tak szybko wyskakuje z samochodu i dopada do moich drzwi, że nie mogę opanować okrzyku przestrawu. Wali dłonią w dach, aż podskakuję w miejscu i przez chwilę mam ochotę zablokować wszystkie zamki w drzwiach i skryć się bezpiecznie w środku.

Ale tu nie chodzi o bezpieczeństwo.

Chodzi o to, żeby przebić się do jego zakutego łba.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – napada, kiedy tylko wyskakuję z auta.

Nie odpowiadam. Za to, ku zaskoczeniu nas obojga, biorę zamach i wymierzam mu siarczysty policzek.

Rozdział 4

Co ci znowu odbiło?

– Masz ochotę się bić? – pytam chrapliwym głosem. Czuję dziwny żar i mrowienie na całej powierzchni skóry. Wiem, że stąпам po grząskim gruncie, ale nie mogę się już wycofać. – Musisz spuścić komuś łomot? Wyładować się? Powiedziałam ci już raz, Jackson, i mówiłam poważnie. Wszystko, czego potrzebujesz.

– Potrzebuję być sam.

– Gówno prawda – mówię i podnoszę rękę, żeby znów mu przyłożyć.

Chwyta mnie za nadgarstek i wykręca tak, że muszę się poddać. Teraz to on opiera się plecami o samochód, a ja balansuję niepewnie w pozycji, do której mnie sprowadził, uczipiona jego ramienia.

Puszcza mnie i odsuwa się. Wbija we mnie wzrok i powoli rusza w moją stronę. Ma dzikie oczy. Pełne pasji. Jego twarz staje się niebezpiecznie ostra i kanciasta. Miedziany połysk na kruczoczarnych włosach wygląda jak płomień i ostro kontrastuje z lodowatym błękitem jego oczu.

Oblizuję usta i przełykam ślinę, robiąc jednocześnie krok do tyłu. A potem jeszcze jeden i jeszcze, w miarę jak się do mnie zbliża.

– W co ty pogrywasz, Syl? – Jego głos jest jak sprężyna.

– W to samo, co ty. – Nabieram powietrza. – Cholera, Jackson, naprawdę sądziłeś, że nic nie zauważę? Myślałeś, że dam ci się zepchnąć na bok? Wytłumacz mi – żądam. – Porozmawiaj ze mną. A jeżeli nie chcesz, to mnie przeleć. Umówiliśmy się na coś, Jackson, i prędzej mnie szlag jasny trafi, niż pozwolę ci lecieć obić mordę jakiemuś zbirowi.

– Nie! – Rzuca się ku mnie, aż próbuję znowu cofnąć się z przerażenia. Tyle że nie mam dokąd. Mój mustang stoi zbyt blisko hangaru i właśnie dotarłam do jego zimnej, śliskiej karoserii.

Popycha mnie na samochód. Siła uderzenia wibruje mi w całym ciele i rozbudza energię. Pragnienie. Ale tu nie chodzi o seks – jeszcze nie. Chodzi o porozumienie. O to, żeby do niego dotrzeć. Bo potwornie się boję, że tracę mężczyznę, który z takim uporem walczył, żeby mnie odzyskać.

Przez tyle razem przeszliśmy, on i ja, i nie mogę znieść myśli, że to Robert Cabot Reed mógłby być tym, co ostatecznie nas rozdzieli.

Oboje jesteśmy zdyszani. Obezwładnia mnie w miejscu ramieniem i nagle przychodzi mi do głowy, że sytuacja może naprawdę różnie się rozwinąć i może popełniłam błąd, bo Jackson ma szczególnie gorący temperament i czasami faktycznie musi komuś po prostu przygrzmocić. I zaczynam się bać, że tym kimś mogę być ja.

Przyglądam mu się, jak z trudem kontroluje oddech. Chwyta się władzy jak liny ratunkowej.

– Nie przeginaj, Syl. Nie dzisiaj. Nie teraz.

– Przestań pieprzyć, Jackson. Mieliśmy umowę. Potrzebujesz się wyżyć? Musisz odreagować? Nie idziesz na ring, tak? Przychodzisz do mnie.

– Nie dzisiaj. – Zaciska szczęki, a jego głos też wydaje się jakby uwiązany. Będzie się stawiał, ale ja mam zamiar przycisnąć. Sprowokować wybuch. Żeby mógł się przełamać i wylądować, i w końcu, w końcu, ogarnąć cały ten zamęt, który się w nim skumulował.

– Dlaczego nie? Dlaczego nie dziś?

– Bo nie uciekam, żeby się bić, tylko żeby być dalej od ciebie, do cholery.

Te nieoczekiwane słowa przecinają mnie jak ostrze noża. Zaczynają szczypać mnie oczy i odwracam głowę, mrugając szybko, żeby nie zobaczył, jak mocno mnie zranił. Bo Jackson Steele to jedyny człowiek na całym świecie, który nigdy, przenigdy by mnie nie skrzywdził. Jest moim rycerzem. Moim stróżem. Moim pieprzonym obrońcą.

I wtedy nagle doznaję olśnienia, które niemal zbija mnie z nóg, jak cios, który sama przed chwilą mu wymierzyłam. Już rozumiem. To o to tu chodzi.

Odwracam głowę i patrzę wprost na niego, chociaż on ucieka oczami. Podnoszę rękę i kładę mu dłoń na policzku. Czuję drgnięcie mięśni pod palcami i obserwuję, jak tężeje mu szczęka. Za wszelką cenę stara się zachować panowanie nad sobą, a z kolei ja robię, co mogę, żeby pęknąć.

– Jesteś skończonym idiotą – mówię łagodnie. – Kiedyś poprosiłam, żebyś mnie zostawił, bo wtedy byłeś dla mnie zagrożeniem. Nie pozwolę ci teraz odejść, bo wydaje ci się, że znowu tak jest.

– To ja tu jestem idiotą? – mówi cicho, z groźbą ukrytą w głosie. – Związałaś się z facetem z dzieckiem, który może niedługo wylądować w ciupie. Facetem, przez którego projekt, na którym zależy ci najbardziej na świecie, wali się w gruzy, bo zaraz zapuszczają ci architekta.

– Nieprawda. Najbardziej na świecie zależy mi na tobie.

Krzywi się lekko, a ja mówię dalej.

– Boisz się – ciągnę. – Myślisz, że tego nie rozumiem? Cholera, Jackson, ja praktycznie umieram ze strachu. Nie mogę nawet pomyśleć, że miałabym cię stracić. I nienawidzę całego wszechświata za to, że w ogóle muszę się tego obawiać. I możesz być pewien, że nie przeżyłabym, gdybyś mnie zostawił.

Przypatruje mi się, przewiercając mnie na wskroś niebieskimi oczami i widzę jego wnętrze aż po samo dno duszy. Widzę rozpacz. Wściekłość. Pragnienie. A niech to, nie będę tak stać tu i czekać, aż się zdecyduje.

Ruszam do przodu.

Pocałunek jest brutalny i zapalczywy. Jak emocjonalna walka, którą muszę wygrać. Drażnię go językiem. Kaleczę zębami. Z początku jego wargi są sztywne i odporne. Ale zaraz potem wszystko się odmienia i zaczyna domagać się więcej. Świadomość tego małego zwycięstwa rozlewa mi się po ciele i roznieca we mnie pragnienie, które, jak oczekuję, zaraz zaspokoi.

Kładę mu rękę na karku, przyciągając go bliżej, bo chcę, żeby pogąrzył się we mnie jeszcze głębiej. Ostrzej. Chcę, żeby dał się ponieść, żeby puściły mu wszelkie hamulce. Musimy przełamać ten dystans między nami, ten zimny mur, przez który nie mogłam się przebić.

Powoli zaczyna mi się to teraz udawać i już sama świadomość działa na mnie jak superafrodyzjak.

Odsuwa się, aż mam chęć zawyć z tęsknoty. Lecz gdy spoglądam mu w twarz, widzę żar, siłę i dzikie pożądanie. Jest też pewna groza, ale lubię to.

– Jackson – szepczę.

Tym razem to wystarcza.

Obraca mnie gwałtownie i popycha na zimny metal.

– Tego chcesz? – charczy. – Żeby cię przeleciał? Ulżył sobie? Bo jesteś tu, a mnie tego potrzeba?

Te ostre słowa mają mnie urazić.

Ale ja słyszę to, co tak naprawdę mówi: potrzebuję cię. I, Boże święty, ja tak samo potrzebuję jego.

Patrzę mu odważnie w oczy.

– Tak – mówię. – Poproszę.

Z ulgą i wzbierającym podekscytowaniem patrzę, jak lód w jego oczach topnieje w ogniu. Jestem cała mokra z podniecenia, jakby każda komórka mojej skóry komunikowała się bezpośrednio z moim krocem. I to nie tylko dlatego, że ja po prostu zawsze reaguję tak na dotyk Jacksona, ale świadomość, że jestem mu tak przeraźliwie potrzebna, rozpala mnie do szaleństwa. Pożąda mnie. Jestem mu wręcz niezbędna do funkcjonowania.

Pożera moje usta swoimi, porywczy i drapieźnie. Jego język opanowuje, bierze, posiada mnie, a potem pojawiają się zęby i szarpia mi dolną wargę.

Słyszę jego oddech, ciężki i urywany, tak jak mój. Zadziera mi bluzkę i rozpina przednią sprzączkę biustonosza, aż wydaję okrzyk zaskoczenia i przyjemności. Moje ciało pręży się, domagając się więcej. Domagając się jego.

Powietrze jest chłodne i brodawki sztywnieją mi jeszcze bardziej. Przelotnie muska jedną z nich, prawie niewyczuwalnie.

Ale, matko, jak to na mnie działa! Jakby przyłożył do mnie ładunek elektryczny, którego strumień przelatuje wprost do mojego centrum. Nieoczekiwanie rozdziera mnie dziki, potężny orgazm i rozpadam się na kawałki.

Nie wiem, w którym momencie zamknęłam oczy, ale – gdy je teraz otwieram – widzę, jak Jackson wpatruje się we mnie wygłodniałym wzrokiem. Tak, myślę, jeszcze.

W głowie mam jedynie te dwa wyrazy. Zatracam się w nich do tego stopnia, że nawet kiedy każe mi się obrócić, mój umysł nie reaguje i sam musi ustawić mnie w odpowiedniej pozycji.

– Pochyl się – mówi, zręcznie rozpinając mi guzik w dzinsach. – Ręce na ścianę.

Mam go tuż za sobą i czuję, jak członek rozpycha mu się w spodniach i napiera na moje pośladki.

Rozsuwa mi zamek i obiema rękami ściąga mi spodnie z bioder. Na ułamek sekundy odzyskuję przytomność i uświadamiam sobie, gdzie jesteśmy. Ale, prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Z obu stron zasłaniają nas samochody, a z tej składowej części lotniska i tak nikt nie korzysta.

Poza tym on tego potrzebuje. Ja tego potrzebuję. Gdybym to teraz przerwała, poleciałby zaraz na jakiś cholerny ring albo Bóg jeden wie, gdzie jeszcze, podczas gdy już prawie udało mi się go pochwycić.

Mam dzinsy i majtki na wysokości kolan. Stoję zgięta wpół, z bluzką zadartą na szyję, otwartym stanikiem i piersiami na wierzchu. Jestem niesamowicie mokra. Tak mokra, że gdy wsuwa mi dłoń między nogi i odnajduje łechtaczkę, cała aż wibruję z pragnienia.

Słyszę, jak rozpina sobie rozporek, a potem jego fiut głaszcze mnie po pośladkach. Wydaję przeciągły jęk i próbuję rozstawić nogi, ale ubranie tamuje mi ruchy. Ogarnia mnie szal. Żądza. I gdyby to nie on tutaj podejmował decyzje, najchętniej zdarłabym z siebie wszystko i pieprzyła się z nim choćby na

asfalcie.

– Potrzebujesz tego tak samo jak ja – szepcze. To nie jest ani pytanie, ani stwierdzenie. Brzmi raczej jak pełne zachwyty odkrycie łączności między nami.

– Tak – dyszę. – Jezu, tak.

– Uderzyłaś mnie. – Teraz w jego głosie pobrzmiewa nutka groźby i już sam lubieżny, rozkazujący ton jego głosu przenika mnie ekscytującym dreszczem.

To ja wszystko zaczęłam, ale w cichości liczę, że Jackson przejmie pałeczkę. Chcę zatracić się w jego pragnieniu. Rozpłynąć w rozkoszy poddania. Poza tym wiem, że jeżeli ma nam się udać, to on musi przejąć kontrolę nad sytuacją.

I, Bogu dzięki, robi to.

– Niegrzeczna dziewczynka – mówi przekornie i daje mi lekkiego klapsa w tyłek. – Bardzo niegrzeczna. – Uderza mnie mocniej. I jeszcze raz. I jeszcze.

Z ust wyrывa mi się zduszony jęk, zarówno z bólu, jak i euforii, a gdy rozciera mi piekący pośladek dłonią, po czym wsuwa rękę między nogi i gwałtownie zapuszcza we mnie palce, zaczynam rzeźić z nieposkromionego pragnienia.

Moje mięśnie zaciskają się wokół niego pożądliwie. Na szczęście Jackson też nie myśli na tym poprzestać. Koniec jego członka naciera na mnie od tyłu. Kładzie mi ręce na biodrach i wchodzi we mnie, osadzając mnie mocno w miejscu. Z początku porusza się delikatnie, ale po chwili przyspiesza i wreszcie posuwa mnie dziko i zapamiętale.

Przygryzam dolną wargę, żeby stłumić okrzyk, ale wszystko na próżno, bo pochyła się nade mną i łapie mnie drapieżnie za pierś, a drugą ręką pobudza mi łechtaczkę. Usztywniam ramiona i zapieram się o budynek rozplaszczonymi na ścianie dłońmi, żeby zachować odrobinę przestrzeni, a on najeżdża na mnie bez końca, coraz szybciej i mocniej. Bierze mnie i zaspokaja jednocześnie.

Zatracam się w błogiej świadomości tego, że mnie dotyka i że mnie wypełnia. Że mnie potrzebuje. Wszelkie moje lęki znikają pod wpływem jego brutalnej, zachłannej żądz. On mnie potrzebuje. I, matko, ja tak samo potrzebuję jego.

Jego ciało napina się od wzbierającej eksplozji. Zakleszcza mi palce na piersiach i aż jęczę, gdy bolesna iskra przeskakuje mi z brodawek do krocza. Jestem rozpalona, żądna i gotowa. I gdy każe mi dojść razem z sobą, poddaję się nawet temu, a moje ciało buzuje w porywie cudownej, rozbijającej burzy zmysłów.

Nie pamiętam, kiedy oderwałam ręce od ściany ani kiedy osunęłam się na ziemię. Wiem tylko, że jestem w jego ramionach, z podciągniętymi, ale niezapiętymi spodniami. Moje ciało wrze. Cała powierzchnia skóry jest przyjemnie naelektryzowana.

– Jak dobrze, że cię mam – mówi niskim, chrapliwym głosem. – I że potrafisz walczyć lepiej ode mnie. Nie mogę stłumić uśmiechu. Lecz gdy się odzywam, mówię śmiertelnie poważnie:

– Nigdy nie przestanę o ciebie walczyć. Wbij to sobie raz na zawsze do głowy.

– Chyba już jakoś doszedłem. Do tego.

Wybucham głośnym śmiechem.

– Tak, chyba doszedłeś – mówię i parskamy oboje.

Obejmuje mnie jeszcze mocniej. Wiem, że trzeba by się podnosić. Siedzimy na gołym betonie. W

powietrzu unosi się zapach smaru i benzyny, a w oddali słyhać pomruk samolotów. Ale żadne z nas nie ma ochoty się ruszać. Jeszcze nie. Więc trwamy tak po prostu, wtuleni w siebie nawzajem.

Zamykam oczy, lecz gdy tylko zaczynam odpływać, dźwięk jego głosu przywraca mnie do rzeczywistości.

– Poszedłem tam – mówi, a ja momentalnie tężeję. – Byłem u niego tej nocy, kiedy został zabity.

Jego głos jest suchy i bezbarwny, jakby był na spotkaniu służbowym albo komentował pogodę.

Otwieram oczy i przełykam ślinę, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie jestem nawet pewna, czy chcę tego słuhać.

– Powiedziałem już o tym Charlesowi. Na pewno znajdą ślady – ciągnie. – Odciski palców. Albo nagrania z monitoringu. Kto to może wiedzieć? Ale coś znajdą. – Przyciska usta do mojej głowy. – Nie chcę tylko, żebyś czegokolwiek dowiadywała się ostatnia.

– Okej. – Nie ma sensu mu się sprzeciwiać. Tego jednego się już nauczyłam. Przekręcam się, żeby spojrzeć mu w twarz. – Dlaczego tam poszedłeś?

– A jak ci się wydaje? Żeby napędzić mu strachu. Zagrozić, że jeżeli nie odda tych zdjęć, to gorzko pożałuje.

– I powiesz to na policji?

Jego uśmiech jest tak rozbrajająco czuły, że serce mi topnieje.

– Nie. Jedyne, co ode mnie usłyszą, to że chodziło o film. Ale zdjęcia i to, że ci groził, zostaje między nami. Przymierzam.

Ciągle trzyma mnie blisko przy sobie, ale obejmuję się ramionami, żeby dodać sobie otuchy przed tym, co chcę powiedzieć. Potem biorę głęboki oddech i zbieram się na odwagę:

– Zamierzasz powołać się na piątą poprawkę? Bo jak nie, to będziesz musiał im wszystko opowiedzieć. Jeżeli coś ukryjesz, a oni to znajdą, to się może poważnie później zemścić.

– Skarbie, oni pożą mnie żywcem tak czy siak, wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

– Nie! – Czepiam się kurczowo jego ramienia. – Zobaczysz, że uwolnią cię od zarzutów.

Wydaje dziwny dźwięk, coś pomiędzy śmiechem a prychnięciem.

– Możemy spróbować w to wierzyć, kotku. Ale oboje wiemy, że tak się nie stanie.

– Na pewno tak – upieram się przekornie. I zanim mam czas ugryźć się w język, zadaję to jedyne pytanie, którego nie powinnam: – Zabiłeś go czy nie?

– Co to ma za znaczenie? – pyta. – Machina poszła w ruch, wiemy to chyba oboje.

Przechodzą mnie ciarki. Nie dlatego, że boję się, że Jackson zabił Reeda, ale ponieważ wiem, że ma rację. Nieważne, co się stało. Jeżeli to zrobił, zostanie pociągnięty do odpowiedzialności, nawet jeżeli zabił potwora. A jeżeli nie, to co z tego? Zostanie kolejnym niewinnym skazanym na podstawie swoich złych intencji, a nie czynów.

– Czy to by coś zmieniło? – pyta. – Czy gdybym go zabił, to by coś zmieniło między nami?

– Nie – odpowiadam z mocą, bo musi wiedzieć, że naprawdę tak myślę. Że jakaś mała część mnie ma nawet nadzieję, a może i chce wierzyć, że to zrobił. I że czuję się troszkę onieśmielona, ale i troszkę dumna na myśl, że Jackson mógłby zabić w mojej obronie.

Przymyka oczy na chwilę i widzę, jak uchodzi z niego napięcie. Gdy znowu na mnie patrzy, w jego wzroku maluje się rzadko widywana niepewność.

– Boję się. – Mówi tak cicho, że nawet siedząc tuż przy nim, ledwo go słyszę. – A to nie jest coś, z czym umiem sobie radzić. Chociaż ostatnio coraz bardziej oswajam się z tym uczuciem. Boję się, że cię stracę. Że stracę Ronnie. I wolność.

Słyszę udrękę i rozpacz w jego głosie – w pełni go rozumiem. Przyszłość jego córki i jego własna wolność stoją pod znakiem zapytania, a dla kogoś, kto ma zwyczaj zarządzać swoim życiem, to sytuacja wprost nie do zniesienia.

– Ja wszystko przetrzymam. Wiem to. Ale to nie znaczy, że nie boję się, do czego to doprowadzi. I drażni mnie, że musisz oglądać mnie w takim stanie.

– Nie możesz mnie odsuwać z powodu tego śledztwa. Chyba że chcesz znowu dostać w gębę.

W odpowiedzi dostaję markotny uśmiech.

– Wiem – mówi. – Ale nie chodzi tylko o zabójstwo. Chodzi też o Ronnie. Nie chcę, żebyś widziała, jak się bez sensu miotam.

– Miotasz? – Przypominam sobie, z jakim uwielbieniem garną się do siebie, tak naturalnie, że to nie do pojęcia, i jestem szczerze zdumiona.

– Co ja w ogóle wiem o byciu ojcem? Trudno, żebym brał przykład ze swojego.

– Jesteś dla niej wspaniała – mówię i, chociaż jestem o tym święcie przekonana, wiem, co ma na myśli. Ja też nie planuję dzieci właśnie z tego powodu: moi rodzice tak mi spieprzyli życie, że nie sądzę, żebym umiała sama być matką.

– To ona jest wspaniała – mówi. – Ale to nawet nie o to chodzi. Każda decyzja jest jak jakiś test, a każda moja pomyłka może zaważyć na jej całym życiu. Czy to dobry pomysł, żeby być dla niej ojcem? Może lepiej dalej zgrywać wujka? Zostawić ją z Betty czy nie? Co i rusz muszę się na coś zdecydować, a jak już to zrobię, pojawiają się dziesiątki kolejnych dylematów. I nawet nie mam jak się upewnić, czy idę w dobrą stronę.

– Więc ponieważ jest ci trudno, to zakładasz, że będziesz złym ojcem? Przecież to zupełnie na odwrót, Jackson. Nie widzisz tego? Zobacz, jakie to jest dla ciebie ważne. To cię całego pochłania. Wszystko, co robisz, robisz z myślą o niej. Tak postępuje ojciec. Kto jak kto, ale ty i ja wiemy o tym najlepiej. – Uśmiecham się łagodnie i całuję go lekko w policzek. – To nawet całkiem sexy.

Nie śmieje się, ale rysy jego twarzy rozluźniają się nieco.

– Robisz to, co jest najlepsze dla Ronnie – przekonuję. – Przede wszystkim chcesz, żeby była szczęśliwa. Bo ją kochasz. To, że zostawiasz ją z Betty, nie jest pomyłką. To jedna z decyzji, w tej chwili najważniejsza.

– Może tak. Ale to nie znaczy, że nie popełniłem błędów gdzie indziej. I boję się, że niedługo będę musiał za nie zapłacić, i to prędzej niż mi się wydaje. Boję się, że Ronnie będzie za nie płacić. I – przebiega mi palcami po włosach, przesuwam dłoń na tył mojej głowy i zagląda mi głęboko w oczy – boję się, że ty też będziesz za nie płacić. Syl. To się nawet już dzieje.

– Nie – odpowiadam stanowczo, jakbym wyłącznie siłą swojej woli mogła wymazać ten cień z jego wzroku. – Źle do tego podchodzisz, Jackson. Nawet nie myśl o tym, żeby się nade mną użalać. Najlepiej dla Ronnie jest mieć cię w swoim życiu i dla mnie tak samo. Kocham cię i nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobiła, żeby z tobą być.

Patrzy na mnie i chłonie każde moje słowo. Jakby sprawdzał, ile w nich jest prawdy. Wpatruje się we

mnie tak długo, że w końcu czuję się w obowiązku coś powiedzieć, ale odzywa się pierwszy.

– Kiedy byliśmy w Santa Fe... – urywa.

– Tak?

Jakiś cień przemyka mu po twarzy.

– Wiem, że zachowywałem się jak ostatni dupek. To ze względu na Ronnie. To znaczy, trochę też przez wszystko inne, ale głównie chodziło o nią.

– Aha. – Czuję zimno podpełzające mi w górę po plecach i prostuję się sztywno. Wiem, do czego zmierza. Nie jestem matką Ronnie. Nie mam bladego pojęcia o tym, jak być mamą. A teraz Jackson musi przede wszystkim skupić się na dwóch rzeczach: swojej wolności i swojej córce. Czyli ja mogłabym mu w tym tylko przeszkadzać.

– Po prostu pomyślałem, że w najgorszym wypadku chciałbym... To znaczy, byłbym spokojniejszy, gdybym wiedział, że Ronnie jest bezpieczna pod twoją opieką.

Marszczę brwi, niepewna, o co mu chodzi.

– I dlatego zachowywałeś się jak ostatni dupek?

Jeden kącik ust unosi mu się do góry.

– Czy ty słyszysz, co ja mówię? Dopiero co dowiedziałaś się, że mam dziecko, którego praktycznie nie znasz. A mimo to ja już wymyśliłem sobie, że gdybym poszedł siedzieć, to ty byłabyś jej rodziną. Ciocia Syl by się nią dobrze zajęła. I opiekowała. I chroniła. W sensie, ja już obsadziłem cię w roli mamuski, skarbie.

Czuję ucisk w klatce piersiowej i serce podchodzi mi do gardła. On nie chciał mnie odsunąć. Wręcz przeciwnie.

– Wiem, że to samolubne z mojej strony i nierealistyczne...

Nie mogę się pohamować i wybucham płaczem.

– Jezu, Syl. O rany. – Jackson miał ochotę sam sobie przyłożyć. Co też mu przyszło do głowy?

Pewnie, tak byłoby najłatwiej. Chciał z nią być. Tylko z nią. Już zawsze. On chciał. Więc oczywiście musiał otworzyć tę swoją niewyparzoną gębę, a nawet przez chwilę nie pomyślał o tym, czego ona mogłaby chcieć.

– Przepraszam – zaczął pośpiesznie. – Nie powinienem tak mówić. Cholera, w ogóle lepiej, żebym się już zamknął. Ronnie zostanie u Betty, to jasne, nie mogę cię przecież prosić...

– Jesteś skończonym kretynem. – Jej głos był niewyraźny przez łzy i przez chwilę zdawało mu się, że coś źle zrozumiał. – Czy ty nie rozumiesz, ile to dla mnie znaczy? Że masz do mnie takie zaufanie? Że powierzyłyś mi to, co masz najdroższego?

Wpatrywał się w nią przez chwilę zszokowany. Czy dobrze usłyszał? Czy ona zdaje sobie sprawę z tego, co właśnie powiedziała?

– Nie mam zielonego pojęcia o byciu mamą – podjęła. – Ale kocham cię, Jackson. I to nie są tylko puste słowa. To z pewnością nie jest nic przelotnego. – Przesunęła mu palcami po policzku. – Czegokolwiek ci trzeba, pamiętasz? To też nie są tylko puste słowa. Na dobre i na złe, przetrzymamy to. Przetrwamy to razem.

Nie odpowiedział. Nie od razu. Najpierw chciał po prostu się na nią napatrzeć. Wdychać jej zapach i skrzętnie chować każde jej słowo na dnie swego serca. Bo to były cholernie dobre słowa.

Na dobre i na złe...

Pewnego dnia, pomyślał. Pewnego dnia powtórzy przed nim te słowa, a on wsunie jej obrączkę na palec. Ale najpierw trzeba uporać się z tym, co się nieuchronnie zbliżało.

Rozdział 5

Jedziemy do biura Bender, Twain & McGuire, które zajmuje trzy piętra w jednej z dwóch osławionych, trójkątnych wież Century Plaza Towers w Century City przy Century Park East 2049. Gdy Jackson prowadzi swoje ukochane porsche w dół Santa Monica Boulevard ulicą bezpośrednio łączącą moją dzielnicę z zagłębieniem biznesowym, w oddali rysują się przed nami na tle wieczornego nieba lśniąca biurowce.

Zawsze uwielbiałam te wieże – ich gładką, prostą linię i połyskliwe, stalowe wykończenia – które tak pięknie srebrzą się w oprawie błękitnego nieba Kalifornii. Ale nawet po zachodzie słońca ich strzelista kompozycja ukazuje siłę i prestiż dzielnicy oraz mieszkających i pracujących tu ludzi.

– Nie mogę go odżałować – mówi Jackson, wskazując na wieże.

– Kogo? Yamasakiego?

– Jackson się uśmiecha.

– Mogłem się domyślić, że go znasz. Frank Lloyd Wright i Minoru Yamasaki są stale na mojej liście osób, które zapraszam na kolację, kiedy w to gram.

– Masz na myśli „Z kim, gdybyś mógł wybrać, chciałbyś pójść na kolację?”

– Tak. Wright zmarł, zanim się urodziłem, a Yamasaki jakoś tak, kiedy miałem cztery lata. Już wtedy szalałem na punkcie budowania i klocków Lego, ale mimo wszystko, nie sądzę, żeby mnie wziął do siebie, gdybym do niego zadzwonił.

– Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Pewnie nie. Ja też żałuję – przyznaję. – Jego budynki mają w sobie coś niesamowicie eleganckiego i podniosłego, prawda?

– Minoru Yamasaki był autorem projektu budynków w Century City, ale zasłynął głównie jako architekt dawnych wież World Trade Center.

– Stajemy na światłach i Jackson odwraca się do mnie.

– Nie zabrałem cię jeszcze na architektoniczną wycieczkę po Los Angeles. Powinniśmy się wybrać. Może w przyszły weekend?

– Przestań – wrywa mi się ostrzej, niż zamierzałam. – Nie próbuj odwracać mojej uwagi od tego, co się dzieje. Przestań udawać, że wszystko jest w porządku. Czy ci się to podoba czy nie, rzeczywistość jest taka, jaka jest.

– Syl...

– Robi się zielone, ale on nie rusza.

– Nie, naprawdę – mówię, a samochód za nami zaczyna trąbić. Obracam się, żeby spojrzeć na głupią cizję w kabrio – wypacykowaną blondynę, której najwyraźniej nie dotyczy żaden problem świata – po

czym znów patrzę na Jacksona, jeszcze bardziej rozeźlona niż wcześniej. – Jedź – mówię, chociaż on już ruszył w międzyczasie.

Drogę do następnego skrzyżowania pokonujemy w ciszy. Jackson trzyma obie dłonie na kierownicy. Poczucie normalności sprzed chwili zniknęło i w samochodzie panuje gęsta atmosfera.

I dobrze.

Bo to nie jest normalne. Nic tutaj nie jest normalne. I musimy o tym pamiętać, żeby się przed tym bronić.

Tylko jak, do cholery, mamy się bronić przed dowodami? Przed policją? Przed tą straszliwą matnią, która zaciska się wokół nas coraz szczelniej?

– Naprawdę ci się wydaje, że ja nie rozumiem powagi sytuacji? – Głos Jacksona jest opanowany, lecz stanowczy.

– Myślę, że próbujesz mi to ułatwić – odpowiadam. – A tak się nie da. Nie w ten sposób. – Zsuwam z nóg balerinki i zwijam się na fotelu z kolanami pod brodą. – Jackson, musisz zrobić tak, jak ci radzą Evelyn i prawnicy. Mówię poważnie. Wszystko dokładnie tak, jak mówią.

– O rany, Syl. – W jego głosie brzmi rozdrażnienie. – Nie zatrudniam ich po to, żeby ich potem nie słuchać.

– Nie, ale czasem cię jednak ponosi. – Wiem, że powinnam ugryźć się w język, ale jakoś nie potrafię się zamknąć. – Nie możesz więcej sobie na to pozwolić. Prasa już i tak zrobiła z ciebie zbrodniarza, musisz być bardzo ostrożny. Trzeba to dobrze rozegrać.

Spoglądam na niego i, kiedy zwalnia, żeby wziąć zakręt w prawo, widzę jego twarz w świetle ulicznych latarni. Ma kamienne rysy.

– Wiem – mówi tylko.

Nie wyklóca się i nie oponuje. Słyszając to jedno słowo, opadam z ulgą na fotel.

– Chodzi po prostu o to, że... – Nabieram powietrza i wyrzucam to z siebie: – Ja nie wiem, czy ty go zabiłeś, czy nie, Jackson. Nie wiem tego, bo mi nie powiedziałaś i w porządku – rozumiem, że Charles nie chce, żebyśmy o tym rozmawiali. Ale bez względu na to i tak wiem, że mógłbyś to zrobić. Więcej: wiem, że chciałeś to zrobić. I jeżeli nawet ja to wiem... – Głos mi się załamuje, więc biorę kolejny oddech i podejmuję znowu: – Jeżeli nawet ja to wiem, to co mają myśleć przysięgli?

W każdym moim słowie dźwięczy przerażenie i wiem, że Jackson je słyszy. Mimo to nie bierze mnie za rękę. Nie próbuje mnie uspokajać. I jestem mu za to wdzięczna. Bo w tej chwili muszę uznać twardą, bezwzględną rzeczywistość, a nie wysłuchiwać banałów.

– Ty mnie znasz jak nikt – odpowiada rzeczowo. – Wiesz, że zrobiłbym wszystko, żeby cię chronić. Albo Ronnie. – Powoli nabiera powietrza. – Ale sędziowie tego nie wiedzą. To jest w moim sercu. A tylko ty masz do niego dostęp. – Wyciąga rękę i głaszcząc mnie po policzku. – Wszystko będzie w porządku.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nie mam innego wyjścia.

Parking podziemny jest ogromny, ale udaje mu się wypatrzeć miejsce dla gości nieopodal windy. Gdy wysiadamy, jeszcze raz zerkam na telefon. Nie dlatego, żebym uwielbiała nurzać się w masie chłamu zalewającego portale społecznościowe, ale nie mogę tego przecież lekceważyć. Jeżeli mamy

przygotować całościową strategię jego obrony, nie możemy zapominać o mediach. Muszę wiedzieć, co się tam dzieje, nie tylko przez wzgląd na Jacksona, ale też na ośrodek. I nawet jeżeli Dallas Sykes mimo wszystko zostaje w projekcie, to boję się o pozostałych inwestorów, którzy mogą przecież przestraszyć się zbyt negatywnej prasy.

Większość komentarzy powiela to samo: spekulacje na temat pobicia i produkcji filmu, typowe insynuacje w tabloidowym stylu.

Ale gdy wchodzimy do windy, na ekranie pojawia się tweet, który dosłownie ścina mnie z nóg i muszę przytrzymać Jacksona za ramię, żeby zachować pion.

– W porządku? Ożeż... – reflektuje się na widok mojej twarzy. – Co znowu?

Nie chcę, żeby to widział, naprawdę nie chcę, ale nie mam wyboru. Podaję mu telefon i zamieram w oczekiwaniu.

– Kawał skurwysyna.

Wzdrygam się mimo woli i patrzę na ekran, chociaż tekst mam już wryty w pamięci. Przyrodni brat Damiena Starka podejrzany o morderstwo Roberta Cabota Reeda #Skandal#Stark#Kryminalny#Steele.

– No – stwierdzam posępnie. – I to by było na tyle.

Pod wpisem znajduje się link, który Jackson próbuje otworzyć, ale – naturalnie – straciliśmy zasięg. Mniejsza z tym. Oboje wiemy, że jeden wpis to tak samo jak tysiąc i cały Internet huczy tylko o tym, że Jackson Steele i Damien Stark są spokrewnieni. I że obydwaj byli jakoś tam zamieszani w afery kryminalne.

– Jak się dowiedzieli, do cholery? – Podnosi na mnie wzrok. – Na mojej stronie nie ma najmniejszego nawiązania do Damiena. Jeżeli to ten gnój to wypuścił...

– Nie – odpowiadam stanowczo. – Nie zrobiłby tego. Na pewno by ci powiedział. Nie, nie, w ogóle, nie.

Ale jeszcze gdy mówię te słowa, zaczynam się zastanawiać. Naprawdę nie wierzę, żeby Damien ujawnił coś takiego z czystej złośliwości, ale co, jeżeli Evelyn orzekła, że powinien uprzedzić nadciągającą burzę? Może nawet naciskała, żeby puścić to w obieg, zanim jeszcze Jackson wysiądzie z samolotu?

Nie mam pewności, więc nic nie sugeruję, szczególnie, że Jackson cały aż kipi. Winda sunie w górę, a ja stoję przy nim, czując dziwną mieszanekę żalu i ulgi. Żalu, że jeszcze jeden fakt z jego prywatnego życia przeciekł do wiadomości publicznej, a ulgi, bo tym razem to nie przeze mnie stoi teraz spięty, z zaciśniętymi szczękami.

Kiedy drzwi windy otwierają się na dwudziestym piątym piętrze, oczekuje na nas smukła blondynka, która przedstawia się jako asystentka prawna i prosi, żeby iść za nią. Jest niedziela, ósma wieczorem, ale w większości pokojów, które mijamy po drodze, siedzą młodzi prawnicy o twarzach rozświetlonych łuną z monitorów. We wspólnym holu przy biurkach ślęczy kilka asystentek i sekretarek, a w powietrzu unosi się energiczne stukanie klawiszy, tworząc gorączkową, napiętą atmosferę.

Bender Twain jest jedną z głównych kancelarii w kraju, nie ma się więc co dziwić, że nawet w niedzielny wieczór praca wre pełną parą.

W przestronnym gabinecie Charlesa, choć nie tak dużym jak pokój Damiena, znajduje się jego biurko, ogromny stół konferencyjny, kanapa, na której teraz siedzi dwóch dwudziestokilkuletnich mężczyzn, oraz

kilka foteli. Nie wspominając o bibliotece do samego sufitu wypełnionej publikacjami prawniczymi, książkami historycznymi i stosami akt.

Wszyscy już na nas czekają i zanim zdążę ochłonąć i zorientować się kto jest kto, Jackson rusza do przodu z moim telefonem.

– Co to ma być, do cholery?

Kieruje się wprost do Damiena i podejrzewam, że nie widzi wokół siebie nic i nikogo innego.

Damien stoi obok stołu konferencyjnego i, gdy Jackson się zbliża, ledwo rzuca okiem na wyciągnięty w jego stronę telefon. Za to podnosi na Jacksona chłodny, spokojny wzrok.

– Ja nic nie powiedziałem – mówi bez emocji. – Wierz mi, wprawdzie powoli oswajam się z faktem, że mam brata, ale jeszcze nie jestem gotowy ogłaszać tego publicznie. – Damien zerka na Evelyn siedzącą przy stole z teczką dokumentów rozłożoną przed sobą. – Właśnie uzgadnialiśmy oficjalny komunikat na ten temat i wcale mnie nie urządza, że ktoś zrobił to pierwszy. – Na jego ustach pojawia się blade uśmiech. – Zastanawiałem się nawet, czy to nie ty, ale z twojej reakcji wnioskuję, że chyba jednak nie.

– Nie – potwierdza Jackson i gdy widzę, jak jego postura nieco się rozluźnia, wiem, że wierzy słowom Damiena.

– Jak się trzymasz? – pyta Damien.

– W porządku. – Głos Jacksona brzmi ostro.

– Gówno prawda. Boisz się – stwierdza Damien. – A jeżeli nie, to znaczy, że jesteś głupszy, niż myślałem, bo właśnie powinieneś się bać.

Zamieram na te słowa u boku Jacksona, bo mimo całej tyrady o akceptowaniu rzeczywistości w samochodzie, słuchając go, żołądek wywraca mi się tak gwałtownie, że przez chwilę obawiam się, czy nie zwymiotuję.

– Jeżeli to zrobiłeś – ciągnie Damien – to musisz się bać, że ktoś to odkryje. Jeżeli jesteś niewinny, to boisz się jeszcze bardziej, bo możesz wylądować w więzieniu jak pierwszy lepszy przestępca tylko dlatego, że pewien koleś, z którym akurat nie było ci po drodze, został zakatrupiony. Tak czy siak, masz przesrane. – Jego ton, początkowo ostry, mięknie i staje się pojednawczy: – I dlatego wszyscy tu teraz jesteśmy. Żeby nie dopuścić, żeby cię w coś umoczyli.

Jackson ogląda się na mnie i dostrzegam ulgę w jego oczach. Potem zwraca się w stronę Charlesa, który stał dotąd przy bibliotece w towarzystwie jakiejś znajomo wyglądającej kobiety, a teraz podchodzi do nas.

– Pozwól, że ci przedstawię – mówi. – Znasz już, rzecz jasna, Damiena i Evelyn, a teraz poznałeś już moją asystentkę Natalie. To są studenci prawa Uniwersytetu Kalifornijskiego – wskazuje dwóch mężczyzn na kanapie, podając nam ich imiona. – A to jest Harriet Frederick – dodaje i z trudem powstrzymuję westchnienie, gdy odwraca się do kobiety, z którą wcześniej rozmawiał.

Harriet Frederick jest jedną z najwybitniejszych obrończyni w sprawach karnych w Kalifornii, a może i w całym kraju. Mimo aury pewnego „niedzielno-wieczornego” luzu, wygląda profesjonalnie w biznesowym ubraniu, z upiętymi na karku włosami i dyskretnym makijażem. Roztacza wokół siebie poczucie kompetencji i – nawet gdyby była jedną ze stażystek – cieszyłabym się, że pracuje z nami.

A jeszcze bardziej cieszę się dlatego, że Harriet Frederick oficjalnie współpracowała z miejscowym obrońcą Damiena podczas procesu w Niemczech jako przedstawicielka strony amerykańskiej.

Wiedziałam, że Charles chciał pozyskać jeszcze kogoś do pracy przy sprawie Jacksona, bo, chociaż świetnie się spisał, negocjując ugodę w przypadku pobicia, to jego specjalizacją jest prawo handlowe, a nie sprawy karne. Nie spodziewałam się jednak, że ściągnie właśnie Harriet i na jej widok odczuwam nawet więcej niż ulgę – jakby wstrzyknięto mi skoncentrowaną dawkę nadziei.

Pewnym krokiem przechodzi przez pokój i wymienia z Jacksonem uścisk dłoni.

– Pan Stark ma rację. To naturalne, że jest pan zdenerwowany, ale jeżeli będzie pan słuchał moich rad i będzie pan ze mną szczery, mamy większe szanse utrzymać pana na wolności.

Oblizuję usta, zatrwożona tym, czego nie mówi, ale co ja i tak wiem. Że nie może niczego obiecać. Nawet najbardziej osławiona i uznana prawniczka w sprawach karnych, Harriet Frederick, nie może zagwarantować mi, że mężczyzna, którego kocham, nie pójdzie do więzienia.

– Złożymy wniosek o przeniesienie sprawy gdzie indziej. Zapewne go odrzucą. Co oznacza, że ława przysięgłych będzie składać się z lokalnych mieszkańców, czyli ludzi, którzy uwielbiają kino i celebrytów, w tym także Reeda. Czyli pana zachowanie musi być bez zarzutu.

– Rozumiem.

Przez chwilę taksuje go wzrokiem, jakby nie do końca przekonana, po czym kiwa głową. Mam nadzieję, że z aprobatą.

– No tak, to się okaże. – Wykonuje gest w stronę stołu. – Siadajmy, proszę, i możemy zaczynać. – Zajmujemy miejsca, ale ona sama pozostaje na nogach. – Niedobrze, że ktoś ujawnił wasze pokrewieństwo przed nami, ale to będzie miało znaczenie tylko w takim stopniu, w jakim w ogóle ważna jest pana osobowość. Niestety, w tak głośnej sprawie o zabójstwo, pana osobowość może mieć duże znaczenie.

Jackson marszczy brwi i staram się złowić jego spojrzenie, żeby wiedzieć, co myśli. Jest jednak zbyt skupiony na Harriet, więc mogę tylko zgadywać.

– Damien i Evelyn przygotowali już plan komunikacji. Teraz będziemy musieli go przeformułować, żeby odzyskać kontrolę nad publicznym przekazem.

Evelyn kiwa głową.

– Przygotuję nową wersję dziś wieczorem. Stark Tower może jutro przeżywać prawdziwe oblężenie: zlecą się wszystkie sępy, nie wspominając już o policji.

– Przy wchodzeniu i wychodzeniu Jackson będzie korzystał z tylnego wyjścia – mówi Harriet. – Jutro nie dajemy żadnych wypowiedzi dla prasy. I chociaż media na pewno będą podgrzewać rzecz po swojemu, my musimy skupić się na dowodach i linii obrony przed ławą przysięgłych.

Krzyżuje ramiona i wpatruje się w Jacksona badawczo, niczym stylistka w domu mody.

– Nie będzie pan zeznawał. Nie odpowiada pan jutro na żadne pytania. Jest pan obecny, ale to ja mówię. Powoła się pan na piątą poprawkę.

– Czy to nie będzie wyglądało jak próba ukrycia czegoś? – pytam.

Odwraca się w moją stronę i kręci nieznacznie głową.

– Lepsze to niż gdyby przyznał, że był wtedy u Reeda w domu. Albo, jeszcze gorzej, gdyby zataił fakt, że tam był, a potem biegli sądowi znaleźliby na to dowody. Lepiej się nie odzywać, a nuż – w ogóle nic nie znajdują. Trudno będzie wykazać, że Jackson zabił Reeda, jeżeli nie udowodnią, że tam wtedy był.

Kiwam głową. Rozumiem to wszystko i rozumiem nawet, że piąta poprawka nie oznacza automatycznie

przyznania się do winy, ale nie mogę zaprzeczyć, że na samą myśl aż cierpnie mi skóra, bo już widzę, jak rozhuśtają to media. Spekulacjom nie będzie końca.

– Sylvia – mówi Harriet łagodnie i zdają sobie sprawę, że gapię się w blat stołu nieobecny wzrokiem. Podnoszę głowę. – Jeżeli chodzi o media, to on już jest winny. Piąta poprawka niczego tu nie zmieni. Ale to, jak się zachowuje – owszem, a więc od teraz będzie miły i sympatyczny. I – dodaje, rzucając Jacksonowi przelotne spojrzenie – będzie trzymał nerwy na wodzy.

– Tak jest – potwierdza Evelyn. Evelyn Dodge jest w Hollywood od dawna i lepiej niż ktokolwiek zna się na PR. Tak się cieszę, że Jackson ma ją po swojej stronie. A jeszcze bardziej się cieszę, że się przyjaźnimy.

Evelyn wskazuje na Charlesa i Harriet.

– Od kilku godzin obmyślamy strategię i punkt pierwszy zakłada, że będziesz rozkoszny i czarujący. – Unosi brwi. – Zakładam, że to nie problem?

Jackson hamuje uśmiech.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Nie kontaktuj się z dziennikarzami, a jeżeli będą cię nagabywać prywatnie, możesz im podziękować, to jest okej. Ale kiedy będziesz zabierał głos, będziesz ujmująco uroczy. Zwyczajny. Sympatyczny.

– Tak? – upewnia się Jackson, a siedzący po przeciwnej stronie stołu Damien parska śmiechem.

Evelyn marszczy brwi, wygląda jak matka, która stara się zapanować nad dwójką dokazujących urwisów. Uśmiecham się na samo skojarzenie.

– Uderzyłeś go, to możesz przyznać, tego nie ukryjemy, ale nie więcej. Zwalasz wszystko na Harriet i Charlesa, tych okropnych prawników, którzy nie pozwalają ci niczego wytłumaczyć. Inaczej wszystko zepsujesz. Masz z nimi rozmawiać jak ze starymi kumplami. Jasne?

– Jasne – odpowiada Jackson.

– Masz wybuchowy charakter – powtarza, patrząc mu bez ogródek prosto w oczy. – Musisz go pohamować. Inaczej spieprzysz sprawę i całe swoje życie. Rozumiesz?

Zaciska usta i widzę, że ze wszystkich sił stara się nie odciąć. Bo jasne, że rozumie. W końcu mówi tylko:

– Tak jest, proszę pani.

To „proszę pani” rozładowuje napięcie. Evelyn odchyła głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

– Matko, Jackson, nie chciałam cię urazić. – Wzrusza ramionami przeprasza ją. – Natomiast to... To może ci się nie spodobać.

Mówiąc to, wyłuskuje z pliku papierów jakąś fotografię i przesuwając ją po blacie w jego kierunku. Z ust wyrzywa mi się zduszony okrzyk, a w tym samym momencie Jackson mówi twardym, zdecydowanym tonem:

– Nie ma, kurwa, mowy.

Na zdjęciu widnieje Ronnie.

– Musimy to rozegrać po naszymu – mówi łagodnie Harriet. – Ona jest częścią pańskiego życia. A, prawdę mówiąc, nie ma nic, co prasa uwielbiałaby bardziej niż samotny ojciec w walce o dziecko. Pokochają pana, kiedy tylko zobaczą, jak bardzo zależy panu na córeczce.

Jackson nie odpowiada, ale zakrywa zdjęcie rozpostartą dłonią, jakby mógł w ten sposób zachować

Ronnie z dala od tego wszystkiego.

Przez moment nikt nic nie mówi. Wreszcie Damien podnosi się z miejsca, okrąża stół i przysiadają na blacie obok Jacksona.

– To i tak wycieknie – mówi łagodnym, ale stanowczym tonem. – A wtedy dla wszystkich jasny stanie się związek pomiędzy filmem a twoją córką i to, dlaczego starałeś się nie dopuścić do ekranizacji. Jeżeli będziemy pierwsi, możemy złagodzić wrażenie. Jeżeli będziesz czekał, to sprawa się może nakręcić.

– Nie rzucę jej tym hienom na pożarcie. – Jest napięty jak struna i boję się, że jedno nieodpowiednie słowo wypowiedziane przez kogokolwiek w pokoju może się skończyć wybuchem. – Nie, dopóki nie jest to absolutnie konieczne.

– Jackson...

Ale Evelyn wpada Damienowi w słowo:

– Nie, na razie nie ma takiej potrzeby. – Zerka na Harriet, która niemal niedostrzegalnie schyla głowę, po czym mówi dalej: – Ale pamiętaj o tym, na czym ci zależy, okej? Chcesz zostać na wolności. Tylko wtedy będziesz mógł się zająć tą małą.

Jackson nie odpowiada, ale przygląda się Evelyn z zafascynowaniem.

– Na razie spróbujemy uszanować pana życzenie. Ale to może się zmienić w każdej chwili. Będę śledzić reakcję mediów i sprawdzać, czy pana lubią, czy też ten lód w pana oczach jest jednak odbierany. Wtedy możliwe, że będzie trzeba ocieplić pana obraz tą słodką, małą dziewczynką. Czy pan to rozumie?

Szczęka mu sztywnieje, a jedna ręka zaciska się kurczowo na krawędzi stołu, ale mówi jedynie:

– Tak.

Evelyn kiwa głową, usatysfakcjonowana.

– A co będzie jutro? – pytam z jednej strony, bo mnie to ciekawi, a z drugiej – trochę, żeby zmienić temat. – Aresztują go? Trzeba będzie wnieść kaucję? – Sama słyszę panikę w swoim głosie i z wdzięcznością przyjmuję wsparcie Jacksona, który zdejmuje dłoń z fotografii Ronnie i bierze mnie za rękę.

– Mogą go aresztować – mówi Harriet, jakby stwierdzała, że jutro może padać. – Chociaż zwykle w takich medialnych sprawach policja woli się wstrzymać. Wprawdzie Jackson zaatakował ich obu – i scenarzystę, i Reeda, ale nie mamy pewności, czy policja w ogóle wie o tym pierwszym zajściu. Był u Reeda w dzień zabójstwa. Być może prokurator tego nie wie. A może wie. Jutro się pewnie dowiemy. A wówczas, naturalnie, mogą uznać to za podstawę do zatrzymania.

Jackson kiwa głową, jakby oszołomiony.

Zasycha mi w ustach i, chociaż z całych sił ściskam dłoń Jacksona, nie mogę wyczuć jego palców. Zajmuje mi to chwilę, ale w końcu udaje mi się wyartykułować pytanie:

– Mówi pani, że zwykle się jednak wstrzymują. Dlaczego?

– Najczęściej policja nie chce działać zbyt szybko, bo w momencie aresztowania zegar zaczyna tykać. A policja lubi mieć dużo czasu, żeby dobrze przygotować atak, zwłaszcza w tak głośnych sprawach.

– Ale go przygotowują?

Harriet spogląda prosto na mnie i chociaż nie cierpię tego, co mówi, jej trzeźwe podejście mimo wszystko mi imponuje.

– Obawiam się, że oni już są przygotowani.

– No, ale wtedy chyba wiedzielibyśmy o tym, prawda? Myślałam, że policja ma obowiązek ujawniać dowody. – Jakoś nie mogę zamilknąć. Nie mieści mi się to w głowie. – Czy tak jest tylko na filmach?

Tym razem Harriet uśmiecha się lekko.

– To prawda. Ale jeszcze nie teraz. Na pewno nie przed aresztowaniem.

– Aha.

Wreszcie do mnie dociera. Ona obawia się, że jutro najpierw przedstawią Jacksonowi cały wykaz dowodów, a w ramach wielkiego finału zakują go w kajdanki i odprowadzą do celi.

O Boże.

– W najgorszym przypadku, oczywiście, zwrócimy się o kaucję – mówi Charles. – Ale do tego czasu czekamy i mamy nadzieję, że w ogóle nie będzie takiej potrzeby.

Spotkanie trwa jeszcze blisko dwie godziny. Omawiamy tyle możliwych scenariuszy i szczegółów, że głowa pęka mi z natłoku informacji. Ja też dostałam swoją listę przykazań. Tak jak Jackson mam być miła i czarująca w kontaktach z dziennikarzami. Dostaję też dodatkowy atut, bo mogę powiedzieć, że w dniu zabójstwa Jackson był ze mną na halloweenowej imprezie. Inna rzecz, że impreza odbyła się w Studio City po drugiej stronie wzgórza i każdy szanujący się reporter powinien skojarzyć, że Jackson mógł równie dobrze dotrzeć na przyjęcie po wizycie u Reeda w domu.

Tego mam jednak nie mówić.

Jak chodzi o komunikację z inwestorami, to mogę ich zapewnić, że Jackson był ze mną tamtego wieczoru, rozpląwać się nad jego talentem, a także zasugerować, że odrobina sensacji wokół ośrodka mogłaby nawet zwiększyć zainteresowanie na starcie.

Jackson ma przerwać swoją pracę społeczną. Charles załatwi to w sądzie.

– Tylko żeby przypadkiem nie zrobiło się głośno o tym, dlaczego dostałeś tak łagodny wyrok za pobicie. Nie obnoś się z tym, nie dawaj im powodu sądzić, że korzystasz z jakiejś taryfy ulgowej. To i tak wypłynie – dorzucą cynicznie – ale nie musimy wywlekać tego sami.

Harriet, która wcześniej usiadła, podrywa się teraz z miejsca.

– Czyli mamy wszystko poza motywem. W tej chwili oskarżenie może próbować podejść nas od strony filmu albo pobicia. Kwestia filmu nabierze rozmachu, kiedy media dowiedzą się o Ronnie. Ale – dodaje pośpiesznie – jestem skłonna na razie się tutaj wstrzymać, o ile zdaje pan sobie sprawę z ryzyka.

– Już mówiłem, że tak – powtarza Jackson.

Marszczę brwi, bo w tym, co powiedziała, zastanawia mnie coś innego.

– Ludzie naprawdę to kupią, że Jackson zabił Reeda, bo bał się cywilnego pozwu o pobicie? Przecież to nie ma sensu.

– Proszę mi wierzyć – odpowiada Harriet – ludzie zabijają z najgłupszych powodów. Policja ma tego świadomość i nie będzie niczego bagatelizować. A kto wie, co znajdą, jak będą rozpracowywać wszystkie możliwe tropy. – Rzucą Jacksonowi surowe spojrzenie. – Więc jeżeli istnieje jeszcze jakiś prawdopodobny motyw, to muszę wiedzieć to teraz. Bo kiedy potem nam coś nieoczekiwanie wyskoczy, to może położyć całą sprawę. Chcę, żeby to było jasne.

Siedzę skamieniała i mam wrażenie, że cały pokój słyszy łomot serca, które niemal rozsadza mi pierś. Nie patrzę na Jacksona, ale jestem pewna, że myśli o tym samym. Moje zdjęcia. Reed groził, że je opublikuje, jeżeli Jackson nie zgodzi się na film.

A to bez wątplenia podchodzi pod motyw, i to jeszcze jaki!

Mimo to Jackson mówi:

– Nie, to już wszystko.

Wypuszczam powietrze, które najwyraźniej dotąd wstrzymywałam. Cały czas mnie chroni. Może przez to wylądować za kratkami, a cały czas mnie chroni.

Czy naprawdę jestem aż takim tchórzem, żeby mu na to pozwolić?

– W porządku – podejmuje Harriet. – Dalej...

– Jest jeszcze coś – odzywam się szeptem, prawie niedosłyszalnie. Nie patrzę na Jacksona, oczy mam wbite w stół.

– Proszę?

Podnoszę wzrok i napotykam uważne spojrzenie Charlesa.

– Co powiedziałaś, Sylvia?

Nabieram głęboko powietrza i zaciskam pięści.

– Sylvia. – W głosie Jacksona dźwięczy stal. Ostrzeżenie.

Patrzę na niego, mając nadzieję, że wyczyta prośbę o wybaczenie w moich oczach. Potem odwracam się znowu w stronę Harriet i Charlesa.

– Reed mnie szantażował. – To już nie jest szept. Wyrzucam z siebie wszystko. – Reed... miał zdjęcia. Kiedyś pracowałam dla niego jako modelka i... niektóre były dość... intymne. Nie chciałabym, żeby ktoś je zobaczył. Bo... – przełykam ślinę – chyba nie potrafiłabym sobie z tym poradzić.

Harriet bardzo powolnym gestem odkłada notatki na stół.

– Rozumiem.

Odwracam się nieznacznie, żeby widzieć Jacksona. Potrząsa lekko głową i patrzy na mnie z wyrzutem. Ale mówię dalej:

– Powiedział, że je opublikuje, jeżeli nie namówię Jacksona, żeby przestał sabotować film.

Charles i Harriet wymieniają spojrzenia.

– Cóż – odzywa się Harriet. – Masz rację. To zdecydowanie podpada pod motyw.

Przełykam ślinę. Wiem o tym.

– Masz te zdjęcia? – pyta Charles.

– Nie – odpowiada Jackson stanowczo. – Spaliliśmy te, które przysłał.

To nieprawda, ale ponieważ to chyba nie ma większego znaczenia i naprawdę nie chcę, żeby je oglądali, milczę.

– Czyli najprawdopodobniej istnieją gdzieś kopie? – dedukuje Harriet. – Chyba że zabójca Reeda je zabrał?

Wzdrygam się, ale potakuję głową.

– Ktoś jeszcze o tym wie? – pyta.

– Nie – wypalam, zanim Jackson mógłby wspomnieć o Cass lub o moim ojcu. Prawnicy powinni wiedzieć o szantażu, bo to może mieć związek ze sprawą Jacksona, ale nie chcę jeszcze na dokładkę wplątywać mojego ojca w tę sprawę. – I bardzo proszę, żeby to zostało między nami.

Patrzę na Damiena, który kiwa głową i wiem, że rozumie, o co mi chodzi, i dlaczego tak mi zależy na zachowaniu tej sprawy w tajemnicy, nawet przed Nikki.

Harriet znowu zabiera głos, a jej ton jest bardzo łagodny.

– Nie musimy tego ujawniać. Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że Reed zakopał wszystkie kopie pod krzakiem róży w ogródku i nikt ich nigdy nie znajdzie. Ale dziękuję, że pani nam powiedziała. To niezwykle ważne dla linii obrony Jacksona.

Potakuję. Wiem. Bóg mi świadkiem, że nic innego nie skłoniłoby mnie do wspomnienia o tym.

Pozostała część spotkania poświęcona jest przydzielaniu zadań, określaniu terminów i – kiedy tylko Jackson umawia się z Harriet na jutro, żeby razem pojechać na komisariat – możemy już iść.

Gdy zmierzamy w stronę recepcji, czuję, że cały wrze, a ponieważ nie bierze mnie za rękę, wiem, że chodzi o mnie, a nie o resztę spotkania.

Wzdycham i, gdy jesteśmy na tyle daleko, że nikt nas nie może usłyszeć, mówię miękko:

– Musiałam.

– E tam. – W jego głosie słychać napięcie. Może ze złości. Może ze smutku. Naprawdę nie wiem. – Powiedziałem ci, że nie zdradzę twojej tajemnicy.

– Jackson...

Odwraca się do mnie gwałtownie.

– Nie, Syl. Powinnaś była zaczekać, do cholery. To mogło w ogóle nigdy nie wypłynąć. A nawet gdyby policja znalazła oryginały i tak mogliśmy to zażegnać.

– Nie mogę być tym, co cię w końcu pograży. Nie rozumiesz tego? Dziękuję, że próbujesz mnie chronić, ale teraz moja kolej.

– Cholera. – Odwraca się gwałtownie i dopiero kiedy uderza pięścią o drugą dłoń, zdaje sobie sprawę, że na gwałt szuka czegoś, w co mógłby przywalić.

– Jacks... – nie kończę, bo łapie mnie za ramiona i przyciąga do siebie zapalczywie. Przywiera do mnie ustami, jednocześnie wykręcając mi ręce do tyłu i przytrzymując za nadgarstki na plecach. Przylega do mnie ciasno i pochłania mnie całym sobą.

Czuję na sobie jego twarde, rozpalone ciało. W tym pocałunku nie chodzi o namiętność, ale o zniewolenie. O władzę. Odsuwa się, dysząc ciężko i przeszywa mnie ostrym spojrzeniem. A kiedy się odzywa, w jego głosie pobrzmiwa niebezpieczna nuta:

– Czy ty myślisz, że ja nie wiem, ile cię to kosztuje? Samo wspomnienie tego, co ci zrobił? Tego, jak trudno było ci chociażby im o tym powiedzieć?

Zaciskam usta i potakuję. Bo to było trudne. Ale byłoby mi milion razy trudniej, gdybym nie miała przy sobie Jacksona i mówię mu o tym.

– Przy tobie jestem silniejsza, Jackson. Rozumiesz? Tylko dlatego w ogóle mogłam im o tym powiedzieć. Bo wiem, że jeżeli to wróci i znowu się zaczną koszmary, to ty przy mnie jesteś i pomożesz mi je pokonać. – W gardle grzęzną mi niewypłakane łzy. – A co do tego, ile mnie to kosztuje, to o wiele więcej ryzykuję, jeżeli cię stracę. I zrobię wszystko, co trzeba, żeby to się nie stało.

– To nie w porządku, że musisz się dla mnie poświęcać. – Nadal trzyma mnie mocno, ale w jego głosie nie ma już gniewu. – To ja cię w to wszystko wplątałem.

Potrząsam tylko głową. Oddycham ciężko, rozgrzająca od iskrzącego ciśnienia. Od tej jego dzikiej determinacji, żeby chronić mnie za wszelką cenę. I tak, także od dotyku jego twardego ciała tak kusząco dopasowanego do mnie.

Wreszcie udaje mi się wydobyć z siebie głos:

– Jesteśmy w tym razem, Jackson. I tak samo jak ty nie chcę, żebyś szedł do więzienia. Bo kocham cię, do cholery, i nie mogę znieść myśli, że miałabym cię stracić. Ale też dlatego, że potrzebuję cię, żeby dokończyć ośrodek.

Patrzę na niego z powagą. A ten łobuz beczelnie wybucha śmiechem.

– O, kotku. – Puszczą moje ramię i całuje mnie, tym razem z taką czułością i słodyczą, że miękną mi nogi.

– Nie mogę go stracić – mówię. – I ciebie też nie. Więc tak, jeżeli mogę ci jakoś pomóc, to zrobię to. A jeżeli masz z tym jakiś problem, to tym gorzej dla ciebie.

Jesteśmy w holu głównym. Za szklaną ścianą okien rozpościera się mgławica migoczących świateł miasta, a za nią otwarty ocean.

Patrzy na mnie ciepło. Ze spokojem. Wreszcie skłania głowę. To tylko drobny ruch, ale ja wiem, że to przeprosiny.

Wzdycham, podchodzę do okna i przykładam dłoń do szyby. Wyraźnie widać stąd linię, gdzie miasto styka się z nieprzeniknioną głębią oceanu. A za tą wstęgą czerni dostrzegam słabe ogniki świateł Catalina Island. A dalej, poza zasięgiem wzroku, leży Santa Cortez.

Jackson staje za mną i bardzo delikatnie wyciąga rękę i kładzie dłoń na mojej.

– Nie tracimy go.

Chcę mu wierzyć, ale muszę przyznać, że ciągle się boję. Że stracę moją wyspę. Że stracę jego. Że wszystko, na co tak ciężko pracowałam i co tyle dla mnie znaczy, zostanie mi odebrane.

Ale sama świadomość, że on tak doskonale mnie rozumie, że potrafi odczytywać wyraz mojej twarzy i domyślać się, co tak naprawdę chodzi mi po głowie, jest bardzo pocieszająca.

Wsiadamy do windy i w ciszy zjeżdżamy na dół, trzymając się za ręce. Jestem wykończona, fizycznie i psychicznie. To był niesamowicie długi i męczący dzień. A to spotkanie na koniec nie pomogło mi się wyciszyć. Nie mam żadnego pewnika. Nic, czego mogłabym się uchwycić i stwierdzić: tak, tak to się właśnie skończy, bo nie ma innej możliwości.

Obracam się ku niemu, choć wiem, że mi pewnie nie powie. Że w ogóle nie powinnam pytać. Ale potrzebuję jakiegoś punktu zaczepienia, jakiegoś oparcia. Czegoś dobrego, czego mogłabym się trzymać. Albo złego, żeby starać się to przetrwać. Czegokolwiek. Ale ta niepewność doprowadza mnie powoli do szału.

– Muszę wiedzieć – odzywam się wreszcie. – Muszę wiedzieć, czy go zabiłeś.

Jackson spogląda na mnie i po raz pierwszy nie mogę przeniknąć wyrazu jego twarzy. Przez chwilę boję się, że będzie się stawiał. Że zasłoni się przepisami i zaleceniami prawników. Ale on tylko wzdycha i potrząsa głową.

– Chciałem. Bóg mi świadkiem, chciałem tego tak bardzo, że prawie już czułem ten smak. – Nabiera głęboko powietrza i przeczesuje włosy palcami. – Ale nie – mówi w końcu, nie patrząc mi w oczy. – Nie zabiłem go.

Kiwam głową, ale wcale nie czuję się lepiej. Wręcz przeciwnie, jestem nawet lekko rozczarowana, jakby przez to, że nie zabił Reeda, Jackson w jakiś chory sposób mnie zawiódł. Więcej: nawet nie wiem, czy wierzę w to, co właśnie powiedział.

Ostatecznie to nie ma jednak większego znaczenia. Im bardziej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że prawdziwym powodem mojej paranoi jest fakt, że nawet Jackson – człowiek, dla którego kontrola jest całym życiem – bywa czasem bezsilny. Bo kwestia winy czy niewinności jest w sumie drugorzędna. Fakty nie mają tu nic do rzeczy. Tu chodzi o dowody i motyw, sędziego i ławę przysięgłych. Dwanaście osób o różnych przekonaniach i światopoglądach. I chociaż bardzo staram się wierzyć w wymiar sprawiedliwości, to chyba jednak nie mogę.

Rozdział 6

Jackson skręca z Century Park East w Santa Monica Boulevard, a ja jestem tak pochłonięta surfowaniem na telefonie, że dopiero kiedy zaraz potem znowu bierze zakręt, podnoszę głowę, bo – o ile nie ma korków i nie trzeba szukać drogi na skróty – powinniśmy walić prosto, do czterysta piątki, a potem w dół do przystani.

Droga jest pusta. Czyli to tylko Jackson, który z jakiegoś powodu nie tylko oddala się właśnie od plaży, ale w dodatku jedzie prosto do Beverly Hills.

– Jedziemy na wycieczkę krajoznawczą?

– Coś w tym rodzaju – odpowiada, nie odrywając oczu od szosy i – chociaż pozornie nie ma w tym nic dziwnego – po plecach przebiega mi zimny dreszcz i czuję mrowienie karku.

Już mam się odezwać, zapytać, co tak dokładnie zamierza, gdy nagle skręca w lewo, a przed nami wyrasta znajomy dom na rogu i odpowiedź staje się przeraźliwie jasna.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – pytam. – Jackson, Jezu, ktoś cię może zobaczyć.

– Chcę tylko popatrzeć. – Zaciska dłonie na kierownicy, aż bieleją mu kości. Przyglądam mu się z boku. Ma zaciśnięte szczęki, ale dostrzegam lekkie drżenie policzka. Stara się utrzymać to w sobie – złość, strach, wszystko. A to, cholera, jest ostatnie miejsce, gdzie powinien się znaleźć.

– Jackson, mówię poważnie. Nie powinniśmy tutaj być.

– Czy to przestępstwo przejechać koło domu zabitego człowieka? Człowieka, który spaprał mi życie? Groził mojej dziewczynie? I cały czas mnie niszczy, nawet spoza grobu?

– Przystępstwo? – podnoszę głos. – Nie wiem. Czy głupota to przestępstwo?

Po raz pierwszy odwraca się do mnie krótkim, szybkim ruchem i widzę jego oczy rozświetlone ogniem. Prostuję się, bo wiem, że mam rację i nie myślę ustąpić.

– Nie, to nie przestępstwo, ale przejeżdżanie obok domu człowieka, o którego morderstwo jesteś podejrzany, wydaje mi się raczej nieszczególnie rozsądne. Zwłaszcza że, jak już wiemy, kręciłeś się tu w noc zabójstwa, a jutro masz usłyszeć oficjalne zarzuty. – Głos mi się załamuje, nie pozostawiając cienia wątpliwości, jak mnie to przeraża.

– Aresztuj mnie albo i nie – mówi głucho. – To, gdzie dzisiaj pojedę, nie ma nic do rzeczy.

Ma rację. Wiem, że ma rację. Lecz to nie zmienia faktu, że mam ochotę się na nim wyżyć. Wtłuc mu trochę rozumu do głowy. A może po prostu chcę krzyczeć i wierzgać, i strzelić focha, bo nic ostatnio nie idzie po mojej myśli i nie mogę znieść tego zawieszenia, jakbym stała na torach i patrzyła w reflektor nadjeżdżającego pociągu. Muszę oddychać. Po prostu oddychać i wziąć się w garść, bo, pomijając już inne powody, muszę być silna choćby dla Jacksona. Nareszcie wrzuca bieg i ruszamy. Z początku milczy, ale po kilku przecznicach zjeżdża na pobocze i wzdycha głęboko, zapatrzony na dom widoczny teraz na

końcu ślepej ulicy.

– Już nad tym pracują – mówię miękko. – Ludzie Harriet odkryją, kto to naprawdę zrobił.

Dłonie Jacksona zaciskają się na kierownicy jeszcze bardziej.

– To fakt. Gdyby tylko udało im się znaleźć innych podejrzanych, wszystko mogłoby się odmienić o sto osiemdziesiąt stopni. Tylko że... – zamiast dokończyć, potrząsa tylko głową w przygnębieniu, po czym odchyła się na fotelu i zamyka oczy z wyrazem skrajnego wyczerpania.

Żołądek gniecie mi zimny ucisk strachu.

– Jackson... – urywam tak samo jak on. Bo co mam niby powiedzieć? Boisz się, że nie znajdą nikogo innego, bo to ty to zrobiłeś? A może: mam nadzieję, że zabiłeś tego sukinsyna, bo mu się należało, ale jednocześnie boję się, że cię stracę? – Jackson... – zaczynam znowu, ale po raz kolejny utykam.

Tym razem bierze mnie za rękę.

– Wszystko w porządku, kotku. Trzymam się. – Przez chwilę przygląda mi się intensywnie, jakby sprawdzając mój stan. – Po prostu nie mogę znieść tego, że nic nie mogę zrobić. W sumie – dodaje, a usta wyginają mu się w coś na kształt markotnego uśmiechu – to powinni zatrudnić mnie w śledztwie. Przynajmniej wtedy miałbym poczucie, że się na coś przydaję. Kto wie, ilu podejrzanych udałooby mi się wytropić?

Ucisk w żołądku słabnie.

– Rozumiem – mówię. – Znam cię i wiem, że dostajesz świra, kiedy nie możesz wziąć spraw w swoje ręce. Ale musisz uważać, Jackson. Może i wyglądasz jak gwiazda filmowa, ale to nie jest film i nie możesz czaić się na mieście jak jakiś niewydarzony Sherlock Holmes.

Widzę, jak lekko drga mu kącik ust.

– Nie czaję się – mówi, a mnie ogarnia delikatne jak motyl uczucie niezmiernej ulgi, bo mam wrażenie, że ta gęsta chmura wokół niego wreszcie się rozprasza.

– Okej, niech ci będzie. Ale też nie paradujesz. Tu zresztą widzę nawet pewne plusy.

– Robiłbym i jedno, i drugie, gdyby tylko dzięki temu policja znalazła sobie innego podejrzanego.

Chcę powiedzieć mu, że nie może mieć kontroli nad całym światem i że musi czekać, aż prawnicy wykonają swoją robotę. Ale ta myśl zamiera mi w głowie, niepotrzebna i głupia. Bo to jest Jackson i jeżeli on nie może mieć kontroli, to kto ma ją mieć? Poza tym, szczerze mówiąc, gdyby to chodziło o moją wolność, też nie mogłabym spokojnie usiedzieć na miejscu.

– Najlepiej, gdybyś się ani nie czaił, ani nie paradował – stwierdzam lekko. – Jak chcesz, mogę porozmawiać z Ryanem. – Moim zdaniem, jeżeli ktokolwiek mógłby nam pomóc w dochodzeniu, to jedynie szef działu ochrony w Stark International.

Ale Jackson kręci przecząco głową.

– Nie, sam się tym zajmę.

Przyglądam się uważnie jego twarzy.

– Masz zamiar wynająć prywatnego detektywa?

– Nie, mam zamiar zwrócić się o pomoc do brata.

– Naprawdę? – Nic na to nie poradzę, ale głos podjeżdża mi do góry w osłupieniu.

– No co? Zdaje się, że świetnie umie zbierać informacje. – Zerka na mnie z ukosa. – Do tego ma doświadczenie w udowadnianiu swojej niewinności. A w ostateczności wie przynajmniej, komu

zapłacić, jak mu czegoś potrzeba.

– To może warto by go jednak bliżej poznać?

– Wiem, że ty go szanujesz – stwierdza oschle. – Czyli nie może być aż taki zły.

Na twarz wypływa mu szeroki uśmiech, ale wiem, że naprawdę tak myśli. Przynajmniej w większości.

Odchylam się na fotelu, a Jackson wyprowadza nas z powrotem na autostradę. Jacksonowi i Damienowi daleko jeszcze do tak bliskiej relacji jak moja z Ethanem, ale przynajmniej mają już za sobą wzajemny żal i nieufność. Z kolei, biorąc pod uwagę, jaki jest ich ojciec, bez trudu dojdą do porozumienia w kwestii spieprzonego dzieciństwa. A to już samo w sobie stawia ich wyżej niż mnie i Ethana, bo choć niesamowicie kocham mojego brata, to nie zwierzyłam mu się z koszmarów naszej młodości. Nie tylko dlatego, że nie chcę jego litości, ale przede wszystkim – jego poczucia winy.

Ethan wie, że byłam modelką i że pieniądze, jakie zarobiłam, poszły na leczenie, które ocaliło mu życie. Ale nie wie, ile takie leczenie potrafi kosztować, ani co konkretnie nasz ojciec sprzedawał Reedowi. Nie tylko mój wizerunek, ale także mnie. Do fotografowania i do dotykania. Słowem – do użytku.

I chociaż nienawidziłam każdej chwili tam, chociaż błagałam ojca, żeby przestał mnie tam zabierać, nigdy nie zrobiłam tej jednej jedynej rzeczy, którą naprawdę mogłam. Nie uciekłam. Bo wiedziałam, że potrzebujemy pieniędzy. Że pomimo całego horroru, który się z tym łączył, pomagałam ratować mojego brata.

Przekręcam się na fotelu rozdrażniona, bo teraz mam w głowie mojego ojca, a zupełnie nie chcę o nim rozmyślać. Już mi się udało go wyprzeć ze świadomości po tym, jak zadzwonił do mnie w Santa Fe i wcale mi się nie podoba, że znów do mnie wraca.

– Niech to szlag – mruczy Jackson pod nosem i przez chwilę mam wrażenie, że komentuje moje rozważania.

Szybko dochodzę jednak do siebie, zadowolona, że wyrwał mnie z zadumy.

– Co?

– Całkiem zapomniałem, żeby zadzwonić do Ronnie, zanim pójdzie spać, a teraz tam jest już jedenasta.

– Uderza dłonią w kierownicę. – Cholera. To by było na tyle, jeśli chodzi o tatusia roku.

– Napisz do Betty – podsuwam. – Poproś, żeby nie odbierała telefonu. A potem zadzwoń i nagraj wiadomość dla Ronnie, to sobie rano odsłucha.

Jackson zatrzymuje się na skrzyżowaniu, na którym ma odbić w lewo do przystani, gdzie trzyma swoją łódź. Potem przekręca się na fotelu i wlepia we mnie oczy.

Wzdrygam się pod jego uważnym spojrzeniem.

– Co?

– Może to ty powinnaś zostać tatusiem roku? To genialny pomysł.

Wybucham wesołym śmiechem.

– Chcę tylko, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Wyciąga rękę i przesuwając dłonią po mojej nodze w dżinsach.

– I świetnie ci to wychodzi.

Jego głęboki, gardłowy głos oraz gorący dotyk sprawiają, że trzęsę się jeszcze, kiedy wjeżdżamy do przystani, której teren wyznacza budka strażnika i szlaban otwierany dla mieszkańców i odwiedzających

ich gości. Prawdę powiedziawszy, jeszcze nigdy nie widziałam, żeby był opuszczony, a strażnik najczęściej po prostu macha, żeby przejeżdżać.

Dzisiaj jednak szlaban jest zamknięty i nietrudno się zorientować dlaczego. Dziesiątki dziennikarzy koczują na podjeździe, niektórzy nawet drzemią na kempingowych krzeselkach albo są rozciągnięci na ziemi, jakby czekali tak już od wielu godzin. Widząc nadjeżdżające porsche Jacksona, zrywają się jednak na nogi i rzucają chmarą w naszą stronę, jak szarańcza zogniskowana na cel.

– Cholera – syczy Jackson, a ja wtóruję mu w duchu, chociaż obydwójce wiemy, że należało się tego spodziewać.

– Jackson! Od jak dawna wiesz, że Damien Stark jest twoim przyrodnim bratem?

– Wiesz, jak przebiegał proces twojego brata w Niemczech?

– Sylvia, wiedziałaś, że twój szef i twój partner są spokrewnieni?

– Co będzie z filmem o domu Fletcherów? Czy produkcja zostanie wstrzymana, skoro Reed nie żyje?

Jackson posuwa się do przodu centymetr po centymetrze, chociaż mam wrażenie, że najchętniej docisnąłby gaz do dechy i jeszcze rozjechał kilka stóp przy okazji. Podjeżdżamy do budki strażnika i Jackson opuszcza szybę, żeby porozmawiać z ochroniarzem.

– Jak długo to trwa, Charlie?

– Jakieś dwie godziny, panie Steele. Administracja już organizuje dodatkową ochronę. Dopilnujemy, żeby się panu nie naprzykrzali.

– Zapłacę za dodatkowych ludzi – mówi Jackson gniewnie.

– To już jak pan chce. Są kamery, a w nocy będzie więcej strażników. Ale proszę uważać, zamknąć wejście na pomost i drzwi na Veronice.

– Dobrze. Dzięki, Charlie. I przepraszam za kłopot.

– To nie pana wina – odpowiada lojalnie strażnik, ale widzę po minie Jacksona, że ma inne zdanie.

Nie odpręża się przez całą drogę na parking obok łodzi, gdzie gasi silnik i odwraca się do mnie. Potrząsam głową i przyciskam mu palec do ust. Nie wiem, czy chce na nich pomstować, czy za nich przeproszać, ale nie chcę słuchać ani jednego, ani drugiego. Chcę za to, żeby wyrzucił ich z głowy. Nachylam się ku niemu i kładę mu dłoń na udzie, tuż obok krocza, dając do zrozumienia, że paparazzi to ostatnia rzecz, która mnie w tej chwili obchodzi.

Nie mówi nic, ale czuję drżenie jego ciała. Narasta w nim innego rodzaju napięcie. A gdy przesuвам zębami po mojej dolnej wardze, w jego oczach ożywa ogień.

– Co pani robi, panno Brooks?

– Ja? Tak sobie myślę...

– O czym?

– O jednym znajomym facecie.

Unosi brwi.

– Ach tak?

– Mhm. Jest rewelacyjny. I pierońsko seksowny. Jego dotyk czyni cuda na mojej skórze.

Zaczyna mu drżeć kącik ust, a we mnie rozbrzmiewają triumfalne fanfary.

– Chyba jestem trochę zazdrosna. – Przesuwam rękę wyżej, małym palcem muskając lekko jego napęczniałe krocze. – Ależ to był dzień! Co byś powiedział, gdybyśmy weszli do środka, zrzucili ciuchy i

pomogli sobie nawzajem się zresetować?

Jego oczy są jak dwa niebieskie pioruny.

– Powiedziałbym, że to diabelnie dobry pomysł.

Żar w jego głosie rozpała mnie we wszystkich odpowiednich miejscach.

Niechętnie odsuwam się i otwieram drzwi.

– W takim razie, pan pozwoli za mną.

Wysiadamy z samochodu, po czym biorę go za rękę i prowadzę przez bramę w dół ku pomostowi, przy którym cumuje łódź. Na pokład prowadzi zainstalowany na stałe trap. Byłam tu tyle razy, że wiem, jak to działa, i przejmuję dowodzenie nad sytuacją.

Wchodzę na pokład ostrożnie, bo czasem bywa śliski, rozglądam się po znajomych sprzętach i wydaję przerażony okrzyk. Na jachcie jest jakiś mężczyzna.

Mój głos jeszcze nie ucichł, a Jackson błyskawicznie wysuwa się przede mnie.

Oddycham ciężko, krew pulsuje mi w żyłach, a moje ciało spina się do ataku. Ale to tylko odruchowa reakcja. Strach szybko mija.

Ten mężczyzna nie jest reporterem. Co więcej, nie jest nawet intruzem. W każdym razie nie w podstawowym tego słowa znaczeniu.

Inna rzecz, że może być nie mniej niebezpieczny.

Tym mężczyzną jest Jeremiah Stark.

Rozdział 7

Jackson przypatrywał się ojcu przekonany, że ma przywidzenia. Że stoi przed nim jakiś upiorny zombie, a nie Jeremia Stark z krwi i kości.

Nie tutaj.

Nie dziś.

– Najwyższy czas, chłopcze. Już miałem dać sobie spokój.

Jackson ani drgnął. Nie odzywał się. Po prostu stał tak z Sylwią za plecami, a w uszach słyszał jeszcze echo jej okrzyku.

Jedynie najwyższym wysiłkiem woli udało mu się pozostać w miejscu i utrzymać ręce przy sobie. Bo w tym momencie miał absolutną pewność, że nic na świecie nie sprawiłoby mu większej przyjemności niż skręcenie karku Jeremia Starkowi.

Gdy tylko uznał, że może się poruszyć bez rzucania się ojcu do gardła, zrobił krok w bok i odwrócił się, żeby objąć Sylwię w talii i przyciągnąć do siebie. Wiedział, że to wygląda, jakby próbował dodać jej odwagi. Nic bardziej mylnego. Tak naprawdę to on miał gwałtowną potrzebę, żeby wziąć ją w ramiona. Musiał się jej złapać, żeby móc zachować równowagę. Bo przez cały dzień tyle na niego spadło, że był już na skraju wytrzymałości.

Utkwił martwy wzrok w twarzy ojca.

– Może mi wyjaśnisz, jak, do cholery, wlałeś na moją łódź?

– To nie było trudne – odparł Jeremia i podniósł do góry telefon. – Fotki mnie i moich synów robią dziś furorę w Internecie. Pokazałem jedną strażnikowi i powiedziałem mu, że muszę pilnie się z tobą zobaczyć, a on mnie przepuścił. Dziwne, że nie zauważyłeś mojego samochodu.

– Powiedziałbym, że następnym razem będę uważniejszy, gdyby nie to, że nie będzie następnego razu.

Wynoś się z mojej łodzi, tatusiu.

– Musimy porozmawiać – rzekł Jeremia.

– Musisz się stąd zabierać.

– Nie, muszę przede wszystkim przekonać mojego syna, żeby nie popełnił kolosalnego głupstwa.

– Twojego syna? A, to dzisiaj jestem twoim synem? Jakoś nigdy do końca nie miałem jasności w tej sprawie. – Całe życie Jacksona podporządkowane było jednej decyzji ojca, który postanowił poświęcić się swojej drugiej rodzinie – rodzinie Damiana. Jackson musiał ukrywać, czyim był synem, bo wiadomość o tym, że gwiazda tenisa, Damien Stark, ma przyrodniego brata, porzuconego i zepchniętego gdzieś na margines, za żadne skarby nie mogła wyjść na jaw.

Przez całe lata Jackson miał żal do Damiana, przenosząc złość i frustrację spowodowane przez przewrotnego i samolubnego ojca na brata, którego w ogóle nie znał. Brata, który miał wszystko kosztem

Jacksona. Brata, którego, jak się teraz okazywało, także nie ominął toksyczny wpływ ich ojca.

Z tego też powodu Jackson nie miał najmniejszej ochoty zgrywać teraz przykładowego syna tylko dlatego, że Jeremiaś akurat postanowił pobawić się w tatusia. Przekonywał się właśnie sam na własnej skórze, że bycie ojcem to coś znacznie więcej niż tylko biologia i geny.

– Zrobiłem wszystko, co było trzeba, żeby zapewnić ci dobre życie, a ty chcesz to teraz wyrzucić przez okno. Pani Brooks – Jeremiaś nieoczekiwanie zwrócił się do Sylvii – może wejdzie pani do środka? Mam kilka rzeczy do omówienia z Jacksonem.

– Nigdzie nie idę – odparła z tak bezceremonialną stanowczością, że Jackson zagryzł usta, żeby się nie uśmiechnąć. Wcześniej nie skojarzył, że Sylvia przecież znała jego ojca. Jeremiaś Stark nie pozostawał z Damienem w bliskich stosunkach, ale był to człowiek, który wciśnie się nawet tam, gdzie go nie chcą. Co oznacza, że Sylvia zapewne miała już wątpliwą przyjemność obcowania z nim, i to nie jeden raz.

– Jak pani woli – rzekł Jeremiaś. – Powiem to, co mam do powiedzenia, i już mnie nie ma. Synu, musisz zapanować nad tą aferą. Musisz oficjalnie poprzeć ten film.

Na te słowa Jackson stanął jak rażony piorunem.

– Co pan wygaduje, do cholery? – To Sylvia zadała to pytanie. Jackson był jeszcze zanadto zszokowany. – Dlaczego, u diabła, miałby to zrobić?

– Żeby obalić motyw – odrzekł Jeremiaś. – Nie sądzi pani chyba, że chciałbym zobaczyć mojego syna za kratkami? Musisz mądrze to rozegrać, synu. Zadbaj o to, żeby skutecznie wyeliminować wszystko, co przemawia za twoim motywem.

– Ten film nie powstanie.

Kiedy wynikła sprawa filmu i pogroźek Reeda, Jackson postanowił, że będzie robił wszystko, żeby chronić Sylvię. I dlatego miał zamiar ustąpić w kwestii ekranizacji i skupić się na tym, żeby zapewnić jej miłość oraz poczucie bezpieczeństwa. Mieć ją blisko przy sobie, opiekować się nią i chronić przed wścibskim okiem kamer i reflektorów.

Tyle że śmierć Reeda usunęła problem szantażu i nie musiał już na nic się oglądać. Teraz więc priorytetem stało się uchronienie Ronnie przed skandalem. W razie potrzeby był gotów walczyć nawet w więziennej celi, ale niemożliwe, żeby spokojnie siedział i się przyglądał, jak na ekrany wchodzi film o tragedii, która zaważyła na życiu jego małej dziewczynki.

– To znaczy, że jesteś większym głupcem, niż przypuszczałem – stwierdził Jeremiaś. – Bo ten film zostanie zrobiony niezależnie od tego, czy będziesz próbował go zablokować, czy nie. Wydaje ci się, że masz na cokolwiek wpływ? Dobrze się zastanów. Zwłaszcza teraz, kiedy wydało się, że jesteś spokrewniony z Damienem, ciśnienie tylko wzrośnie. A jak narobisz wokół tego jeszcze większego smrodu, to po prostu przerobią to na fikcję. I co z tego? Wszyscy i tak będą wiedzieć. Plotek to nie powstrzyma.

Stojąca za nim Sylvia ścisnęła go za rękę, dodając mu otuchy. Cholera, w tej chwili niczego więcej nie pragnął niż pozbyć się ojca i wziąć swoją kobietę w ramiona. Zapomnieć o paparazzich, zapomnieć o mediach i o człowieku, którego miał przed sobą. W tym momencie Jackson potrzebował jedynie Sylvii. Miał ochotę ująć ją za rękę, przytulić do siebie i napawać się jej dotykiem. Natychmiast ogarnęło go przemożne pragnienie, żeby wziąć w posiadanie jej ciało i dać jej niezapomnianą rozkosz.

Krew zaczęła tętnić mu w żyłach, gdy wyobraził sobie jej oczy coraz szersze od wzbierającego

pożądania, którego to on był celem i przyczyną. Przynajmniej nad tą kobietą miał panowanie – nad jej ciałem, przyjemnością i zaspokojeniem. Wszystko inne wokół niego zaczynało się sypać i wymykać mu spod kontroli. Ojciec. Zabójstwo Reeda. Czy choćby te próby skompromitowania ośrodka. Jego życie zawirowało, a Syl znalazła się w oku tego cyklonu. Tak strasznie jej teraz potrzebował. Tak rozpaczliwie pożywał. I do szału doprowadzał go fakt, że nie mógł jej wziąć tu i teraz, bo facet, który – jak się akurat złożyło – był jego ojcem, cały czas tam stał i pieprzył coś bez sensu.

– Zobacz, gdybyś zaakceptował ten film, twój motyw straciłby wszelkie podstawy. Po co byś miał go zabijać, skoro film nic cię nie obchodzi, tak?

– Idź już – odparł Jackson zimno. – Wchodzimy do środka. Nie jesteś tu mile widziany.

– Staram się cię chronić.

– Coś ty?

– Cholera, synu...

– Synu? Jesteś pewien? Bo z mojej perspektywy to nigdy nie byłem twoim synem. Byłem tylko ciężarem zepchniętym gdzieś w jakiś kąt. Dzieciakiem, o którym absolutnie nikt się nie może dowiedzieć. Bo jeszcze byśmy z mamą wywołali skandal i przeszkodzili ci w cyckaniu tej złotodajnej krowy.

Sam słyszał gorzkość w swoim głosie – ślad chowanych przez lata uraz – i pożałował, że się w ogóle odezwał. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, to odsłonić przed tym człowiekiem swój ból.

– Przecież opiekowałem się tobą i twoją matką.

Jego ojciec był przystojnym mężczyzną – typ gwiazdora filmowego w średnim wieku. Ale w tej chwili był czerwony i zdenerwowany.

Jego słowa stanowiły jednak tylko pustą wymówkę i tyle właśnie mówiło pełne pogardy spojrzenie, jakim obrzucił go Jackson.

– Dawałem wam pieniądze – ciągnął Jeremiaś. – Dbałem, żebyście mieli, co jeść.

– Tak, prawdziwy z ciebie świętoszek.

Za jego plecami Sylvia poruszyła się ledwo zauważalnie, ale on wiedział, co się z nią dzieje. Widziała w Jeremiahu swojego własnego ojca i Jackson ze zdumieniem uświadomił sobie, jak bardzo ci dwaj mężczyźni grający swoimi dziećmi jak pionkami na szachownicy są do siebie podobni.

– Jackson...

– Co robiłeś na moim pokazie? – To pytanie, pozornie bez związku, ze świstem przecięło protest Jeremiaha, który aż cofnął się o krok.

– Wiesz dobrze, że razem z Michaeliem jestem w zarządzie Fundacji na rzecz Zachowania Historii i Architektury – odparł, mając na myśli Michaela Prado, który wyreżyserował *Kamień i stal*, film dokumentalny o Jacksonie i jego projekcie muzeum w Amsterdamie. Pokaz odbył się niedawno w Teatrze Chińskim. Jacksonowi ten wieczór szczególnie zapadł w pamięć i to bynajmniej nie z powodu filmu ani spotkania z ojcem, ale ponieważ właśnie wtedy dostał od losu szansę na odzyskanie Sylvii. I samo to wystarczało, żeby Jackson był skłonny uznać ten dzień za święto państwowe.

– Ale nawet gdybym nie był, przyszedłbym i tak – dorzucił Jeremiaś wobec braku reakcji ze strony Jacksona. – Chciałem zaznaczyć, że jestem dumny z osiągnięć mojego syna.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy. Wreszcie Jeremiaś przestąpił z nogi na nogę, zastanawiając się, co by tu jeszcze powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. W końcu Jackson zapytał swobodnie:

– Znaliście się z Reedem?

Jeremiah zacisnął usta.

– Co to za pytanie?

– Takie, na które chciałbym usłyszeć odpowiedź.

– Nie. Niespecjalnie. Spotkałem go raz czy dwa.

– Po co?

– O co ci chodzi, chłopcze? To jakieś przesłuchanie?

– Być może. Dziwnie mocno interesuje cię ten film.

– Interesuje mnie, żeby ocalić ci tyłek – odparował Jeremiah.

– Sam zadbam o swój tyłek, dziękuję. – Przyciągnął Sylwię bliżej. – A teraz już czas na ciebie.

Naprawdę nie przesadzam, kiedy mówię, że nadużyłeś naszej gościnności.

– Jackson, proszę cię. Jestem twoim ojcem.

– Wolałbym, żebyś więcej o tym nie wspominał.

Przez chwilę wydawało się, że Jeremiah będzie się stawiał i Jackson cały napiął się w sobie.

Właściwie to nawet chciałby, żeby ten parszywiec naciskał, można by mu wtedy przywalić. Daj mi jakiś pretekst. Choćby najmniejszy.

Dlatego z rozczarowaniem, chociaż sam musiał przyznać, że tak będzie lepiej, zobaczył, jak jego ojciec obrócił się i zszedł z pokładu jachtu. Po kilku krokach przystanął jednak i obejrzał się na Jacksona i Sylwię u jego boku.

– Szkoda, że powiedziałaś Damienowi, że jesteście braćmi. Chociaż już chyba lepiej tak, niż gdyby się samo wydało. Oszczędzi wam to przykrości.

– Naprawdę sądzisz, że uwierzę, że którykolwiek z nas w ogóle cię obchodzi? A tym bardziej, jak jest dla nas lepiej? Ciebie zawsze obchodził wyłącznie Jeremiah Stark i nikt inny.

– To nieprawda.

– Nie wiem, w co ty pogrywasz, ale nie przyszedłeś tu bez powodu. W cokolwiek próbujesz mnie wmanewrować, tym razem to ci się nie uda.

– W nic nie pogrywam. Jestem twoim ojcem. Martwię się o ciebie. – Wziął głęboki oddech i poruszył rękami w kieszeniach płaszcza. Przez chwilę wyglądał po prostu na bardzo zmęczonego i o wiele starszego niż swojego sześćdziesiąt kilka lat. – Nie zawsze się między nami układało. Ale mi na tobie zależy. Jestem w końcu przecież twoim ojcem.

– To tylko słowo – odpowiedział Jackson. – A w twoich ustach brzmi jak pusty, nic nieznaczący dźwięk.

Rozdział 8

Obserwuję Jacksona, jak odprowadza ojca wzrokiem, aż ten niknie w ciemności.

Boli mnie całe ciało i uprzytamniam sobie, że napięcie nie opuściło mnie, odkąd wróciliśmy i znaleźliśmy tych wszystkich paparazzich pod bramą.

Właściwie to nie odprężyłam się, odkąd wyszliśmy z biura Charlesa. Odkąd wyjechaliśmy z Santa Fe. Odkąd policja powiadomiła nas o morderstwie Reeda.

Za kilka godzin Jackson wejdzie na komendę policji w Beverly Hills. I tak potwornie się boję, że już stamtąd nie wyjdzie.

W sumie to może powinnam nawet podziękować Jeremiahowi i tym sępom za bramą. Dzięki nim przynajmniej przez kilka minut zapomniałam o strachu. Za bardzo byłam wściekła. Na paparazzich. Na Jeremiaha. Na mojego własnego ojca.

Biorę głęboki oddech. Nie chcę teraz myśleć o którymkolwiek z nich. Chcę tylko Jacksona, ale on ciągle stoi tyłem do mnie, z oczami utkwionymi w opustoszały pomost.

– Jackson – zagajam niepewnie.

Odwraca głowę i, chociaż oczy mu łagodnieją, kiedy na mnie patrzy, to w głębi ciągle maluje się gniew.

– Wiedziałem, że prędzej czy później pojawią się dziennikarze, ale on nie ma tutaj wstępu. Nie będzie nas nachodził bez zapowiedzi i zawracał nam głowy.

– Zgoda. Ale już poszedł. – Mój głos jest miękki. W tej chwili chcę tylko, żeby się uspokoił.

Zanurza palce we włosach i wzdycha. Wygląda na tak zmęczonego, że mam jedynie ochotę przytulić go mocno i trzymać przy sobie. Wyciągam rękę i delikatnie biorę jego dłoń.

– Jesteś wykończony, a jutro rano masz być na komisariacie. – Odwracam się, ciągnąc go lekko za sobą. – Chodź, musisz się położyć.

Prowadzę go pod pokład, przechodzimy przez pomieszczenie, gdzie zwykle pracuje, i ruszam do drzwi, za którymi znajduje się część mieszkalna.

Jackson szarpie mnie z powrotem.

– Nie – rzuca chrapliwie i, gdy się odwracam, widzę niepokromiony głód w jego oczach, którego w zasadzie mogłam się spodziewać. Bo to nie snu mu teraz potrzeba. Nie, kiedy cały świat wokół nas wali się w gruzy.

Przyciąga mnie do siebie nieznoszącym sprzeciwu gestem. Przywieram do niego i oddycham ciężko, cała rozedrgana od buzującej energii.

– Jak mogę spać, jeżeli dziś może być nasza ostatnia noc? A w tym czasie budują już dla mnie szafot?

– Przestań – błagam. Doskonale wiem, jaka jest sytuacja i nie chcę już tego słuchać.

– Co mam przestać? Przestać cię dotykać? Przestać cię pragnąć? – mówi, muskając mnie ustami po uchu, i celowo przekręca moje słowa. – Przestać brać od ciebie wszystko to, co pozwoli mi przetrwać jutro i pojutrze, i później?

– Jackson, proszę. Nie chcę...

– Prawdy? – Odsuwa się i zagląda mi prosto w oczy. Odwracam wzrok zawstydzona, bo to jest właśnie to, czego próbuję uniknąć. – Kotku, ja nie udaję, że rzeczywistości nie ma. I ty też nie. – Przesuwa mi czubkiem palca wzdłuż muszli ucha, a potem wolno zbiega w dół po szyi. – Potrzebuję cię, Sylvia. Zawsze. Ale dzisiaj... Jeżeli dziś mnie odepchniesz...

– To co? – Jestem już cała wrząca z pożądania. Już może sobie ze mną robić to, co zechce.

Rozciąga usta w leniwym uśmiechu, a w jego oczach widzę niebezpieczny blask.

– To i tak wezmę to, czego chcę, tak jak mi się podoba. – Gwałtownym ruchem przyciąga mnie za biodra. Jest twardy jak skała. Otacza mnie ramieniem i odcina mi możliwość ruchu, zaciska jedną rękę na moim pośladku, drugą na mojej piersi i całuje mnie zapamiętane.

Bierze mnie szturmem, zaskakująco sprawnie, z żarem i mocą.

– Tak – wrywa mi się przeciągły jęk. Przebiega mnie słodki dreszcz i całe moje ciało iskrzy i wrywa się do niego.

– Powiedz, że chcesz – dyszy, przerwawszy pocałunek. – Poddać się moim żądaniom. Oddać mi klucz do twojej rozkoszy. Być moim narzędziem.

Z każdym jego słowem robię się coraz bardziej mokra, a piersi niemal rozsadzają mi stanik. Najchętniej zaczęłabym ocierać się o niego w górę i w dół, aż spłynęłaby na mnie błogość. Ale się powstrzymuję i zmuszam, żeby pozostać na miejscu.

– Powiedz, Sylvia – prosi. – Powiedz, że mogę cię wziąć. W każdej chwili i tak jak zechcę.

Podnoszę głowę do góry i patrzę mu śmiało w oczy.

– Nie – odpowiadam szeptem i czuję ekscytującą falę zakazanego gorąca. Mam przemoczone majtki, a moje brodawki są tak wrażliwe, że nawet oddychanie zdaje się je pobudzać.

Podtrzymuje moje spojrzenie. Tym razem jego wzrok jest pusty. Tylko drganie policzka zdradza jakiegokolwiek emocje.

Brutalnym gestem łapie mnie za pierś. Ścisną i przez cienki materiał bluzki i koronkowy biustonosz drażni mi brodawkę palcami.

– Ale cię zaraz wyrucham – mówi, a dotyk jego dłoni przenika mnie jak iskra.

Zwinnie łowi moje usta w pocałunku, po którym z trudem dochodzę do siebie, podczas gdy on już pieści wargami moją szyję i schodzi niżej do moich napęczniałych piersi.

Jestem skołowana, ale staram się za wszelką cenę zachować równowagę. Osuwa się na podłogę i zadziera głowę do góry. I chociaż to Jackson jest na kolanach, oboje wiemy, że to on tutaj rządzi.

– Rozbierz się.

Kręcę opornie głową.

Unosi lekko brew.

– Rozbierz się. – Tym razem każde słowo wypowiada z naciskiem.

Zagryzam wargi.

– Nie.

Kącik ust zaczyna mu drżeć i powoli podnosi się z ziemi.

– Nie?

Patrzę na niego wyzywająco.

– Myślałam, że po prostu bierzesz to, czego chcesz.

– Bo tak jest – potwierdza. – Chcę twojego poddania.

– A.

Widzę błysk triumfu w jego oczach, po czym rusza do wyjścia.

– Sama zdecyduj, jak chcesz się bawić, skarbie. Ale ja gram tylko według moich zasad.

Jest już przy schodach wiodących z powrotem na pokład, kiedy go przywołuję. Odwraca się z uniesionymi brwiami i niemym pytaniem w oczach.

Zsuwam z nóg balerinki. Powoli zaczyna iść w moją stronę, a ja tymczasem zdejmuję dzinsy razem z bielizną. Schyla się i koniuszkiem palca zbiera z podłogi majteczki.

– Koronkowe. Piękne.

– Cieszę się, że ci się podobają – odpowiadam zdławionym głosem.

Stoję tak tylko w staniku i bluzce. Okno wychodzące na pełny ocean jest otwarte na oścież i chłodne powietrze dodatkowo pobudza moją już mokrą mychę. Jestem już na skraju wytrzymałości i tak bardzo chcę dać się ponieść, że chyba nie mogę czekać.

– Koniec z tym – stwierdza i dopiero po chwili orientuję się, że ma na myśli majtki.

– Ja... Co?

– Nie noś ich już. – Patrzy mi w oczy. – Kiedy będę o tobie myślał, chcę, żebyś była naga. Za to noś naszyjnik. Od tej pory już zawsze. Aż powiem, że możesz przestać.

– Aha. – Czuję dreszcz podekscytowania na plecach. Naszyjnik to łańcuszek z wisiorkiem, który tak naprawdę jest wibratorem. Jest śliczny i elegancki, i cudownie skuteczny. Ostatni raz założyłam go, zanim wylecieliśmy do Santa Fe.

Kiwam głową.

– Dobrze – mówię. Brwi mu podskakują i poprawiam się szybko: – Tak, panie.

– Grzeczna dziewczynka. Ale nadal nie jesteś naga.

– A, tak. – Rozproszyłam się. – Już. – Ściągam bluzkę przez głowę i rzucam na ziemię, a w chwilę później ląduje na niej biustonosz.

– Ależ ty jesteś piękna. – Przeciąga palec wzdłuż linii mojego biodra. – Nieczęsto ma się okazję dotykać czegoś tak pięknego. – Przesuwa palec wyżej, muskając mnie lekko, ale z porażającą intensywnością. Obrysowuje mi pierś. Jego dotyk jest delikatny jak pocałunek motyla, a jednak tak przejmujący, że przebiega mnie prąd.

Kiedy zabiera palec i przerywa kontakt, z ust wyrzywa mi się żalosne skomlenie.

– W muzeum zasady są proste. Jak coś jest piękne, to nie wolno dotykać.

Pochyliła się i szepcze mi wprost do ucha. Nie dotyka mnie, więc jego oddech staje się najsilniejszą pieśzczotą.

– Ale to nie dotyczy właściciela. Więc powiedz mi, Sylvia. Jesteś moja?

– Tak. Boże, tak.

– Dotykać – powtarza, jakby mnie nie słyszał. – Odkrywać i stymulować. – Jakby na zobrazowanie

swych słów przebiega palcem wzdłuż mojego ciała. Podchodzi po rękach i ramionach, aż do karku.

Miejsca, których dotyka, nie są jakoś specjalnie wrażliwe, a jednak z każdym muśnięciem coraz bardziej rozpala mi zmysły, a końce jego palców wysyłają ładunki elektryczne wprost do mojego centrum tak, że niebawem robię się rozdygotana, mokra i strasznie niecierpliwa.

Osuwa się na kolana, trzymając mnie za biodra. Unosi głowę, a ja pochylam się nad nim i spoglądamy sobie prosto w oczy. Pragnienie i żar, który czytam w jego wzroku, prawie mnie onieśmielają.

Przywiera do mnie, przytula usta do mojego brzucha, a potem schodzi niżej i niżej, podążając za linią włosów łonowych, aż do delikatnej skóry u zbiegu moich ud. Zatracam się w dzikim uniesieniu, jestem jedynie czuciem i pragnieniem, nadzieją i żądaniem. Wyginam plecy, gdy zaczyna pieścić mi językiem łechtaczkę i naelektryzowane strumienie rozkoszy rozpryskują się we mnie, żeby ostatecznie spotkać się w moim kroczu.

Jestem już na krawędzi i wystarczy jeden mały impuls, żebym spadła na drugą stronę. Jeszcze jedno liźnięcie. Kolejne muśnięcie jego palców. Jestem już tylko potrzebą, jednym rozbuchanym pragnieniem.

Jackson zwleka, każe mi czekać.

Zabiera dłoń z mojego biodra. Odsuwa ode mnie usta. A potem powoli wstaje. Jego znaczący uśmiech świadczy o tym, że doskonale wie, co się ze mną dzieje.

– Idź na dół – mówi głosem, w którym dźwięczy rozkosznie lubieżna zapowiedź. – Połóż się na łóżku. Rozstaw nogi i zamknij oczy.

Natychmiast ruszam do pokoju poniżej. Oglądam się raz, żeby zobaczyć, czy idzie za mną, ale go nie widzę. Waham się, ale tylko przez chwilę. To zabawa, wiem o tym. Oboje to lubimy. To sposób, żeby się nawzajem w sobie zatracić. Zapomnieć o tym, co nas przytłacza. I później mieć coś, czego można się trzymać.

Układam się na łóżku rozpostarta, z zamkniętymi oczami i pogrążam się w wizjach, które podsuwa mi rozbudzona wyobraźnia. Lubi, kiedy na niego czekam. Kiedy wilgotnieję dla niego i kiedy go pragnę. Leżę tam, otwarta i gotowa, żeby mnie wziął i zrobił ze mną, na co tylko przyjdzie mu ochota.

Prawda jest jednak taka, że ja też to lubię. To podniecenie, które narasta, kiedy czekam naga, rozłożona i mokra. Miękki pocałunek wiatru na mojej skórze. Kołysanie i skrzywienie łodzi, od którego cała zaczynam buzować, bo nie wiem, czy to łódź, czy może odgłos kroków.

Ale największą przyjemność sprawia mi wykonywanie jego poleceń. Oddanie całej odpowiedzialności i świadomość, że zabierze mnie bardzo daleko, ale później sprowadzi mnie bezpiecznie z powrotem.

Nie wiem, ile czasu tak trwam, gdy nagle czuję na sobie powiew powietrza. Obracam głowę na bok i odkrywam jego usta przy swoim uchu.

– Pięknie.

To wszystko, co mówi, ale to jedno słowo jest tak nabrzmiałe pragnieniem, że zaczynam wrzeć, jakby wewnątrz zerwała mi się do lotu chmara rozżarzonych motyli, które ostatecznie skupiają mi się między nogami. Ich lekka pieśczoła doprowadza mnie do szaleństwa.

Oddech Jacksona pachnie miętą i wydaje mi się to dziwne, bo z zasady nie żuje gumy ani dropsów odświeżających. Nie pytam jednak, bo wiem, że mam się nie odzywać. Zresztą szybko zaspokaja moją ciekawość, gdy bez żadnych wstępów kładzie mi ręce na udach i rozkłada szerzej, po czym przywiera

ustami do mojej łechtaczki.

O. Mój. Boże.

Jego język wyczynia ze mną cuda, ale to nawet nie to mnie tak podnieca. To mięta. Jak dotyk lodu i ognia jednocześnie, który lekko bolesnym ukłuciem potęguje moją gotowość.

Wiję się, próbując powstrzymać tę lawinę doznań, która lada chwila porwie mnie ze sobą, ale Jackson szybko blokuje mnie na miejscu. Nie mam jak się wywinąć. Mogę tylko odczuwać. Rozkosz. Ból. Jaskrawy, kipiący żar, który rozlewa mi się po ciele, aż wreszcie wyginam się konwulsyjnie na materacu z rękami zaciśniętymi na piersiach, a język Jacksona rozsadza mnie na kawałki.

Dopiero po tym, jak przez moje ciało przetoczy się fala wstrząsów, udaje mi się znów złapać oddech. Ale Jackson nie pozwala mi dojsć do siebie, bo chwyta mnie za biodra i ściąga w dół łóżka tak, że moje pośladki opierają się tylko o brzeg. Podnosi mnie i wchodzi we mnie ostro.

Rozpływam się w błogiej przyjemności. Z tego, że mnie bierze. Że mnie posuwa.

I gdy przykładam sobie rękę do krocza, żeby rozniecić moją napęczniałą do granic łechtaczkę, słyszę jego gardłowy, zadowolony pomruk, podczas gdy naciera na mnie nieprzerwanie raz po raz.

Czuję, jak buduje się w nim napięcie, i zaciskam mięśnie, żeby spotęgować siłę eksplozji i dać się unieść tej drapieżnej furii.

I gdy wreszcie we mnie wybucha, moje ciało chłonie każdą kroplę jego rozkoszy, dopóki obydwójce nie ucichniemy w spełnieniu.

Gdy dochodzimy do siebie na tyle, żeby móc się poruszyć, pozwala mi otworzyć oczy. Widzę, jak uśmiecha się do mnie czule, z błogim wyrazem zadowolenia na twarzy. Podciąga się w górę łóżka i podaje mi rękę, żebym zrobiła to samo.

Wybieram jednak inną drogę i zaczynam całować go w górę po całym ciele. Jego łydka. Sprężyste, opalone udo.

Docieram do nowego tatuażu wykonanego przez Cass tuż nad kością łonową – moje inicjały: SB – i całuję go delikatnie. Przeciagam pieszczotliwie językiem wzdłuż jego na wpół sztywnego członka, wywołując jego ciche, gardłowe rżenie.

Podnoszę wzrok, uśmiecham się i zauważam saszetkę miętówek na szafce przy łóżku.

Wyciągam rękę, ale w tym momencie wybucha śmiechem i łapie mnie za nadgarstek, po czym przyciąga mnie, aż leżę mu na torsie schowana w jego ramionach.

– To niesprawiedliwe. Chcę spróbować.

– A ja chcę cię przytulać.

Przekręca nas na bok tak, że leżymy wpasowani w siebie, i głaszcze mnie po ramieniu, aż zaczynam odpływać.

Już prawie zapadam w sen, gdy nagle zaczynam mówić. Nie wiem dlaczego, może chcę, żeby Jackson wiedział, że przegoniliśmy nie tylko Jeremiaha, ale też mojego ojca.

– Ojciec do mnie zadzwonił.

Wypowiadam te słowa cicho, ale wiem, że mnie słyszy, bo jego ramię sztywnieje wokół mnie prawie niezauważalnie.

– Kiedy?

– W Santa Fe. Byłeś na dworze z Ronnie, a ja się kąpałam.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? Czekaj – poprawia się. – Wiem dlaczego. Bo zachowywałem się jak ostatni dupek.

Odwracam się, bo chcę spojrzeć mu w twarz.

– Nie – mówię i całuję go delikatnie. – Chciałeś mnie chronić. Na ten swój tępy sposób, oczywiście – dorzucam, na co uśmiecha się nieznacznie w odpowiedzi. – Ale chciałeś dobrze. A nie mówiłam ci, bo i tak miałeś już dość na głowie z Ronnie i z Reedem.

Uśmiecha się z przekąsem.

– Czyli ty też próbowałaś mnie chronić. Ładna z nas para, nie ma co.

Natychmiast się rozpromieniam.

– Lubię tak myśleć.

Nie przestaje głaskać mnie po ramieniu i wypuszczam z ulgą powietrze, rozkoszując się tą pieśczołą. Ale po chwili podnoszę się na łokciu ze zmarszczonymi brwiami.

– Dlaczego Jeremiah nie chciał, żeby wasze pokrewieństwo z Damienem się wydało? Rozumiem – wtedy, kiedy Damien był gwiazdą i reklamował płatki śniadaniowe. Ale teraz?

Jackson kręci głową.

– Nie wiem. Szczerze mówiąc, zastanawiam się, czy to nie on przypadkiem wypuścił to w obieg.

– Zdaje ci się, że ten ojciec przyrzeka za wiele?^[1]

– Coś w tym rodzaju.

– Ale po co?

– Nie mam pojęcia – przyznaje Jackson. – I w tej chwili nie mam ochoty się nad tym zastanawiać. –

Przygarnia mnie i wtulam twarz w jego szeroką pierś. – Sylvia, jutro...

– Nie chcę rozmawiać o tym, co będzie jutro. Proszę. Możemy?

Na chwilę zapada cisza, a potem mówi:

– Dobrze. Ale to nadejdzie, czy tego chcemy, czy nie.

Wiem o tym. Wiem bardzo dobrze. Ale przez tych kilka godzin chcę jeszcze się karmić iluzją.

Może jeżeli będę wierzyć naprawdę mocno i trzymać go przy sobie ze wszystkich sił, to moje życzenie się spełni.

Rozdział 9

Trudno o wyższy standard wśród komisariatów niż posterunek w Beverly Hills. Nie jestem ekspertką, ale widziałam na tyle dużo policyjnych programów, żeby wiedzieć, że w większości z nich ze ścian obłazi posępna, szara farba, kiedyś pewnie biała, szklane przegrody są tak brudne, że nic przez nie nie widać i wszędzie poprzyczepiane są setki starych, pomiętych notatek.

Ale nie tu. Siedzę na wypolerowanej, drewnianej ławie w długim holu. Wprawdzie na podłodze nie ma trawertynowych płytek, ale posadzka jest czysta i zadbana. Prawdę mówiąc, wszystko tu jest czyste i błyszczące: zarówno sam budynek, jak i pracujący tu ludzie. A w tej chwili poświęcam tym szczegółom przesadnie dużo uwagi. Bo jeżeli skupię się na tym, jaki kształt formuje na przeciwległej ścianie wpadające przez okno światło, to może uda mi się nie oszaleć. Bo Jackson, Harriet i dwóch inspektorów tkwią w pokoju przesłuchań od blisko godziny.

Przyjechali tu przede mną – o ósmej rano. Jackson poprosił, żebym nie przychodziła.

– Nie możesz ze mną wejść na przesłuchanie, więc będziesz tam tylko siedzieć sama i się zadręczać. Idź do pracy. Zajmij się czymś. Nie myśl o tym. I zanim się zorientujesz, będę już razem z tobą.

W teorii to brzmiało sensownie i taki też miałam plan, kiedy w drodze do Beverly Hills Jackson podwoził mnie do mieszkania. Ale potem jakoś mój samochód przejął inicjatywę i zawiózł mnie do gmachu w stylu art déco przy Rexford Drive.

I w tej chwili robię dokładnie to, co przepowiedział Jackson: zadręczam się, zamiast pracować.

W dodatku wiem przecież, że nie powie tam nic innego niż „Za radą mojego obrońcy odmawiam odpowiedzi, bla, bla, bla”. Ale co, jeżeli go aresztują? Co, jeżeli wczorajszy wieczór to były jego ostatnie chwile na wolności?

Co, jeżeli dzisiaj go stracę?

Wyciągam telefon, żeby zadzwonić do Cass, ale przypomina mi się, że w poniedziałki otwiera studio dopiero o drugiej, żeby odespać zaległości. Wiem, że nie będzie mi miała za złe, jeżeli ją obudzę, biorąc pod uwagę okoliczności, ale nie chcę przeszkadzać, zwłaszcza że dopiero co wróciły do siebie z Siobhan. Tak się cieszę, że Siobhan znowu jest w życiu Cass, a Zee wypadła na aut.

Rozważam to przez chwilę, błędząc kciukiem po ekranie telefonu, i biję się z myślami. W końcu zdecydowanym ruchem wrzucam aparat do torebki. Jestem już dużą dziewczynką, dam sobie radę sama.

O Boże.

Robi mi się słabo, bo za nic nie chcę przechodzić przez to sama. Ani przez to czekanie tu, w tym korytarzu, a już na pewno nie przez resztę życia.

Oddychać. Po prostu oddychać.

Koncentruję się na tym i przez następne dziesięć minut jak mantrę powtarzam sobie: „wdech-wydech”.

Ale z każdą upływającą minutą mój strach tylko się wzmacnia. I kiedy staje się jasne, że nie zniosę ani chwili dłużej i wyszarpuję telefon z torebki, żeby wybrać numer, słyszę, że ktoś mnie woła z drugiego końca korytarza.

Instynktownie spoglądam na drzwi, zza których ma wyjść Jackson. Oczywiście, nikogo tam nie ma, a kiedy odwracam głowę w przeciwnym kierunku, widzę Orlando McKee zbliżającego się do mnie energicznym krokiem.

– Ollie?

Ollie jest współnikiem w Bender Twain, ale nie mam pojęcia, co może robić tutaj. Zrywam się z miejsca w przyпадzie nagłej paniki.

– Co się stało?

– Nic. Ja nic nie wiem. Nikki poprosiła, żebym tu zajrzał do ciebie.

– Naprawdę?

Zdumienie w moim głosie doprowadza go do śmiechu.

– Pewnie Damien powiedział jej, że nie przyszedł do biura i domyśliła się, że jesteś tutaj. I pewnie panikujesz. Więc zadzwoniła do mnie.

– To bardzo miło z jej strony. – Jestem szczerze wzruszona. Lubię Nikki i ostatnio bardzo się do siebie zbliżyłyśmy, chociaż w ogólnym zarysie to nie znam jej przecieź za dobrze. Jak dotąd moją jedyną serdeczną przyjaciółką jest Cass. Ale też sądzę, że warto dać temu szansę, a to, że Nikki przysłała mi Ollie’ego na wsparcie, oznacza, że ona uważa podobnie.

– Jak się miewa Cass? – pyta Ollie. – Podjęła już decyzję, co ma zamiar zrobić?

– Wchodzi w to – odpowiadam. Chodzi o plany Cass, żeby przekształcić Totally Tattoo we franczyzę.

– Pewnie niedługo do ciebie zadzwoni z prośbą o pomoc przy następnym ruchu. Ale teraz wpadła w nowy związek. W zasadzie stary, tylko odnowiony – ale nie bądźmy małostkowi.

– Cieszę się. Mam nadzieję, że jej się ułoży.

Ponieważ akurat wiem, że jego próby odbudowania starego związku spełzły na niczym, wolę zmienić temat.

– Spotykam się z nią i z moim bratem jutro wieczorem. Powiem, że o nią pytałeś. Może to da jej jakiegoś kopa.

– Oczywiście, pozdrów ją ode mnie, ale nie musisz jej kopać. Niech się, broń Boże, nie spieszy i dobrze wszystko przemyśli.

– Mówisz jak prawnik.

– Codziennie rano praktykuję przed lustrem – odparowuje ze śmiertelną powagą, doprowadzając mnie do śmiechu.

– I wyglądasz jak prawnik. – Obciął swoje długie włosy, a okulary zamienił na szkła kontaktowe. Krótko mówiąc, Orlando McKee z hippisa przeobraził się w autentyczne ciacho.

– Cóż, doszedłem do wniosku, że czas trochę dorosnąć.

Uśmiecham się w odpowiedzi, ale prawda jest taka, że wyczerpałam już swoje zasoby lekkiej pogawędki. Odwracam głowę i wbijam wzrok w niezmiennie zamknięte drzwi na końcu korytarza, za którymi znajdują się biura wywiadowców i pokoje przesłuchań, a w jednym z nich siedzi teraz Jackson.

– Naprawdę zaczynam się bać. – Mój głos jest tak cichy, że nie mam pewności, czy Ollie mnie słyszy.

– Wiem. – Otacza mnie ramieniem i chowam mu twarz na ramieniu. – Ale nawet jeżeli go zaaresztują, to nie...

Nie kończy, gdyż drzwi w głębi otwierają się nagle. Przez ułamek sekundy oczami pełnej rozpaczyny wyobraźni widzę Jacksona w kajdankach i pomarańczowym drelichu.

Obraz jest tak wstrząsający, że zrywam się na nogi. I kiedy naprawdę go widzę, jak swobodnie idzie ku mnie ze zwykłą sobie pewnością siebie, nie mogę się pohamować i biegiem rzucam się w jego wyciągnięte ramiona.

– Jesteś tu – mówi, a Harriet odchodzi w stronę Ollie’ego, żeby nam dać trochę prywatności.

– No pewnie, że tak.

Wieszam się na nim, oplatając go w pasie nogami, a on trzyma mnie mocno w powietrzu. Potem puszcza powoli i zsuwam się na ziemię, szczęśliwa, że mam go przy sobie. Że mogę go dotknąć. Że świat wrócił na swoje miejsce.

Gdy stoję na własnych nogach, zarzucam mu ramiona na szyję, a on nachyla się ku mnie, opierając się o mnie czołem.

– Jak poszło?

– Nie zamknęli mnie. To już duży sukces.

Marszczę brwi.

– Nie żartuj sobie.

– Kochanie – mówi – ja nie żartuję.

Patrzę na niego i widzę na jego twarzy napięcie i wyczerpanie. Żołądek skręca mi się z niepokoju.

– Matko, Jackson, co oni wiedzą?

Przeczesuje włosy palcami.

– Niewiele. Na razie. – Napotyka mój wzrok. – Znaleźli mój numer w historii połączeń w jego telefonie. Dzwoniłem do niego w Halloween, zanim tam poszedłem.

– Jezu. – Wyciągam rękę, żeby podeprzeć się ścianą i osuwam się na ławkę stojącą w pobliżu. Jackson natychmiast siada tuż koło mnie.

– Nie – mówi. – Nie. Wiedzą tylko tyle, że dzwoniłem. I, jak twierdzi Harriet, po co miałbym to robić, gdybym chciał go zabić? Po co jeszcze zostawiać ślad? To by nie było rozsądne. – Podnosi mi brodę do góry końcem palca. – A oboje wiemy, że jestem rozsądny.

Obejmuję się ramionami, bo przeszywa mnie gwałtowne zimno, ale kiwam głową. To prawda. Jest wystarczająco rozsądny, żeby umieć zatrzeć po sobie ślady i stworzyć fałszywe przesłanki. Dość rozsądny, żeby zaplanować morderstwo, gdyby tylko zechciał. Albo dość wściekły, żeby dać się ponieść emocjom i wyrzucić cały ten rozsądek na śmietnik. Tak czy siak, jest to dodatkowy, niepotrzebny element w całej tej gmatwaninie. I lepiej, gdyby w ogóle nie istniał.

Jackson splata ze mną palce.

– Hej – mówi miękko. – Jestem wolny. Może to uczcimy, zamiast martwić się tym „co, jeżeli”?

Potakuję głową, ale w środku czuję się martwa i pusta i najchętniej poszłabym się gdzieś porządnie wypłakać. Wszystko się we mnie nawarstwia, wiem. Jestem strzępkiem nerwów. Najbardziej chciałabym przestać w ogóle cokolwiek odczuwać.

– Tak się cieszę, że tu jesteś – mówi znowu. – Nie wiem, jak dałbym radę bez ciebie.

Udaje mi się przywołać na twarz blady uśmiech, bo wiem, że mu to pomoże.

– Nigdy nie będziesz musiał się o tym przekonać – mówię i zanim jeszcze dopowiadam te słowa, potworna, straszna prawda, która do tej pory snuła się gdzieś na obrzeżach mojej świadomości, dociera do mnie z przeraźliwą ostrością i tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymuję się, żeby nie złapać go kurczowo za koszulę, przyciągnąć do siebie i wybuchnąć płaczem.

Bo jest dokładnie tak, jak powiedziałam: będę z nim już zawsze.

Ale jeżeli go aresztują i skazą, to nie będę mogła przy nim być.

Będę sama.

I naprawdę nie wiem, czy mam dość siły, żeby przetrwać bez niego u boku.

– To odpada – mówi Rachel, podając mi kopertę zaadresowaną na nazwisko Damiena.

Od godziny siedzę i pomagam jej ogarnąć wszystkie sprawy, które się nagromadziły, odkąd przejęła biuro Damiena. Cieszę się, że mam się czym zająć. W drodze do biura zatrzymaliśmy się na szybkie śniadanie, żeby uczcić wolność Jacksona, chociaż to, że ostrze miecza dzisiaj nie spadło, nie oznacza, że nadal nie wisi nam nad głową. A zwariuję, jeżeli będę przez cały dzień zastanawiać się nad tym, co teraz.

Dzięki pracy i Rachel mogę się na czymś skupić. I dobrze.

Wyjmuję z koperty kartonik. Zaproszenie na ślub córki senatora Robertsona. To człowiek, z którym koncerty takie jak Stark International chcą utrzymywać jak najlepsze stosunki. Nerwowość w głosie Rachel świadczy o tym, że ona wie, że ja wiem, dlaczego ta opcja odpada: Damien, podobnie jak wiele innych głów największych multimiliardowych gigantów, będzie wtedy negocjował warunki współpracy biznesowej z przedstawicielami chińskich władz.

– Mam po prostu odmówić i wysłać prezent?

– Tak, ale Damien musi dołączyć osobisty liścik i wyjaśnić, że nie będzie go wtedy w kraju. A! – dodaję, bo coś mi się przypomniało. – Jeszcze jedno. – Stoję za jej plecami, więc obie mamy przed oczami monitor mojego, a teraz już w sumie jej komputera. Pochylam się i biorę mysz, po czym otwieram folder na temat senatora Robertsona. Potem prostuję się z triumfalnym uśmiechem i wskazuję na ekran.

– Voilà.

Rachel przebiega wzrokiem artykuł, który zachowałam w archiwum – krótki fragment z „Washington Post” na temat żony senatora i jej zaangażowania w program adopcji chartów, które nie mogą już biegać w wyścigach.

– Skonsultuj to oczywiście z Damienem, ale myślę, że chętnie wesprze taką inicjatywę.

– Mam wysłać senatorowi list z dotacją na projekt jego żony?

– Wyrabiasz się.

Krzywi się ironicznie.

– Cały rano przekładałam spotkania, a teraz jeszcze Dallas.

– Sykes? Czy miasto? – Zimne macki niepokoju podchodzą mi w górę kręgosłupa.

– Sykes. Nie, nie chodzi o ośrodek – zapewnia mnie pośpiesznie i zdaje sobie sprawę, że wyraz mojej twarzy musi zdradzać więcej, niż bym chciała. – Urządza w San Diego imprezę na otwarcie nowego centrum handlowego i chciałby, żeby Damien i Nikki byli na niej obecni, ale ich grafiki to jakiś kosmos,

więc...

– Taaa – mówię i kładę jej rękę na ramieniu. – Wiem, wiem.

– Masz dla mnie jakąś radę?

– Musisz opanować trudną sztukę mówienia „nie”.

Rachel wydaje żalostny jęk.

– Hej, Rachel, jeżeli chcesz tę robotę...

– Gdybyśmy nie były w biurze, powiedziałabym ci coś do słuchu. – Uśmiecha się wesoło. – Ale jestem w pracy i obowiązują mnie pewne zasady, więc pozwolę ci się domyślić.

Wybucham śmiechem. Im więcej czasu spędzam z Rachel, tym bardziej ją lubię i cieszę się, że to ona przejmie moje obowiązki, kiedy już przejdę na stałe do nieruchomości. To znaczy, jeżeli przejdę. A to się nie stanie, jeżeli nie poprowadzę projektu ośrodka jak należy, czyli: na czas, w ramach przewidzianego budżetu i z pozyskaniem wszystkich dodatkowych korzyści, jakie niesie ze sobą sukces. A przez takie wrzutki jak miny wojskowe, szokujące zdjęcia, wycieki prywatnych e-maili i kryminalne procesy rzecz mocno się komplikuje, a przy tym daleko mi do szczytowej formy.

– A jak się w ogóle miewasz? – pyta Rachel, aż podskakuję. Najwyraźniej znów odpłynęłam w mój mały, prywatny świat wiecznego niepokoju. – W sensie, chodzi mi o was i przesłuchanie Jacksona. Trzymasz się jakoś?

Kiwam głową. Wcale się nie trzymam. Jestem jednym wielkim kłębowiskiem nerwów. Umieram wprost ze strachu, że mi go zabiorą. Boję się, co będzie, jeżeli tak się stanie. Co będzie ze mną. I z Ronnie.

Nie wróciliśmy z Jacksonem do tego tematu od tej raczej ogólnej rozmowy na lotnisku. A to też mnie nęka. Ta niepewność. Jeżeli pójdzie siedzieć, to co, mam zostać ciocią Sylwią? Mamusią?

A skoro tak, to co wtedy? Jak mam sobie niby dać radę bez niego?

Otrząsam się z tych myśli, bo nie mogę pozwolić, żeby osiadły mi w głowie. To może prowadzić jedynie do szaleństwa. A w najlepszym przypadku – do chronicznej paranoi.

Więc przywołuję na twarz uśmiech, chociaż jestem pewna, że wypada to raczej niemrawo.

– Nie jest łatwo. Ale jakoś sobie radzimy. – Wzruszam ramionami. Czuję się jak ofiara losu, która chce tylko jakoś dociągnąć do końca dnia.

– Syl. – W głosie Rachel brzmi szczere współczucie. Przyjmuję je z wdzięcznością.

Patrzę na podłogę, jakbym mogła przeniknąć wzrokiem dywan oraz beton i spojrzeć na Jacksona, który kilka pięter niżej pochyla się nad stołem kreślarskim w swoim biurze.

– Praca bardzo pomaga. Pozwala mu w miarę normalnie funkcjonować.

– Tobie też – uzupełnia i muszę skinąć głową. Są tylko dwie rzeczy, w których mogę zatracić się do tego stopnia, że udaje mi się odsunąć od siebie ten wiszący nad nami koszmar: Jackson i praca.

– A jak wam się układa z Trentem? – pytam, żeby zmienić temat. Policzki jej różowieją. Uśmiecham się. – Pohulaliście sobie w Santa Barbara?

Mina jej rzednie i mam ochotę ugryźć się w język.

– W Santa Barbara?

Kręcę głową.

– Przepraszam. Tak tylko pomyślałam. Spotkałam się na kolacji z moim dawnym szefem i mówił, że

wpadł na Trenta w Santa Barbara. No, a ponieważ wiem, że się spotykacie, to pomyślałam... – kończę wzruszeniem ramion i nieporadnym uśmiechem, a w głowie dzwoni mi tylko cholera jasna, psiakrew.

– Nie – odpowiada niepewnie i z lekką urazą. – Może szukał miejsca na jakiś szalony weekend.

– Może. Albo, co bardziej prawdopodobne, to w ogóle nie miało związku z niczym. Może ma tam rodzinę.

Przechyla głowę na bok.

– Wiesz, że chyba tak. – Kiwa głową z przekonaniem, jakby rozwikłała jakąś łamigłówkę i mogła się zająć czymś innym. Ale w jej oczach czai się niepokój i coś mi się wydaje, że narobiłam Trentowi nieprzyjemności.

Taka jestem dyskretna, jak chodzi o Damiena – mogłabym się już oduczyć chlapać jęzorem na lewo i prawo.

Drzwi gabinetu otwierają się, w progu staje Damien i mam ochotę rzucić mu się na szyję za to, że przerwał nam tę niezręczną rozmowę.

– Rachel, przed spotkaniem z Dallasem umówiłem się z Aidenem w Stark Plaza.

Marszczę brwi.

– Ja też mam być? Chodzi o projekt?

– Nie, nie tym razem. Dallas zostaje z nami. – Patrzy mi prosto w oczy. – Przykro mi Syl, ale Tarrant Properties się wycofali. Nie mam jeszcze oficjalnego potwierdzenia, ale zdaje się, że dali się namówić do udziału w Lost Tides – dodaje, mając na myśli projekt konkurencyjnego ośrodka w Santa Barbara, który od dłuższego czasu spędza mi sen z powiek.

W jego głosie słyszę napięcie podobne do gniewu, który roznosi mnie samą.

– Wiesz, kto się do nich zwrócił? – Inicjatorzy Lost Tides do tej pory stosowali wszelkie możliwe chwyt PR-owe, żeby ukryć nazwiska swoich udziałowców. Ich pierwsze komunikaty głosiły, że to ośrodek ma być w centrum zainteresowania, a nie wspierający go ludzie.

Dla mnie to znaczy tyle, że nie mają nikogo z nazwiskiem kalibru Jacksona.

Damien potrząsa głową.

– Ale kiedy zaczną werbować inwestorów, wtedy będą musieli ujawnić to i owo.

– I dobrze. – Ktokolwiek stał za tym, ściągnął pomysł ode mnie. I nawet jeżeli nie uda mi się go powstrzymać, chcę przynajmniej wiedzieć, kogo nienawidzę.

Z twarzy Damiena wynika, że łatwo się domyśla, co się ze mną dzieje.

– Nie przejmuj się konkurencją – mówi. – Skup się na tym, żeby Cortez był jak najlepszy. A reszta się sama ułoży.

– Pod warunkiem, że nie potracimy wszystkich inwestorów.

– Nikt więcej się nie wycofał.

– Ale cały czas nie było aresztowania – wyrywa mi się niechcący. Nie mam zamiaru przenosić punktu ciężkości z ośrodka na Jacksona. Ale słowa już wyfrunęły – strach przed tym, że Jackson może iść do więzienia, jest zbyt blisko mojej świadomości.

– I kiedy to nastąpi, to się tym zajmiemy – mówi Damien łagodnie. – Omówimy to sobie, kiedy wrócę z lunchu.

Kiwam głową, a Damien rusza w stronę windy, gdy nagle drzwi się otwierają i do biura wpada

roztrzęsiony Jackson.

– Widzieliście to badziewie? – pyta i wciska Damienowi swój telefon do ręki.

– No proszę – kwituje Damien. – Chociaż nie mogę powiedzieć, żebym był zaskoczony.

Rzucam się ku nim i nawet Rachel wyskakuje zza biurka i dołącza do nas. Stoję pomiędzy nimi dwoma z ręką na ramieniu Jacksona, dzięki czemu mogę wspiąć się na palce, żeby lepiej widzieć.

Jedynie co dostrzegam, to nagłówek: „Alcatraz II na kalifornijskim wybrzeżu?”

Spoglądam na Jacksona oszołomiona.

– Co...?

– To jakiś szmatławy wstępniak. O zabójstwie. I pobiciu. I moich rzekomych powiązaniach z jednym i z drugim oraz projektem na Cortez. Ale – żeby odpowiednio podkreślić atmosferę – autor jeszcze wciąga w to wszystko Damiena.

– Rezolutny, morderczy duet – czyta Damien, po czym marszczy się i podnosi wzrok na Jacksona. – Chcesz robić za Robin Hooda? Bo ja nie zamierzam latać w rajtuzach.

Biorę od Damiena telefon i przebiegam artykuł wzrokiem.

– To nie jest śmieszne – mówi Jackson.

– Nie. Ani trochę – potwierdza Damien. – Ale też nie zupełnie nieoczekiwane.

Ledwo do mnie dociera, co mówią. Za to mój żołądek kurczy się coraz bardziej w miarę, jak ogarniam tekst wzrokiem.

– To jeszcze jeden atak na projekt – mówię. Przenoszę wzrok z jednego na drugiego. – Jak te miny przeciwpiechotne. To nie są jakieś tam ploteczki o Jacksonie, o was dwóch, o Reedzie, nic z tych rzeczy. Chodzi o storpedowanie Cortez. Przeklęta wyspa – czytam. – Osnuta tragedią i skąpana we krwi. Zakładamy się, ile czasu upłynie, aż ten tekst trafi na skrzynkę do wszystkich inwestorów?

Damien i Jackson wymieniają spojrzenia.

– Racja – przyznaje Damien.

Ogarnia mnie niepohamowana złość.

– Przysięgam, że uduszę tego, kto się za tym kryje.

Jackson bierze mnie za rękę, co przyjmuję z wdzięcznością, chociaż trochę też bawi mnie ta zamiana ról. Zwykle to ja jestem tą, która stara się go uspokoić.

Zerkam na niego i widzę, że wpatruje się w Damiena z uwagą.

– Słuchaj – spogląda na zegarek – jak stoisz z czasem przez resztę popołudnia? Może dasz się wyciągnąć na popołudniowego drinka?

Przez chwilę nie bardzo rozumiem, ale zaraz przypominam sobie, że Jackson miał zamiar sam się rozejrzeć w sprawie śmierci Reeda i poprosić Damiena o pomoc. Niestety akurat wiem, że Damien zaraz wychodzi na spotkanie z Aidenem, a potem jego grafik pęka w szwach do późnego wieczora, więc dzisiaj nic z tego.

– Jestem zajęty – odpowiada spokojnie. – Ale mogę to poprzekładać. Rachel – dodaje, odwracając się w stronę jej biurka. – Zajmij się tym proszę.

– Oczywiście – odpowiada, a Jackson rzuca mi triumfalny uśmiech.

Wiem, że muszę mieć oczy jak spodki.

W osłupieniu patrzę, jak kierują się razem do windy, a gdy drzwi zamykają się za nimi, Rachel

wzdycha żałośnie.

Parskam śmiechem.

– To jeszcze nie tragedia. Po prostu obdzwoń wszystkich i powiedz, że coś mu wypadło. Akurat w przypadku Damiena to brzmi więcej niż wiarygodnie.

– Nie, to nie to – mówi. – Spójrz. – Stuka palcem w monitor, a ja natychmiast okrążam biurko i staję za nią z fermentem w żołądku.

Gdy widzę ekran, wypuszczam powietrze jednym, nabrzmiąłym:

– Kurwa.

Przed oczami mam wczorajszą scenę na jachcie. Zdjęcie przedstawia nas troje, ze mną za plecami Jacksona, który wpatruje się w ojca z zimną, tłumioną furią. Stoi w agresywnej pozycji siły i, chociaż zdjęcie musiało zostać zrobione z daleka przy użyciu długiego obiektywu, wyraźnie rzuca się w oczy blizna na lewej brwi.

Podpis „Człowiek ze stali ma na pieńku z ojcem?” doprowadza mnie do irytacji. Ale to, co mnie najbardziej przeraża, to samo zdjęcie. Nawet nie fakt, że reporterowi udało się na tyle do nas zbliżyć, że sfotografował scenę, która nigdy nie powinna była ujrzeć światła dziennego.

Nie, bardziej przeraża mnie to, co widzę na tym zdjęciu. A razem ze mną widzi to cały świat.

Bo na zdjęciu widać mężczyznę, który nie cofnie się przed niczym, żeby zdobyć to, na czym mu zależy, choćby miał walczyć do upadłego. Mężczyznę, który bez względu na wszystko broni swojej własności. Mężczyznę, który – jeżeli trzeba – byłby gotów zabić.

Mężczyznę, który – jak sądzę – posunął się właśnie do tego.

I teraz się boję, że wie już o tym cały świat.

Rozdział 10

Phil, barman w Gallery Bar, napełnił szkocką dwie szklanki, a następnie postawił je przed Jacksonem i Damienem.

– Coś jeszcze, panie Steele?

– Nie, dziękuję, to wszystko.

Barman zawahał się, po czym skinął głową.

– Jakby co, to proszę dawać znać – powiedział i odszedł obsłużyć przytuloną do siebie parę siedzącą na drugim końcu długiego baru z granitu. Jackson przygryzł uśmiech. Phil obsługiwał go już wcześniej kilka razy i Jackson wiedział, że jego słowa były czymś więcej niż tylko zawodową formułką. Phil chciał w ten sposób okazać mu wsparcie w tej medialnej burzy.

– Znajomy?

– Nie, ale to dobry barman i wydaje się, że ma nosa do ludzi. W każdym razie mnie jakoś lubi.

Damien roześmiał się i pociągnął łyk ze swojej szklanki. Kiedy wyszli we dwóch ze Stark Tower, wpadli w sam środek ciżby czatujących pod budynkiem reporterów i z trudem musieli torować sobie drogę, ignorując pytania i zaczepki.

Nagabywania i błyski fleszów towarzyszyły im jeszcze na ulicy. Jackson praktycznie dostawał piany, chcąc za wszelką cenę się od nich uwolnić. Z niekłamanym podziwem patrzył jednak na Damiena, który spokojnie, udając, że nie słyszy wołań dziennikarzy, jakby nigdy nic maszerował ulicą i jeszcze go zagadywał. Najwyraźniej przez długie lata kariery przyzwyczyił się już do natarczywości mediów, więc Jackson, który dopiero od niedawna miał z nią do czynienia, czuł dla tego wciąż jeszcze obcego mu brata coraz większy szacunek.

Zmierzali do hotelu Millennium Biltmore, którego słynny, wiekowy bar należał do ulubionych miejsc Jacksona. Od progu Damien odruchowo skierował się do stolika w rogu, ale Jackson powstrzymał go i zaproponował, żeby zostali przy barze. Lubił tu siadać, na wprost wyrzeźbionych w drewnie aniołów, z resztą sali z tyłu, za plecami. Przy barze miał wrażenie swobody, natomiast przy stoliku czuł się jak gość, który musi dostosować się do gospodarza.

Na samą myśl o dostosowywaniu się do kogokolwiek zmarszczył brwi.

– Myślisz, że Sylvia ma rację?

– Mówisz o tym artykule o Alcatraz i rozmyślnym sabotażu? Pewnie tak.

– Cholera. – Dla podkreślenia swych słów Jackson pociągnął długi łyk osiemnastoletniego Macallana.

– Musimy się dowiedzieć, kto nam tu bruździ. A ja muszę się dowiedzieć – dodał, nie patrząc na brata i odstawiając szklankę na kontuar – kto tak naprawdę zabił Reeda.

Odwrócił głowę i napotkał badawczy wzrok Damiena.

– Szczerze powiem, myślałem, że ty.

Jackson zawahał się i, chcąc zyskać na czasie, znowu podniósł drinka do ust.

– Nie ty jeden. Muszę wiedzieć, komu jeszcze ten skunks zalazł za skórę i dlaczego. Znaleźć coś na swoją obronę. A przy okazji chętnie uściskałbym temu komuś dłoń.

Damien przypatrywał mu się intensywnie i Jackson nie wątpił, że próbuje ocenić szczerść jego słów. Czy faktycznie o to chodziło? Czy też Jackson chciał na przykład stworzyć sobie alibi i jakby przyszło co do czego, Damien mógłby z ręką na sercu zeznać, że Jackson prosił go o pomoc w znalezieniu prawdziwego zabójcy. Czyli on sam nim nie był.

Milczał tak długo, że Jackson nabrał przeczucia, że każe mu się odwalić.

– Arnold Pratt – odezwał się wreszcie Damien. – To prywatny detektyw, z którym współpracuję. To znaczy, głównie korzystam z jego usług na rzecz firmy – Ryan konsultuje z nim wyniki wszystkich naszych wywiadów, ale wykonał też kilka zleceń dla mnie osobiście. Parę spraw, które wymagały dobrej sieci kontaktów i wysokiej dyskrecji. Jeżeli ma czas, to przyjmie od ciebie robotę. Jeżeli nie ma czasu, to obstawiałbym, że za odpowiednią opłatą go znajdzie. Syl ma jego numer. Dziwne, że sama tego nie zaproponowała.

– Pewnie by to zrobiła, ale powiedziałem jej, że chcę najpierw porozmawiać z tobą.

– Ooo, czyżbyś potrzebował braterskiego wsparcia? – zapytał Damien z nutą uszczypliwości.

– Czy braterskiego to nie wiem, ale jesteś specem w pozyskiwaniu informacji. A kiedy potrzebuję pomocy, zwracam się do najlepszych.

Damien podniósł szklaneczkę, jakby wznosił toast.

– Trafiony zatopiony.

– Ale skoro już mowa o braterstwie... Poprosiłeś Pratta, żeby sprawdził, kto stoi za tym wyciekami do prasy?

– Nie.

– Jest jakiś powód? – W pojęciu Jacksona kwestia dotarcia do tożsamości sabotażysty stała na drugim miejscu, zaraz po ustaleniu zabójcy Reeda.

Damien wychylił do końca swojego drinka i znaczącym gestem podniósł szklanę w kierunku Phila.

– Bo do tego Pratt nie jest mi potrzebny. Wiem kto. I myślę, że ty też.

– Fakt, zastanawiałem się, czy to nie Jeremiah – przyznał Jackson – ale to wydaje się zupełnie bez sensu.

– Wręcz przeciwnie, to jedyna opcja, która właśnie ma sens. Ja wiem, że to nie ja. Ty twierdzisz, że ty też nie, i jestem skłonny ci wierzyć.

– Wielkie dzięki.

Damien skrzywił się, ale mówił dalej.

– Nie ma opcji, żeby Sylvia albo Nikki coś powiedziały.

– Są jeszcze inni – dorzucił Jackson. – Cassidy wie, i Jamie, i Ryan. Chociaż też sobie nie wyobrażam, żeby rozpowiadali.

– Czyli jedyną osobą z tych, które wiedzą, jaka nam zostaje, jest twoja matka – podsumował Damien. – Ale w tej chwili Penny i tak z nikim nie rozmawia.

– Wiesz o mojej matce?

Penelope Steele zaczęła przejawiać pierwsze oznaki Alzheimer'a dziesięć lat temu. Teraz mieszkała w domu opieki w Queens, na tyle blisko nowojorskiego biura Jacksona, że mógł ją często odwiedzać. Przeważnie nawet go nie rozpoznawała.

– Jak powiedziałeś: lubię być dobrze poinformowany. Ty, kiedy byłeś mały, wiedziałeś o mojej rodzinie. Więc uznałem, że ja powinienem dowiedzieć się czegoś o twojej.

– Mogłeś po prostu zapytać. – Na samą myśl, że Damien węszył wokół jego prywatnego życia, Jacksona ścisnęło w żołądku. Nie żeby to był pierwszy raz. Tak samo podpatrywany poczuł się, kiedy Damien odkrył jego starania o przyznanie mu praw rodzicielskich łącznie z wynikami testów DNA stwierdzającymi ponad wszelką wątpliwość, że Ronnie jest jego córką.

– Teraz bym to zrobił. Ale wtedy nie miałem do ciebie zaufania. I musisz przyznać, że ty do mnie też nie. Mogłem zapytać, ale i tak byś mi nie powiedział.

Jackson milczał. Damien miał rację. Wobec tego opróżnił swoją szklanę i podniósł rękę w górę, dając Philowi znak, że jest gotów na drugiego drinka. Gdy dostał świeżą szklanę, pociągnął z niej długi łyk i przez chwilę smakował trunek. Wreszcie rzekł:

– Cały czas się mnie czepiał, kiedy zaczęliśmy współpracować. A potem naskoczył na mnie za to, że powiedziałem ci o nas. To chyba jednak podważa naszą wersję, nie uważasz?

– A ty?

Jackson westchnął.

– Nie wiem. Jeremia Stark zawsze chadzał sobie tylko znanymi drogami i odgadywanie jego zamiarów jest jak przewidywanie wyników loterii.

– Cieszę się, że to widzisz – skwitował Damien i przekreślił się na stołku, usadawiając się dokładnie na wprost Jacksona. – Pokażę ci coś. – Wyjął telefon, przesunął kilkakrotnie palcem po ekranie i podał Jacksonowi.

– Niech to szlag! – padło, jak tylko zobaczył zdjęcie z poprzedniego wieczoru: on, Syl i Jeremia na pomoście mniej więcej w chwili, gdy kazał się ojcu wynosić ze swojej łodzi. Nawet mu się nie chciało czytać opisu pod spodem, od razu oddał telefon Damienowi. – Pieprzone sukiny!

Całe szczęście, że nie wiedział o tym, zanim wyszli z biura, bo doprawdy nie miał pewności, czy zdołałby utrzymać nerwy na wodzy.

Nagle przypomniał sobie, co było po tym, jak Jeremia już się ulotnił i poczuł ciarki na plecach. Przecież on prawie Sylwię przeleciał tam na pokładzie. Kazał jej się rozebrać i stać nago pod rozgwieżdżonym niebem, a jednocześnie pieścił ją, pobudzał, ruchał.

Na myśl o tym, jak mało brakowało, żeby tak skrajnie naruszyć jej intymność, zawrzało mu w brzuchu i musiał zacisnąć pięści, żeby zwalczyć w sobie nagłą, nieprzebraną chęć, żeby się stąd wyrwać. Zaszyć się gdzieś w jakimś hotelu, złożyć uszy po sobie i ukryć się przed tymi krwiopijcami.

Szlag by to jasny trafił.

– Jesteś wkurzony – powiedział Damien łagodnie.

Jackson wbił w niego ciężkie spojrzenie.

– Jakiś dupek, którego nie znam, siedzi z aparatem wycelowanym w mój dom i strzela fotki mnie i mojej dziewczynie. – Wpatrywał się w Damiena, jak gdyby fakt, że to on pokazał mu zdjęcie, czynił go odpowiedzialnym za cały ten obłąd. – Tak, jestem wkurzony.

Damien skinął głową, jakby z aprobatą.

– Mogę się za to założyć, że Jeremiaha wcale to nie wkurza. Wręcz przeciwnie, pewnie bardzo się cieszy z zainteresowania. – Urwał i odczekał, aż jego słowa przedrą się przez opary gniewu do świadomości Jacksona. – Nie wierz mu, Jackson. Oto moja braterska rada.

Jackson stłumił w sobie złość i przyjrzał mu się uważnie.

– Wiesz, kiedyś często zastanawiałem się, co zaszło między wami. Wydawało mi się, że jesteś wobec niego podły. Pewnie, że miałem swoje powody, żeby go nienawidzić. Nigdy go przy nas nie było. Trzymał mnie i moją matkę w ukryciu. Ty natomiast miałeś go cały czas, a zachowywałeś się jak ostatni gnojek. Wiecznie niezadowolony. Prima donna. Zadufany w sobie bubek.

– Miło, że ostatecznie zmieniłeś zdanie – odparł Damien chmurnie.

Jackson parsknął śmiechem.

– W niektórych sprawach. Nie we wszystkich. Ale, poważnie, kiedy dowiedziałem się o tym, co się stało w Niemczech i to wszystko rozniosło się w mediach... – urwał i zadrżał na myśl o tym, przez co musiał przejść jego brat, gdy ich ojciec doskonale o wszystkim wiedział, a mimo to mu nie pomógł. Skojarzyła mu się Sylvia, która przecież podobnie cierpiała i z trudem pohamował nagły przypływ złości na Jeremiaha, Reeda i ojca Sylvii. Nie mówiąc już o tym świecie, w którym choćby jedno dziecko musiało doświadczyć takiego koszmaru.

Napił się whisky i zamrugał gwałtownie, żeby opanować wzbierające w nim emocje, bo teraz z kolei pomyślał o Ronnie. Naprawdę nie potrafił zrozumieć, jak ci ludzie mogli tak narażać własne dzieci, gdyż dla niego na całym świecie nie było nic, czego by nie zrobił, żeby chronić tę małą duszyczkę.

– W każdym razie – podjął po chwili – rozumiem teraz, dlaczego założyłeś fundację. To dobry cel. Jak tylko mi pozwolą, zgłoszę się znowu do pracy.

Damien skinął głową, ale nie powiedział nic więcej. Zresztą Jackson niczego więcej nie oczekiwał.

– No więc, kiedy media zaczęły pisać o całej tej historii, zrozumiałem, jak musi ci być trudno. Ale i tak miałem cię za gnojka. Przez to, co stało się z Brighton, pamiętasz? A przynajmniej, co – jak myślałem – się stało. – Dopiero niedawno się dowiedział, że pięć lat temu Damien w ostatniej chwili wykupił teren pod inwestycję w Atlancie nie po to, żeby go wyrolować, lecz uratować mu tyłek. Gdyby się nie wtrącił i nie zablokował transakcji, większość przedsiębiorców należących do Brighton Consortium trafiłoby w sam środek zorganizowanej grupy przestępczej, ryzykując utratę zarówno swoich majątków, jak i reputacji.

Jednak niewielu z nich rozumiało, że Damien przyszedł im wtedy z pomocą.

– W moich oczach – ciągnął Jackson – byłeś bezduszny i wyrachowany. Co zresztą jest zrozumiałe. Jak inaczej udałoby ci się zrobić tak błyskawiczną karierę?

– Jak trzeba, to mogę być – odparł Damien otwarcie.

– Możesz, jasne. Ale z natury nie jesteś. – Dokończył resztę whisky. – Wiem, jak pomagałeś Syl w karierze. Widziałem, jak potrafisz chronić swoją żonę i wiem, co zrobiłeś dla jej znajomych. A teraz wiem też, że w Atlancie nie chodziło ci o to, żeby mnie zrobić w konia. Ani nikogo z Brighton.

Posłał bratu jeden ze swych oszalałymi uśmiechów.

– Nie zrozum mnie źle: nie dam ci żyć, jeżeli zobaczę, że coś kombinujesz z Cortez. Ale co do Damiena Starka jako człowieka... Może jednak nie jesteś takim szubrawcem, jak uważałem.

– Tylko tego nie rozpowiadaj – rzekł Damien. – Muszę w końcu dbać o reputację.

– Słowa nie pisnę. – Jackson spojrział na zegarek. – No jak, wracamy?

– Jeszcze chwila. Inspektor Garrison chce mnie jutro widzieć – oznajmił Damien sucho, wspominając o jednym ze śledczych, którzy tego samego ranka przepytawali Jacksona.

Jackson poczuł, jak żołądek zwija mu się w twardy, zimny supeł.

– Po co?

– Cóż, to może mieć jakiś związek z tym, że mój przyrodni brat podejrzany jest o morderstwo. Poza tym jeszcze dla mnie pracujesz, a do tego, jak już chyba wspominałem, spotkałem się z Reedem raz czy dwa. Ale to tylko takie moje luźne dywagacje.

– Cholera, no tak. Przepraszam.

Damien uniósł brwi.

– Za co?

– Że przeze mnie też ci się obrywa.

– Morderstwo to nie jest coś, co się da łatwo przykryć.

– I co masz zamiar mu powiedzieć?

– Że moim zdaniem tego nie zrobiłeś.

Jackson zmierzył go wzrokiem.

– Przed chwilą powiedziałaś coś zupełnie innego.

Damien zachował poważny wyraz twarzy, ale Jackson dostrzegł błysk rozbawienia w jego oczach.

– Nie rozmawiam w tej chwili z policją, prawda? Powiem im, że nie znam cię przecież jakoś bardzo dobrze, ale wiem, że nie jesteś głupi. A zabijanie faceta, któremu kilka dni wcześniej spuściłeś łomot, byłoby bardzo, bardzo głupie. – Odczekał chwilę, po czym pochylił się do przodu, opierając łokieć o bar.

– Jackson, o naszej rodzinie można wszystko powiedzieć, ale nie to, że jesteśmy głupi. Jeremiah to łajdak, ale głupi też nie jest. Jeżeli to on wypuścił informację o tym, że jesteśmy braćmi, to miał w tym jakiś swój cel.

– Co na przykład?

Damian wyprostował się.

– Nie mam pojęcia. Ale pytasz, kto jeszcze mógł mieć interes w tym, żeby załatwić Reeda. Ja twierdzę,

że należałoby go wpisać na listę. Znał Reeda. Sam mówiłeś.

Jackson przez chwilę rozważał jego słowa, po czym powoli skinął głową.

– Porozmawiam z Harriet. Poproszę, żeby mu się przyjrzała. Może udałoby mi się znaleźć coś na „uzasadnioną wątpliwość”.

– Nie musisz – rzekł Damien.

– Ale mnie przekonałeś.

– Chcę powiedzieć, że to już załatwione.

Jackson przyjrzał mu się spod zmrużonych powiek.

– Jak to?

Damien wzruszył ramionami.

– Tak jak mówiłem. Jeremiah Stark zawsze ma jakiś cel. Chcę wiedzieć, co to jest. Poza tym – dorzucił, patrząc na Jacksona znacząco – może to on zabił Reeda.

– Wszystko jest możliwe – stwierdził Jackson oschle. – Ale co by mu z tego przyszło?

– Nie wiem – przyznał Damien. – Gdyby nie był tym, kim jest, mógłbym podejrzewać, że chciał cię ochronić. Powstrzymać produkcję filmu. Powstrzymać Reeda przed złożeniem na ciebie doniesienia za pobicie. Może nawet chronić swoją wnuczkę.

– On o niej nie wie – odparł Jackson sztywno.

– Jesteś pewien?

Jackson nie odpowiedział, bo, do cholery, nie był pewien niczego, więc Damien mówił dalej:

– To zresztą bez znaczenia. Wiemy przecież, że Jeremiah Stark troszczy się tylko o jedną osobę i nikogo więcej. – Skrzyżowali spojrzenia. – Więc uważaj na siebie, Steele. Żebyś się potem nie zdziwił.

Rozdział 11

Ponieważ dzień już dobiega końca, a i tak jestem zbyt roztrzęsiona tą historią ze zdjęciem, postanawiam zgarnąć kilka dokumentów i jechać do siebie popracować trochę w domu.

Mam na myśli dom w sensie umownym. Akurat ostatnio większość czasu spędzamy z Jacksonem na jachcie, gdzie trzyma swój stół kreślarski i inne przybory do pracy. Ja za to lubię rozwalić się wygodnie na leżaku z kieliszkiem wina i odpoczywać, słuchając rytmicznego szumu oceanu. Dzisiaj też chętnie w ten sposób spędziłabym wieczór. Ale nie mogę i mocno mnie to wkurza.

Bo dzisiaj nie jadę do przystani, tylko do siebie. Chociaż, oczywiście, bardzo lubię swoje mieszkanie. I jadę tam dlatego, że chcę pobyć trochę wśród swoich rzeczy, a nie, żeby się schować przed dziennikarzami.

I naprawdę wierzę, że administracja przystani skutecznie ochrania teren. Żaden z tych sępów nie dostanie się w pobliże łodzi ani nawet na parking. Ale wczoraj nie przeszkodziło im to zrobić zdjęć, a to dla mnie za daleko posunięta ingerencja.

Dzisiaj śpię w swoim łóżku.

Dojeżdżając do Santa Monica, uświadamiam sobie, że dziennikarze mogą również czekać pod moim domem, ale gdy stoję pod bramą do podziemnego parkingu, nikogo wokół nie widzę i mogę się rozluźnić. Możliwe, że jakieś niedobitki snują się pod głównym wejściem od ulicy, ale ja wjadę do siebie bezpośrednio z dołu, więc nic nie ryzykuję.

W drodze do windy wysłałam Jacksonowi esemes „W domu, bez problemów. Do zobaczenia”.

Odpowiedź nie nadchodzi nawet jeszcze, gdy docieram na górę, ale nic w tym dziwnego. W końcu jest razem z Damienem, a pomijając wszystko, co się ostatnio stało, mają przecież całe życie do nadrobienia.

Gdy wchodzę do mieszkania, zdaję sobie sprawę, że ja też. Może nie całe życie, ale na pewno kilka dni.

Krzywię się, bo w środku panuje hermetyczny zaduch, w jednej trzeciej przepojony nutą brudnej bielizny, a w dwóch trzecich czymś ze śmieci, które zapomniałam wyrzucić.

Zajmuję się tym w pierwszej kolejności – opróżniam kosze we wszystkich pomieszczeniach. Potem wpuszczam cytrynę do utylizatora, nastawiam i wyrzucam odpady. Wychodząc do holu, otwieram przyciskiem automatycznie podnoszone drzwi na taras i kiedy wracam po trzydziestu sekundach do środka wpada przyjemny, świeży powiew oceanu.

W normalnych okolicznościach miałabym sobie za złe, że wyleciało mi z głowy, żeby wynieść śmieci. Ale dziś okoliczności nie są normalne. Muszę się czymś zająć i wydaje się, że sprzątanie dobrze mi zrobi.

W ciągu pół godziny dokonuję przeglądu spiżarni i lodówki i wyrzucam wszystkie przeterminowane

produkty. Przez kolejną godzinę odkurzam, uzupełniam olejki w potpourri, które trzymam na stole na wprost kanapy, kończę robić jedną turę prania i nastawiam drugą, po czym powtarzam sobie, że skoro dwie godziny temu nie martwiłam się, że nie odpisuje, to teraz tym bardziej nie ma ku temu powodu. Wszyscy wyszliśmy dziś z pracy trochę wcześniej, więc jest dopiero siódma. Pewnie po kilku drinkach poszli na kolację. Powinnam się cieszyć, gdyby tak było. Koniec końców kocham Jacksona i bardzo szanuję Damiena. Zależy mi na tym, żeby ułożyli stosunki między sobą.

Lecz chociaż to brzmi rozsądnie, nie mogę pozbyć się skurczu strachu w żołądku i wreszcie, chociaż nie chcę, wyciągam telefon. Nie, nie zamierzam pisać do Jacksona.

Tym razem wchodzę na portale społecznościowe.

I, szlag by to trafił, od razu wpadam na niego. I to nie jedno zdjęcie.

Jackson i Damien zmierzający razem do Biltmore. Pewno strzelił je w ciemno któryś z reporterów koczujących pod Stark Tower z nadzieją, że uda się uchwycić coś równie elektryzującego jak całus Megan.

Potem znajduję ujęcie, gdy wchodzi oboje do Biltmore, i jeszcze kilka fotek samego budynku opatrzonych hashtagiem #StarkSteeleZobacz.

Super.

Rzecz jasna, w samych zdjęciach nie ma niczego złego. Ale mnie dręczy sam fakt, że w ogóle zostały zrobione. Że istnieją, a istnieją dlatego, że pewna warstwa prywatności Jacksona została oskrobana.

Damien zawsze przyciągał dziennikarzy, ale już dawno nikt na niego nie dybał pod biurem, bo od dłuższego już czasu nie był zamieszany w żaden skandal. Najwyraźniej to się teraz zmieniło.

Teraz jest morderstwo, sabotaż i sensacje rodzinne, i cała szopka zaczęła się na nowo.

Wzdycham ciężko, bo wiem, że to się nie uspokoi, dopóki albo go nie oczyszczą, albo nie osądzą. A tak długo jak jesteśmy razem, sama też siedzę w tym szambie po uszy. Na razie media interesują się mną jedynie jako partnerką Jacksona i menedżerem projektu ośrodka. Wprawdzie wiedzą, że lata temu pozowałam dla Reeda, ale te zdjęcia są tak oklepane, że nikt w sieci się tym nie ekscytuje. Ale im częściej daję się przyłapać z Jacksonem w świetle fleszy, tym większa szansa, że ktoś w końcu zacznie coś węszyć.

A jeżeli dowiedzą się o szantażu, jeżeli to się wyda...

Wzdrygam się, bo to jest opcja, której nie chcę do siebie dopuszczać.

Z najwyższym wysiłkiem próbuję o tym nie myśleć. Podpinam telefon do głośników w kuchni i załączam się moja ulubiona playlista z energicznym „Basket Case” Green Day na początek. To powinno pomóc, myślę sobie, po czym podkręcam dźwięk i idę zmienić pościel. To plus późniejsze odkurzanie zapewni mi zajęcie przez następne pół godziny.

Jeżeli potem Jackson wciąż się nie odezwie, zadzwonię do Nikki. Skoro ja nie wiem, gdzie szukać mojego chłopaka, to może ona będzie wiedziała, gdzie się podziewa jej mąż.

Zdejmuję powłoczki i zwijam w kulkę z zamiarem zanieśienia ich do małego kosza na brudy w schowku koło kuchni. Ale gdy się odwracam, kłęb wypada mi z objęć, a z ust wyrywa mi się przestraszone „Och!”

– Chodźmy – mówi Jackson. Stoi przy kontuarze, postukując w granitowy blat kluczem, który mu dałam. Trzyma się prosto i spogląda na mnie twardym, wyzywającym spojrzeniem. Ale do czego mnie wyzywa, tego naprawdę nie wiem.

– Hm? – pytam. – Dokąd?

Przez twarz przelatuje mu cień irytacji.

– Wracamy na łódź.

– Zwariowałeś?

– Nie. Bynajmniej.

Wpatruję się w niego, potrząsając nieznacznie głową i próbując zrozumieć to, co do mnie mówi.

– Jackson – zaczynam łagodnie – wszędzie są dziennikarze. Znalazłam zdjęcia ciebie i Damiena, jak idziecie razem do Biltmore, więc pewnie ich widziałeś. A to, co się stało wczoraj na przystani? A o ile jeszcze tego nie wiesz, to pozwól, że ja otworzę ci oczy: te pijawki rozpuściły już fotkę ze mną, tobą i twoim ojcem po wszystkich społecznościowych witrynach.

– Widziałem.

– No to dzień dobry! Twoja łódź to naprawdę nie jest teraz miejsce, gdzie powinniśmy być.

Widzę, jak drży mu policzek i zamieram, bo nagle staje się jasne, że on nie tylko jest podminowany, ale cały aż chodzi.

– Okej – mówię. – Opowiedz, co się stało.

– Kiedy szliśmy do Biltmore, to jeszcze dało się znieść, ale kiedy zaczęliśmy zbierać się do wyjścia, okazało się, że oni praktycznie opanowali hotel. Phil pomógł nam się wymknąć przez wyjście służbowe – odpowiada, mając na myśli barmana, z którym czasami gawędzi. – I jeszcze przez całą drogę z powrotem i do samochodu gratulowałem sobie sprytu, bo do Stark Tower dostaliśmy się tak samo, przez wejście dla dostawców na tyłach.

– Czyli udało się wam ich wykiwać.

– Zakradaliśmy się cichcem jak szczury – stwierdził. – Albo przestępcy. – Ostatnie słowo wypowiada z naciskiem, patrząc mi prosto w oczy. Jego głos jest twardy, gniewny i pełen goryczy.

– Jackson...

– Nie. Nie mam zamiaru tak żyć. Jedziemy na łódź i zajmiemy się naszymi sprawami. Będziemy zachowywać się tak, jakby ci łajdacy w ogóle nie istnieli. – Wciąga głęboko powietrze. – Pakuj się, Sylvia. Jedziesz razem ze mną.

Zaciskam usta, bo teraz mam już całkowitą i zupełną jasność. Rozumiem, co się stało i o co mu chodzi.

Kiedyś powiedziałam Jacksonowi, że zaprojektowane przez niego budynki mają w sobie siłę i jakąś dominującą moc. A on powiedział wtedy: „Takie jest nie tylko to, co robię. Ja taki jestem”.

Te słowa sprzed wielu lat wracają do mnie teraz jak duch, bo to jest właśnie przyczyna jego furii: fakt, że nie może zapanować nad skandalem i medialną burzą. Chciałby zrestartować sytuację i wrócić do normalności, ale wie, że nie może.

Więc tak, rozumiem, dlaczego jest wzburzony. Dlaczego jest mu źle. I rozumiem też, dlaczego chce wracać na jacht.

Rozumiem. Ale to nie znaczy, że się na to zgadzam.

Powoli kręcę głową.

– Dzisiaj zostajemy tutaj.

– Nie ma mowy.

– Cholera, Jackson – podnoszę głos, poddając się jego irytacji. – Przykro mi, że świat nie kręci się w tej chwili tak, jakbyś sobie zażyczył, ale nie można najpierw kogoś zabić, a potem udawać, że się nic nie stało.

Wcześniej postąpił krok w moją stronę, ale teraz odsuwa się i taksuje mnie wzrokiem z przekrzywioną głową. Stoję tak, oddychając ciężko. Mam świadomość, że coś w nim przeskoczyło, ale nie jestem do końca pewna, czy dotarło do niego to, co mówię, czy po prostu rozeźliłam go jeszcze bardziej. W końcu otwiera usta i zaczyna mówić powoli, matowym głosem:

– Myślę, że gdybym kogoś zabił, to właśnie tak bym się zachowywał. Jak gdyby nigdy nic.

– Jackson, chcę tylko, żebyś był rozsądny. Po prostu trzymaj się z dala od dziennikarzy. Po co pakować im się pod nos? Nie dawaj im okazji.

Twarz mu łagodnieje.

– Ty naprawdę myślisz, że ja go zabiłem.

– Ja... – urywam, bo nagle niczego nie jestem pewna.

– I cały czas przy mnie jesteś.

– A gdzie mam być? – odpowiadam miękko. – Cokolwiek zrobiłeś, zrobiłeś to dla mnie. Dla Ronnie. Rozmawialiśmy już o tym, Jackson. Wiem, że choćby nie wiem co, to zawsze będziesz mnie chronił. A teraz ja próbuję chronić ciebie.

Przecina odległość między nami. Tym razem jest tak blisko, że czuję jego zapach. Piżmowego drewna z lekką domieszką whisky.

– Kotku – mówi z żarem w głosie – nie tego teraz od ciebie potrzebuję.

Wydaję zduszony jęk, kiedy popycha mnie na ścianę, podnosi mi ręce i przytrzymuje nad głową, blokując oba nadgarstki prawą ręką. Chcę coś powiedzieć, ale zamyka mi usta zachłannym pocałunkiem, podczas gdy jego lewa ręka zapuszcza mi się w getry. Drażni mnie obcesowo palcami, a potem zanurza się w głąb. Zaczynam kwilić cicho, a całe moje ciało natychmiast reaguje, jak zwykle pod jego dotykiem.

Bez wątpienia bucha między nami płomień, pełna żaru więź, wręcz atawistyczna żądza, tyle że nie wiem, jakie tym razem ma źródło. Chodzi o potrzebę kontroli? O to, żeby wziąć ode mnie to, czego nie może dostać od reszty świata?

A może to z wściekłości? Na reporterów. Na mnie.

Albo po prostu spontaniczny wybuch energii, która zawsze w naturalny sposób iskrzy między nami?

Nie jestem w stanie powiedzieć i to chyba pierwszy raz, kiedy nie umiem go rozszyfrować.

Mam ochotę zapytać, ale nie robię tego. Jakaś część mnie najzwyczajniej boi się odpowiedzi, a reszta po prostu poddaje się z lubością pieszczocie jego palców i łapczywości pocałunków z rozkosznym, zaborczym językiem.

Dopiero, kiedy mój telefon zaczyna piskliwie dzwonić, wygrywając melodyjkę mojego brata, powraca mi przytomność, a Jackson odsuwa się zadyszany.

– Lepiej odbierz – mówi.

– Tak. Okej. Już. – Robię kilka chwiejnych kroków i sięgam po telefon leżący na ladzie kuchennej, tak jak go zostawiłam. – Hej, co tam?

– Co powiesz, żeby spotkać się dzisiaj, a nie jutro? Gadałem z Cass i ona nie ma nic przeciwko temu.

– O – zerkam na Jacksona. – No dzisiaj to tak średnio. A czemu?

– Musiałem wyrwać się z domu – odpowiada.

Mając na uwadze, że chwilowo mieszkam z naszymi rodzicami, w pełni go rozumiem.

– Wsiadłem do samochodu i tak jakoś wylądowałem tutaj. I naprawdę mam ochotę się z tobą zobaczyć.

– I nie chce ci się przyjeżdżać jutro po raz drugi – przekomarzam się.

– To też.

Wzdycham.

– Słuchaj, to chyba nie jest dobry pomysł. Po prostu...

– Idź. – Głos Jacksona jest mocny i czysty.

Otwieram szeroko oczy.

– Jak to?

– To Ethan, tak? Chce się spotkać dzisiaj, a nie jutro.

Potwierdzam głową.

– Idź.

Mam chęć zaprotestować. Powiedzieć mu, że nie chcę nigdzie wychodzić, bo teraz to jest tak, jakby mnie odepchnął. Ale jednocześnie nie mam ochoty się kłócić ani grać w podchody. I rzeczywiście miło byłoby spotkać się z Ethanem.

Nie spuszczać wzroku z Jacksona, mówię do słuchawki:

– W porządku. Gdzie i kiedy?

Jak tylko ustalimy szczegóły, kończę rozmowę i patrzę na Jacksona.

– Chcesz później do nas dołączyć?

Rozchyła usta w uśmiechu.

– Myślałem, że to miało być spotkanie bez drugich połówek. Cass bez Siobhan, a ty beze mnie.

– Być może nie lubię niczego robić bez ciebie.

Mruży oczy w uśmiechu.

– Być może dobrze to wiedzieć.

– Jackson – mówię bełkotliwie. – Z nami wszystko w porządku?

Robi krok do przodu, kładzie mi dłonie na ramionach i całuje mnie czule. Zamykam oczy i delektuję się uczuciem łączności i euforii, które ogarnia mnie za każdym razem, gdy choć trochę się do mnie zbliży. Jestem uzależniona od tego pulsowania. Tej iskry świadomości. Ale dzisiaj to wszystko jakoś się nie klei i zaczynam się bać, że ogień mógł się wypalić na dobre.

– No pewnie, że tak – zapewniam, a ja czekam, aż wypełni mnie fala ulgi.

Nic się jednak nie dzieje. Bo prawda jest taka, że ja mu chyba nie wierzę.

Rozdział 12

Przystaję niezdecydowana przed wejściem do Gemini Rising, jednego z tych modnych barów, które nieustannie otwierają się i zamykają w Santa Monica i okolicy. Prowadzą go siostry bliźniaczki. Z jedną z nich Cass chodziła blisko dziesięć lat temu i zapewnia mnie, że miejsce jest świetne, można normalnie porozmawiać, a jedzenie i drinki przyprawiają o orgazm.

Dlatego właśnie je wybrała.

Ale, chociaż cieszyłam się na pomysł wyjścia z bratem i najlepszą kumpelą, teraz nie mam pewności, czy nadaję się do rozmowy. Udawanie, że moje życie nie zmierza wprost do jednej wielkiej, spektakularnej katastrofy kosztuje mnie zbyt wiele energii.

Innymi słowy, jestem w proszku. I, choć miło tak wyskoczyć wieczorem się spotkać, to nie chciałabym zdominować Ethana i Cass moimi problemami. A mam przecucie, że jak tylko wleję w siebie trochę wina, dokładnie tak się to właśnie potoczy.

Z westchnieniem ujmuję klamkę i, pod wpływem nagłej decyzji, otwieram drzwi silnym szarpnięciem. W końcu od tego są przyjaciele, tak?

W środku panuje półmrok i dopiero po chwili wzrok mi się przyzwyczaja. W końcu dostrzegam ich przy stoliku w głębi i kiedy ruszam w tamtym kierunku, muszę przyznać, że Cass miała rację – pomieszczenie jest nowoczesne i tętni życiem, ale nie aż tak hałaśliwe, żeby nie można było pogadać z dawno niewidzianymi znajomymi.

Środek sali zajmuje okrągły bar i gdy przechodzę obok, dobiegają mnie urywki flircików, powitań i gwar nowo powstałych znajomości. Mam słodko-gorzki smak w ustach, bo jeszcze tydzień temu przesłabym obok tych ludzi z miłym poczuciem pewności, że ja już znalazłam tego jedyne go mężczyznę, którego naprawdę pragnęłam, i z wzajemnością.

Dzisiaj jednak boję się, że mogę niedługo go stracić.

Odganiam od siebie tę myśl i, spostrzegając ich przy stoliku z tyłu, przywołuję na twarz pogodny, powitalny uśmiech.

Cass ma na sobie zwyczajne dżinsy i dopasowany, biały top z jakimś nadrukiem, którego stąd nie mogę dobrze zobaczyć. Ale nawet tak luźno ubrana wygląda absolutnie szalowo. Bluzka zasłania jej barki, ale nie sposób nie dostrzec jaskrawokolorowego, pierzastego ogona wijącego się wzdłuż jej ramienia. W kruczoczarnych włosach prześwituje jej kilka niebieskich pasemek i, nie licząc połyskującego brylancika w nosie, nie ma na sobie żadnej biżuterii.

Mój brat wygląda nie mniej atrakcyjnie. Gdyby nie był moim bratem, powiedziałabym, że wygląda sexy. Też ma na sobie dżinsy i lekką, białą, bawełnianą koszulę rozpinaną z przodu, wyrzuconą luźno na spodnie. Bije od niego wrażenie swobody i aura „mam wszystko w dupie”, dodatkowo wzmocniona

przez lekko zmierzwioną fryzurę. Gdyby nie jego zachowanie, można by go wziąć za jakiegoś plażowego ciemniaka. Brat czy nie, trzeba przyznać, że jest przystojny. A wnioskując z zaciekawionych spojrzeń, które rzucają mu kobiety dookoła, nie tylko ja tak uważam.

Zajęli kanapy naprzeciwko siebie i, kiedy podchodzę, rozprawiają o czymś z ożywieniem.

– Cześć – mówię, gdy jestem już przy nich. – Przepraszam za spóźnienie.

Cass patrzy na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– W porządku? W sensie, poza wszystkim? Widziałam syf w Internecie. – Najwyraźniej uznaje jednak, że to za ostro jak na powitanie, bo zanim udaje mi się zebrać myśli i coś odpowiedzieć, przenosi wzrok na Ethana. – Żar pewnie wygasa. Coś czuję, że dziś rano nie było bzykanka.

Ethan zaczyna krztusić się drinkiem, a ja wybucham śmiechem. Szczerym, serdecznym śmiechem, który przypomina mi, dlaczego uwielbiam Cass.

– Prawdę mówiąc – wciskam się na kanapę obok niej – to prawda – mówię z szatańskim uśmiechem. – Za to wczoraj wieczorem...

– O nie, nie, nie, nie – protestuje mój brat w odpowiednim momencie, a my z Cass wymieniamy porozumiewawcze uśmiechy. – Nie zaczynaj albo opowiem wam o wszystkich moich laskach w Orange. Laguna Beach to wymarzone miejsce na podryw, daję słowo.

Rozważam przez chwilę, czy się nie zamknąć, ale nie mogę.

– Wybacz – mówię do Ethana, po czym odwracam się w kierunku Cass: – Mówię ci, Jackson jest taki...

Po drugiej stronie stołu Ethan wydaje bolesny jęk.

– Okej, okej – mówię i znowu przenoszę uwagę na Cass. – A jak tam twoje sprawy miłosne?

– E tam – wpada mi w słowo Ethan. – Daj spokój z miłością i dawaj od razu o seksie.

Obie naraz zwracamy się ku niemu, a on podnosi obie dłonie do góry z obronnym uśmiechem.

– Hej, dwie laski i żadna z nich nie jest moją siostrą. Z tym nie mam problemu.

Prycham z niesmakiem i mówię do Cass:

– Musisz wybaczyć mojemu bratu. To straszny dupek.

– Ale uroczy, no nie?

– Owszem, raczej milutki – odpowiadam i chociaż droczymy się, żeby zrobić mu na złość, to przecież jest to prawda.

Uwielbiam mojego brata. Zawsze tak było. To jedyna dobra rzecz, jaka wynikła z koszmaru mojego dzieciństwa, bo koniec końców udało się go wyleczyć.

Mieszkał w Londynie i dopiero niedawno wrócił do Stanów. Ale przez pracę i ten młyn, w jakim żyję, nie miałam jeszcze okazji porządnie się nim nacieszyć. Za kilka tygodni wraca do swojej dawnej pracy, więc na razie zainstalował się w domu naszych rodziców. Nie jest to dla mnie układ sprzyjający naszym wzajemnym kontaktom, bo jedyna rzecz, która przeraża mnie bardziej niż wbijanie sobie drzazg bambusa pod paznokcie, to odwiedziny u moich rodziców. Dlatego tak się ucieszyłam, kiedy zadzwonił i zaproponował wspólne wyjście z Cass.

– Żadnych drugich połówek – zapowiedział. – Jackson to świetny facet, ale będziemy prac brudy.

Najwyraźniej nie żartował, bo wydaje się cały w nastroju do plotkowania. Rozsiada się wygodnie, patrzy mi prosto w oczy i wali bez ogródek:

– Czytałem ten syf w mediach. Powiedz teraz, ile w tym wszystkim prawdy.

W tym momencie podchodzi kelnerka i stawia na stole talerz smażonego awokado, tataru z tuńczyka i – tutejszą specjalność baru – martini, które Ethan i Cass zamówili przed moim przyjściem. Czekam, aż skończy, po czym wyrzucam przed nimi, co mi leży na sercu. W każdym razie na tyle, na ile mogę.

– Niemożliwe – stwierdza mój brat. Sięga po plasterek awokado i celuje nim w moją stronę. – Nie wierzę, że to zrobił.

– Że zabił Reeda? – pyta Cass, jakby mogło chodzić o coś innego.

– Poznałem Jacksona. To nie jest typ zabójcy.

– Dzięki za twoją opinię.

Akurat w tym się z nim zgadzam. Jackson nie jest typem zabójcy. Ale jest mężczyzną, który zabiłby, gdyby było trzeba. I jeżeli go skazają, to naprawdę nie wiem, jak, do cholery, mam żyć, wiedząc, że zrobił to dla mnie?

– Do usług. – Ethan uśmiecha się, ale wyczuwam w nim jakieś przygnębienie.

– No, mów – nakazuję. – Co tam się takiego stało u rodziców, że aż cię przygnało do Los Angeles?

Wykonuje nieokreślony ruch ręką.

– Nic. Naprawdę. Po prostu musiałem się na trochę wyrwać. I przyznam, że w ogóle o tym nie pomyślałem. Że musisz użerać się z morderstwem i jeszcze tym badziewiem w mediach. – Wzrusza ramionami. – Do dupy.

Nic dodać, nic ująć. Toteż się nie odzywam.

– Myślę, że dla Jacksona najgorsze jest to, że nie mógł przez to wziąć do siebie swojej córki – mówię.

– No raczej – przyznaje Cass. – Cała ta wyprawa do Santa Fe tylko po to, żeby na koniec okazało się, że jest pierwszy na liście podejrzanych. Przesrane – dodaje, co brzmi jak największy eufemizm stulecia.

Za to reakcja Ethana jest zupełnie inna. Gapi się na mnie, jakbym straciła rozum.

– Jackson ma dziecko?

Potakuję, bo uświadamiam sobie, że o ile Cass wie o tym praktycznie od początku, to jakoś nigdy nie było okazji powiedzieć Ethanowi o tym drobnym szczególe.

– Prasa nic nie wie. Jackson nie chce jej w to wciągać, żeby oszczędzić jej tej całej... no wiesz, awantury. Więc, proszę cię...

Przerywa mi gwałtownym gestem, jakby rozdrażniony moimi słowami.

– Jasne, że nic nie powiem, ale, rany, Syl... Jesteś z facetem z dzieckiem?

– Cały czas jest facetem, tak? – wtrąca Cass. – Ojcostwo chyba nic mu nie ujmuje?

Ethan rzuca jej szybkie spojrzenie.

– Nie, pewnie, że nie. Ale jeżeli między wami to coś poważnego i jeżeli dla ciebie to jest ten facet i na przykład mielibyście się pobrać...

Nie kończy. Nie ma takiej potrzeby. Przynajmniej nie dla mnie. Bo rozmawialiśmy już o dzieciach setki razy. I za każdym razem zgadzaliśmy się co do jednego: przy naszych rodzicach oboje powinniśmy się trzymać od tego właśnie wyzwania jak najdalej.

Ethan nie wie, przez jakie piekło przeczołgał mnie nasz ojciec, ale zdaje sobie sprawę, że z obojgiem utrzymuję raczej luźne stosunki. On sam, chociaż w czasie choroby traktowali go jak księcia, też nie ma z

nimi łatwo, bo nigdy tak naprawdę nie patrzyli na niego jak na swoje dziecko. Raczej jak na zepsuty sprzęt. I chociaż lubi spędzać z nimi czas i autentycznie ich kocha, to nieraz mówił mi, że sam nie wie, czy umiałby być ojcem, bo nie ma pojęcia o prawdziwej bliskości.

Nie wiem, czy to prawda, ale widzę, z jakim dystansem podchodzi do związków z kobietami. Co tu dużo gadać, ze mną jest tak samo. A w każdym razie było, zanim pojawił się Jackson.

– O co ci chodzi? – burczy na niego Cass i bierze mnie za rękę, ściskając krzepiąco. – Mówiłaś przecież, że jest przesłodka, no nie?

– Bo jest – przytakuje i, jakby dla wzmocnienia tych słów, podnoszę wzrok na Ethana. I natychmiast tego żałuję.

Bo w jego twarzy widzę wszystkie lata mojego dzieciństwa. Całe moje cierpienie, z którego w większości sam nawet nie zdaje sobie sprawy. Widzę obojętność, z jaką traktowała mnie matka. Widzę chłód mojego ojca i mój żal do niego.

Jego twarz mówi o tym, jak słabe są dzieci i jak łatwo jest spieprzyć im życie.

Widzę to, bo takie słabe dziecko spogląda na mnie z lustra każdego dnia, a kobieta, którą się w międzyczasie stało, nie ma zielonego pojęcia, co to znaczy być mamą. Co ja mówię, ta kobieta nie wie nawet, co się stało z jej własnym dzieciństwem.

– Nie chcę o tym rozmawiać – ucinam.

– Kurczę, Syl...

– Daj spokój, Ethan. Jest okej. Po prostu mam za sobą kilka długich i naprawdę zwariowanych dni. I, prawdę mówiąc, Ronnie to nie jest teraz mój problem numer jeden. Najważniejsze, żeby Jackson nie poszedł do więzienia, tym się teraz przejmuję. A nie tym, czy będę musiała co rano oglądać *Ulicę Sezamkową*. – Odwracam się do Cass. – A jak z Siobhan? Wszystko dobrze?

Na szczęście Cass łapie, że staram się zmienić temat.

– Super – odpowiada. – Faza gruchających gołąbków. – Wydaje przesadnie ckliwe westchnienie i klepie się po sercu. – Jest klejąco, całusnie i czule. Do wyrzygania. Mówię wam, w każdym innym przypadku takie migdalenie doprowadzałyby mnie do szału. A tymczasem sama lepię się jak cukierek.

Pochyliłam się ku niej i poklepuję ją po ramieniu, po czym przenoszę wzrok na Ethana.

– Oczywiście Siobhan w jednej chwili poszłaby w odstawkę, gdyby tylko Kirstie Ellen Todd była do wzięcia.

Cass dramatycznym gestem przykłada rękę do czoła, jak mdlejące matrony w wiktoriańskiej Anglii.

– Daremne me wzdychanie. Chyba dobrze im się układa z Grahamem Elliottem. Podobno są przy nadziei – dodaje teatralnym szeptem.

Ethan rzuca mi najpierw niepewne spojrzenie, a potem śmieje się z wyglądów Cass.

– Ślepe zauroczenie – mówię.

– Nic dziwnego. To świetna laska.

– Oj, tak. Chociaż gdzie jej tam do Siobhan! Cicho, serce, cicho.

Ethan rzuca w nią oliwką ze swojego drinka, a ja pytam o jego miłosne podboje.

– Korzystam z uroków wolności pełnymi garściami – oświadcza. – A może nie wyraziłem się jasno, kiedy powiedziałem, że Laguna Beach to jak giełda lasek?

– Ale z ciebie cham.

– Staram się.

Przechodzimy od kpin do kwestii jego mieszkania.

– Potrzebuję tylko trzech pokoiów w bloku z siłownią na dole. Nie jestem wybredny. Przede wszystkim chcę się wynieść od rodziców z domu.

– Nie dziwię ci się – stwierdzam sucho, a pod stołem Cass łapie mnie za rękę. Od dawna wiedziała, co mi się przytrafiło, gdy byłam nastolatką, ale dopiero ostatnio powiedziałam jej o tym, jaki udział miał w tej historii mój ojciec. Ethan nic o tym nie wie i zabiorę tę tajemnicę ze sobą do grobu.

– Tata próbował się z tobą skontaktować – mówi Ethan. – Myślę, że... – urywa. – A zresztą, nieważne. Powinnam przemilczeć temat. Ale nie mogę.

– Myślisz, że co?

– Myślę po prostu, że... No wiesz... Może powinnaś go wysłuchać. – Mówi to, nie patrząc mi w oczy, a tuńczyk nagle staje mi w gardle. Bo w najmniejszym stopniu interesuje mnie to, co ma do powiedzenia mój ojciec. I Ethan o tym wie.

Obok mnie Cass wydaje żaloszny pisk i orientuję się, że ściskam ją za rękę tak mocno, że aż dziwne, że nie zmiażdżyłam jej kości. Rzucam jej przepaszające spojrzenie i puszczam jej dłoń. Zwracam się do Ethana i potrząsam głową.

– Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

– Wkurzył cię wtedy, na kolacji – mówi Ethan, mając na myśli wieczór, który spędziliśmy z Jacksonem u moich rodziców pierwszego dnia po powrocie Ethana z Londynu. Wieczór, kiedy Jackson – niech go szlag – powiedział mojemu ojcu, co Reed mi robił. – Kumam – ciągnie Ethan. – Ale nie uważasz, że...

– Nie.

Jackson mnie porządnie rozżłościł, ale już to sobie wyjaśniliśmy. Jednak to nie znaczy, że nagle między mną a moim ojcem wszystko będzie cacy. To zdecydowanie ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła.

– Silly... – mówi do mnie jak dawniej, ale stare przezwisko zawisa pusto w powietrzu.

Wyjmuję telefon i sprawdzam godzinę.

– Dobra, muszę uciekać – kłamię. – Umówiłam się na potem z Jacksonem.

– Wkurzyłaś się.

– Nie – odpowiadam. – Naprawdę, wszystko okej. Tylko mnie nie naciskaj, dobra?

Przez chwilę waha się, po czym kiwa głową.

– Daj spokój – dodaje, gdy zaczynam grzebać w portfelu. – Ja stawiam.

– Dzięki. Widzimy się niedługo. – Pochyliłam się i obejmuję Cass. Przywiera do mnie ciasno i szepcze mi do ucha:

– Wszystko w porządku?

Kiwam głową i ściskam ją jeszcze raz.

Ethan wstaje i obejmuję go na pożegnanie.

– Kocham cię. Ale nie mogę...

– Okej – mówi, wsuwając ręce do kieszeni, ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Wiem.

Nadal nie rozumiem, o co mu chodzi. To znaczy, rozumiem, że chciałby, żebyśmy byli jedną, wielką, szczęśliwą rodziną. Też bym tego chciała. A raczej chciałam dawno temu. Ale pogodziłam się z tym, że moi rodzice nie są i nie będą w kręgu moich najbliższych. I czas, żeby Ethan też już się z tym pogodził.

Bo jeżeli będzie mi truł o pojednaniu z rodzicami za każdym razem, kiedy się spotkamy, to szybko przestaniemy się lubić.

Chcę mieć brata, ale nie chcę reszty.

Jestem już w samochodzie i odpalam silnik, gdy nagle spostrzegam, że Ethan wyskakuje z baru i leci w moją stronę. Stoję obok jego srebrnej Toyoty Camry, ale nie mam wrażenia, żeby biegł do swojego samochodu. Nie, ewidentnie leci za mną.

Opuszczam szybę.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Okej, rozumiem. Przepraszam – mówi. – Słuchaj, mógłbym wsiąść na sekundę?

– Ee... Dobrze. – Za bardzo kocham mojego brata, żeby mu czegokolwiek odmówić. Albo żeby się na niego gniewać. – Dawaj.

Przez chwilę siedzi tak z rękami na kolanach i skubie skórki u paznokci. Pozbył się tego nawyku na pierwszym roku studiów, a więc fakt, że robi to teraz upewnia mnie w przeświadczeniu, którego i tak już nabrałam: cokolwiek ma mi do powiedzenia, to nie jest to nic dobrego. Z początku myślałam, że chodzi o mnie albo o ojca, ale teraz krążą mi po głowie różne rzeczy.

– Masz jakieś kłopoty? – pytam.

– Nie, nie... Wszystko w porządku. To znaczy – dodaje z lekkim wzruszeniem ramion. – Nie do końca. Ale nie w tym rzecz. O rety. Chciałem cię przeprosić. Za to, co mówiłem o córeczce Jacksona. Zupełnie mnie zaskoczyłaś. Nie mogę się pozbierać po tej wczorajszej historii z ojcem i... Kurde, miałem nic nie mówić. Cholera.

– Coś mu jest? Jezu, Ethan, teraz zaczynam się martwić. – Może i nie mam najlepszych czy w ogóle jakichkolwiek relacji z ojcem, ale nie życzę mu źle. Choćby dlatego, że Ethan cierpiałby, gdyby coś mu się stało.

Mój brat nabiera głęboko powietrza obok mnie. A potem wyrzuca szybko:

– Powiedział mi.

Przez chwilę naprawdę nie mam pojęcia, o czym on mówi. Ale zaraz potem opanowuje mnie stres. Żołądek zwija mi się w ciasny supeł, a ręka wolno podjeżdża mi do ust. Nie zgadzam się, mam ochotę krzyczeć, ale jakoś nie umiem wyartykułować nawet jednego słowa.

– Boże, Syl. Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro. – Pochyla się do przodu, opierając łokcie na kolanach i chowa twarz w dłoniach. Oddycha szybko. Zdaje się, że płacze.

– Dlaczego? – Mój pełen wysiłku szept jest dodatkowo zduszony przez moją dłoń na ustach i w ogóle się dziwię, że udało mi się je wykrztusić. Nie jestem prawdziwa. Jestem z lodu. Jestem zamarznęta. Uwięziona w jakimś niedobrym, nieprzyjemnym miejscu. Miejscu, w którym ujawnia się cudze sekrety i w nieskończoność przeżywa się piekło i to się nigdy, nigdy nie kończy, nieważne, że wydaje ci się, że masz to wszystko za sobą.

W głowie dzwoni mi tylko to jedno słowo: dlaczego, dlaczego, dlaczego, dlaczego, dlaczego? Poza tym nie ma nic. Tylko ciemność i zdrada, i znajome szpony powracających koszmarów.

Dopiero, kiedy czuję rękę Ethana na ramieniu i słyszę, jak mówi:

– Syl? Cholera, Syl... Jasny gwint!

Dociera do mnie, że odleciałam. I chociaż nie chcę, to wiem, że muszę się wziąć w garść. Bo to jest

Ethan i kocham go, i nigdy nie chciałam, żeby się dowiedział, przez co musiałam przejść. Ale teraz wie wszystko, bo widzi, do jakiego stanu doprowadziły mnie jego słowa.

Oddychaj, psiakrew. Po prostu oddychaj.

– Syl. – Kładzie mi rękę na ramieniu, a potem nachyla się i bierze mnie w objęcia. – Już dobrze. Już dobrze. Tak mi przykro, że to cię spotkało i przepraszam, to wszystko przeze mnie, i...

– Nie – wyrzucam z jakichś najczarniejszych zakamarków siebie tak gwałtownie, że z wysiłku aż boli mnie gardło. Prostuję plecy. – Ani się waż mieć teraz poczucie winy. Cholera jasna, Ethan, nie chciałam, żebyś wiedział. Dlaczego on to zrobił? Po co ci to jeszcze dołożył?

– Powiedział... Powiedział, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo...

– Gówno prawda.

– Powiedział, że ktoś cię teraz szantażuje. Podobno dowiedział się od Jacksona. To prawda?

Potakuję.

– Powiedział, że powinienem wiedzieć...

– Nie! Ja nie chciałam, żebyś się dowiedział!

– Powiedział, że tak będzie lepiej w razie, gdyby samo wyciekło – kończy łagodnie. – A podobno jest takie ryzyko, bo skoro to były zdjęcia Reeda, policja albo prasa mogły na coś trafić. I jeżeli to się rozniesie, to będziesz mnie potrzebować.

– Sranie w banię – kwituję. – On ma gdzieś, czego ja potrzebuję. Nigdy się tym nie przejmował. Stara się po prostu ratować swój tyłek. Chciał, żebyś się dowiedział, skąd brał pieniądze od niego, a nie z tabletek.

– Nie, Syl. On naprawdę żałuje. Chciałby...

– Nie! – wrzeszczę, po czym zakrywam uszy rękoma. – Nie obchodzi mnie, czego on by chciał.

Ethan siedzi zgarbiony obok mnie.

– Przepraszam – powtarza i znowu niezręcznym gestem przyciąga mnie do siebie. Kołysze mnie lekko w ramionach. – Tak mi przykro.

Pozwalam mu się trzymać przez kilka minut, ponieważ go kocham i wiem, że też cierpi. Ale muszę teraz być sama.

Wysuwam się z jego objęć i mrugam przez łzy.

– Ethan, ja...

– Nie chcę cię teraz zostawiać – mówi i robi mi się łzej, że przynajmniej nie muszę nic tłumaczyć.

– Nic mi nie będzie. Muszę po prostu... Muszę tu trochę posiedzieć. Proszę cię, Ethan. Naprawdę, wszystko w porządku. – W sumie to wcale nie jestem tego pewna. Mam wrażenie, że zawisłam na włosku, a za nic na świecie nie chcę, żeby przy mnie był, kiedy on się zerwie i polecę w przepaść. – Proszę – powtarzam.

Patrzy na mnie, jakby próbując odgadnąć, czy mówię poważnie. W końcu kiwa głową.

– Okej. Dobra. – Jego głos jest miękki i przesadnie ostrożny. – Zadzwoń do ciebie jutro, tak?

– Tak. Dzięki. – A potem, ponieważ wiem, że jemu też jest ciężko, biorę go za rękę, akurat w chwili, gdy otwiera drzwi. – To nie była twoja wina, Ethan. Wiesz to, prawda? To nie twoja wina.

Patrzy na mnie wzrokiem przepełnionym smutkiem.

– Wiem. Ale przez to nie jest mi łatwiej. – Nachyla się i całuje mnie w policzek. – Poradzimy sobie z

tym, ty i ja.

– Na pewno? – Bardzo się boję, że mogłabym go stracić. A na myśl, że nasz ojciec tak niefrasobliwie naraził wszystko to, co budowaliśmy razem przez lata, aż trzęsie mnie w środku.

– Słowo.

Cicho wysuwa się z samochodu i zamyka drzwi. Patrę, jak wsiada do auta obok, po czym odchylam głowę do tyłu i skupiam się na równomiernych oddechach. Najchętniej zadzwoniłabym do Jacksona, ale się powstrzymuję. Nie czuję się dobrze z tym, jak się pożegnaliśmy. Potrzebuję go, jeden Bóg wie jak bardzo, ale muszę się najpierw pozbierać.

Obejmuję się ramionami i biorę głębokie wdechy, aż nagle podskakuję na dźwięk zapalającego silnika samochodu tuż obok. Tak się zapadłam w siebie, że nie zauważyłam, że Ethan siedział przy mnie w swojej toyocie przez cały ten czas.

Odwraca się w moją stronę z serdecznym, ale pełnym smutku uśmiechem na pożegnanie. Odpowiadam tym samym i gwałtownym mruganiem powstrzymuję łzy, kiedy posyła mi całusa i wycofuje samochód. Kiedy znika mi z oczu, znowu odchylam się na fotelu i skupiam uwagę na oddechu. Próbuję się wyciszyć. Zdusić ten narastający strach.

I chociaż kosztuje mnie to masę wysiłku, to jednak nie mogę nie zauważyć, jak bardzo się zmieniłam. Dawniej już bym desperacko wpychała kluczyki do stacyjki i gnała na oślep do jakiegoś miejsca typu Avalon – z tanimi drinkami, przygaszonymi światłami i dudniącą, hałaśliwą muzyką. Żeby znaleźć faceta. Wziąć. Pieprzyć. Na moich zasadach. Dowieść, że mam kontrolę. Pokazać środkowy palec.

A potem, cholera, pojechałabym do Cass, żeby wytatuowała mi inicjały tego nieboraka na udzie, jako kolejnego jednorazowego faceta, który nic mnie nie obchodzi i którym się posłużyłam tylko po to, żeby udowodnić sobie, że się przecież trzymam. Że panuję nad sytuacją. I potrafię utrzymać moje koszmary na uwięzi.

Teraz nie potrzebuję kontroli. Teraz chcę pęknąć.

Teraz chcę Jacksona.

Chcę się mu podporządkować. Pozwolić mu się mną zająć. Pomóc mi.

Chcę, owszem, pewnie, ale jeszcze bardziej tego potrzebuję.

Potrzebuję tego tak bardzo, że mnie to aż przeraża, bo jak sobie dam radę bez niego? Jakim cudem mam przetrwać, jeżeli go stracę? Jeżeli pójdzie siedzieć?

Zaciskam mocno powieki, bo za nic nie mogę teraz o tym myśleć. Nie w takim stanie.

I wbrew temu, co sama sobie wmawiam, że powinnam poczekać i wziąć się najpierw w garść, łapię za telefon. Pieprzyć czekanie. Potrzebuję mężczyzny, którego kocham teraz, w tym momencie.

Już mam wybrać numer, gdy aparat zaczyna wibrować mi w dłoni. Jackson.

– Jadę do ciebie – mówi od razu, jak tylko odbieram połączenie, a moje ciało ogarnia tak gwałtowna ulga, że dopiero dociera do mnie, jak strasznie byłam spięta.

Ethan, myślę, ściskając telefon jak wariatka. Dzięki Bogu.

– Nie rozłączaj się – proszę. – Mów do mnie.

– Jestem przy tobie, kochanie – mówi. – Cały czas jestem przy tobie.

Rozdział 13

Kawał sukinsyna – mruży Jackson, gdy wyciąga mnie z samochodu i bierze mocno w ramiona. Jest w nim jakaś dzika energia, jakby spajało go niewidzialne pole magnetyczne pękające teraz pod wpływem siły tego gestu. Ta bijąca od niego moc działa na mnie rozgrzewająco. Ale nie uspokajająco i koszmary cały czas wyciągają po mnie swoje szpony w ciemności wokół nas.

Koszmar mojego ojca. Koszmar Reeda. I jeszcze obawa, że między mną i Jacksonem coś się rozpadło.

Wysuwam się z jego objęć.

– Jackson. – Brzmi to jak wystrzał. Prośba. Protest. – Między nami wszystko dobrze?

– Jezu, kotku. – Po twarzy przebiega mu szybki skurcz bólu i kładzie mi dłoń na policzku. – Sam nie wiem, czy jestem najbardziej samolubnym, czy najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. Oczywiście, że tak. Co ci chodzi po głowie?

Mrugam, a wtedy ciepłe strużki łez wymykają mi się spod powiek.

– Zdawało mi się... Nie wiem. Miałam wrażenie, że jesteśmy jakieś lata świetlne od siebie.

– Nie – odpowiada i znowu przyciąga mnie blisko. – Nic podobnego. Jestem tutaj.

Potakuję głową, bo faktycznie jest, dzięki Bogu. Ale dzisiaj, teraz, to nie jego ramiona są tym, czego potrzebuję.

Wiem, czego mi potrzeba. Jackson mnie tego nauczył. Kiedyś myślałam, że żeby odgonić koszmary, musiałam przejąć kontrolę. Pieprzenie przypadkowych facetów dawało mi poczucie pewności i bezpieczeństwa. Brałam od nich to, czego mi było potrzeba i trzymałam moje własne emocje na dystans. Chłodna. Opanowana. Jak rekin grasujący po wodach pełnych ludzi.

Ale to, czego tak naprawdę potrzebuję, to poddanie. I w tej chwili ta potrzeba jest niezmiernie silna. Bo ciemność ma zimne macki, które właśnie zaczynają mnie oplatać.

– Chodź – mówi, łapiąc mnie za ramię i stanowczo kierując mnie w stronę porsche. – Jedziemy do domu.

– Nie – przękam ślinę. Nie mogę wykrztusić nic więcej. Nie potrafię ująć w słowa tego, czego chcę. Bo część moich potrzeb polega właśnie na tym, żeby się domyślił.

Na chwilę wbija we mnie twarde, uważne spojrzenie.

Potem przyciąga mnie i nachyla mi się do ucha.

– Nikt się ciebie nie pyta o zdanie, kotku. Albo mówisz „tak, panie”, albo nie mówisz nic.

Moje ciało natychmiast się rozluźnia. Rozumie. Chwała Bogu, rozumie, o co mi chodzi. Co więcej, myślę, że on też tego potrzebuje.

– Tak, panie – mówię, czując mrowienie na całym ciele, a w moim centrum buduje się napięcie. Paląca potrzeba, żeby mnie wziął. Żeby we mnie wniknął.

Robi krok w moją stronę, żeby być tuż przy mnie. W tej części parkingu panuje gęsty mrok. W ciemności jego twarz nabiera twardych rysów. Ale oczy mu płoną.

– Chcesz, żeby cię przeruchać?

Przysięgam, że prawie zaczynam skomleć.

– Tak.

– Ostro?

– Tak.

Głaszcz mnie po policzku, po czym przesuwam mi dłoń za głowę i chwytam mocno za włosy.

– Proszę?

– Tak, panie. – Oddycham ciężko. Jestem jednocześnie nabuzowana i trochę przelęknięta. Jest jakoś inaczej niż do tej pory. On jest inny. I chociaż mu ufam i zawsze będę mu ufać, to jednak nie wiem, czego się spodziewać.

I, Boże, ależ mnie to rajcuje!

– Mam ci rozłożyć nogi i twardo cię posuwać?

– Tak, panie, proszę.

– To musisz być dla mnie grzeczna – mówi i, ciągnąc mnie za włosy, zmusza mnie do klęknięcia. Poddaję się ochoczo. Z entuzjazmem. Nie myślę o niczym innym niż tu i teraz, wszystko inne znika. Ethan. Mój ojciec. Mój strach.

Jestem tylko ja i Jackson, i rozkosz, i uległość. Pozwalam, żeby mnie tam zabrał. Oddaję mu panowanie. A on potrzebuje tego tak samo jak ja.

– Dalej – zachęca, więc podnoszę rękę i kładę płasko na wybrzuszeniu rozsadzającym mu spodnie.

Jestem napalona, ale świadomie wolno rozsuwam mu rozporek. Zapuszczam rękę i uwalniam mu członek. Jest tak twardy, że musi być na granicy wybuchu.

Nadal trzyma mi rękę we włosach i kiedy zaczynam pieścić go koniuszkiem języka, mocniej zaciska palce.

– Nie.

Nie mogę odchylić głowy, więc patrzę na niego, wywracając same oczy do góry, od czego czuję się jeszcze bardziej podległa.

– Mam ochotę na te twoje słodkie usteczka – mówi, po czym unieruchamia mi głowę w miejscu tak, że to nie ja robię mu laskę, tylko on posuwa mnie w usta.

To niełatwe, bo naciera na mnie obcesowo, wślaczając mi się w głąb gardła, więc muszę dobrze wpaść w rytm i zwalczać odruch wymiotny. Ale jestem szczęśliwa. Po raz pierwszy naprawdę mnie wykorzystuje – używa mnie tak, jak go o to prosiłam za każdym razem, kiedy szukał bójk. Ale nie tylko dlatego. Wiem, że sam potrzebuje tego w takim samym stopniu. Musi przejąć kontrolę, szybko, brutalnie i całkowicie.

To jest jego przyjemność, nie moja, i sama świadomość rozpala mnie jeszcze bardziej. Potem role się odwróca i to ja będę w centrum, ale przyjemność wynika też z dawania rozkoszy drugiemu. Z poczucia, że jesteśmy jak zamek i klucz, pasujemy do siebie i razem się uzupełniamy.

Znajdujemy się w mroku, ukryci w cieniu za samochodami, ale przemyka mi przez głowę pytanie, co by było, gdyby ktoś nas zobaczył: ja, na asfalcie na klęczkach, i Jackson jadący mnie w usta.

Na samą myśl, wrywa mi się jęk i jestem taka mokra, że wilgoć mi ścieka po udach. Tak jak przykazał mi Jackson, nie mam na sobie bielizny i mam wielką, wielką ochotę wsunąć sobie rękę pod spódnicę. Ale to by pewnie było łamanie zasad.

– Jezu, Syl, te twoje usta. – Napięty ton jego głosu to znak, że już prawie dochodzi, ale – gdy spodziewam się, że zaraz wytryśnie – wysuwa się nagle i gwałtownie stawia mnie na nogi. Zadziera mi bluzkę, rozpiną z przodu stanik, po czym popycha mnie na maskę samochodu.

Zimny dotyk metalu poraża mi skórę, a brodawki mam tak twarde, że to aż boli.

– Podobało ci się? – pyta, jedną ręką błędząc mi po pośladkach, a drugą w górę uda. – Lubisz, jak ci wkładam do buzi?

– Tak – mówię. – Bardzo.

Wsuwa mi rękę między nogi i jęczy rozkosznie.

– O, tak, kotku. Taką cię właśnie lubię. Mokną i gotową.

Podciąga mi spódnicę, tak że jestem kompletnie naga od pasa w dół, jeżeli nie liczyć butów.

– Rozłóż nogi, kochanie. Mam chęć cię dobrze pojechać.

I zgodnie z zapowiedzią rozstawia mi nogi szeroko i gwałtownym ruchem wchodzi do środka, po czym zaczyna nacierać z takim impetem, że górną częścią ciała szoruję po masce, a na piersiach i brzuchu rozsypują mi się kłujące iskierki.

Czuję jego zbliżający się orgazm. Całe moje ciało się przygotowuje, napięte i spragnione. Wreszcie wybucha we mnie, a w ciemności niesie się jego przeciągły jęk.

Nie wysuwa się jednak. Za to, przytrzymując mnie jedną ręką za biodro, drugą otacza mnie i odnajduje lechtaczkę. Jestem już tak rozbuchana, że niewiele mi trzeba i zaraz potem rozrywa mnie fala gwałtownych wstrząsów, a moja pochwa zaciska się wokół niego. Mimo to nie przestaje mnie pieścić i drażnić, aż załamują się pode mną nogi i od upadku chroni mnie tylko jego ramię i auto.

Wyciera mnie i obciąga mi ubranie, a potem bierze mnie za rękę i łagodnie osuwamy się oboje na ziemię w cieniu samochodu. Opieramy się o koło i przysuwam się do niego, zwiotczała i spełniona. Ogarnia mnie ramieniem i wtulam się ciałniej, bo chcę być jak najbliżej.

– Dziękuję – szepczę – panie.

Śmieje się cicho, a potem mówi otwarcie:

– Ja też tego potrzebowałam – wyznając to, co i tak już wiedziałam.

Przyciska mi usta do czoła i ten zwykły gest daje mi wielką przyjemność.

– Byłam tak cholernie wściekły na twojego ojca – mówi, zaglądając mi w oczy. – I na siebie też.

Odwracam wzrok. Wpadłam w straszny gniew, kiedy wywalił mojemu ojcu całą prawdę o tym, co Reed mi robił. I że teraz jeszcze mnie dręczy, tym razem przez szantaż. Co więcej, dał do zrozumienia, że oboje wiemy, że przez cały ten czas mój ojciec miał świadomość, że Reed nie robił mi jakichś tam niewinnych zdjęć reklamowych.

Teraz już mi przeszło, ale to nie znaczy, że chcę o tym myśleć. Rozumiem jednak, o co mu chodzi, gdy mówi, że też tego potrzebował. Był wściekły. Na mojego ojca. Na siebie.

Był wściekły i musiał się wyżyć.

Ja byłam wściekła i musiałam dać się wziąć.

Uśmiecham się lekko, ale nie na długo.

– Trochę mnie to przeraża – przyznaję.

– Co?

– To. Z tobą. – Odchylam głowę, żeby móc spojrzeć mu w oczy. Widzę w nich dezorientację i niepokój. – To, jak dalece i jak całkowicie jestem w stanie się poddać. Jak bardzo chcę być wykorzystana. I rozumiem, skąd to się bierze, naprawdę. Rozumiem, że przyjemność płynie z tego, że to ty masz władzę. To sposób, żeby pozbyć się śladów po Reedzie, który mi tę kontrolę regularnie odbierał. I naprawdę, im bardziej hardcore, tym bardziej mi się podoba. Dzikość daje mi poczucie równowagi. Pozwala mi poczuć, że żyję. No więc rozumiem – ciągnę – naprawdę. Ale chciałabym być silniejsza, Jackson. Ta potrzeba, żeby ci się oddać, jest tak wielka, że czasem boję się, że bez ciebie bym nie przeżyła.

– Uważasz, że uległość oznacza, że jesteś słaba? – Przesuwa mi dłoń po policzku. – To zupełnie nie tak. Wypieranie się swoich potrzeb – to jest oznaka słabości. Kiedy boisz się poprosić o to, czego pragniesz, wtedy jesteś słaba. Myślisz, że bycie silnym oznacza, że nikogo nie potrzebujesz? To nieprawda. Silny to znaczy taki, który dobrze siebie zna. Zna swoje pragnienia. I nie boi się prosić o to, czego naprawdę potrzebuje.

– Ja potrzebuję ciebie – mówię szeptem.

– Wiem. Ale to nie znaczy, że nie możesz być sama. Jeżeli będzie trzeba, kiedy będzie trzeba, dasz sobie radę.

– Skąd wiesz?

– Bo cię znam. – Całuje mnie delikatnie. – Skarbie, muszę ci coś powiedzieć.

Kiwam głową, odganiając kolejną falę lęku.

– Ja go nie zabiłem.

– Co? – Sama nie wiem, czy bardziej zaskakuje mnie to, że tego nie zrobił, czy że w ogóle porusza temat.

– Nie zabiłem Reeda. Byłaś przekonana, że to zrobiłem, a zostałam ze mną. Uważam, że jestem ci winien prawdę.

– Och. – Ogarnia mnie bezgraniczne uczucie ulgi, ale z domieszką jakiegoś nieokreślonego żalu. Bo w rzeczywistości podobał mi się scenariusz, w którym Jackson usuwa człowieka, który robił mi krzywdę.

– Więc nie musisz się martwić. Prawda obroni się sama i nie pójdę siedzieć. Już zawsze będę przy tobie.

Kiwam głową, bo wiem, że chce mnie uspokoić. Ale to niewielka pociecha. Bo winny czy nie, Jackson już nie jest w stanie składać mi takich obietnic.

Rozdział 14

Budzę się naga i sama w swoim łóżku i z miejsca podrywam się przerażona, że Jackson jednak zmienił w końcu zdanie i postanowił wrócić do siebie na jacht.

Przywiózł mnie do domu, bo powiedziałam mu, że chcę spać w swoim łóżku, i w tym momencie byłam już tak rozbita, że nie oponował. Ale nieporozumienie czy spór, czy cokolwiek to było, na temat paparazzich i łodzi ciągle jakoś wisiał między nami.

Wiem, że musimy to jeszcze wyjaśnić, zwłaszcza że będziemy dziś potrzebować jachtu, żeby popłynąć na wyspę. Rzecz jasna moglibyśmy skorzystać z którejś z łodzi należących do Stark International albo nawet w ostateczności polecieć helikopterem. Ale Jackson ma u siebie swoje biuro i żeby ta wyprawa w ogóle miała sens, to musi mieć ze sobą swoje komputery, oprogramowanie i milion innych sprzętów i przyrządów. Ale chyba nie pojechał tam już beze mnie? Prawda?

Cała się spinam. Odrzucam kołdrę i przyciągam nogi do siebie. Obejmuję kolana, a mój wzrok przykuwa wytatuowana na kostce gwiazdka. Przesuwam po niej palcem, obrysowując jej kształt, jakbym uruchamiała w ten sposób jej działanie. A chcę ją uruchomić, bo ta gwiazdka oznacza siłę. Jest symbolem mojej ucieczki, gdy wyrwałam się ze znenawidzonego domu do szkoły z internatem w drugiej klasie liceum.

Biorę głęboki oddech, po czym niespiesznie podnoszę się z łóżka, tym razem obmacując wstęgę wytatuowaną nad udem, pokrytą inicjałami mężczyzn, na których nic a nic mi nie zależało, ale których potrzebowałam, żeby zyskać poczucie siły. Nie Reed, który mnie sobie zawłaszczył. Nie, ci faceci, których inicjały noszę teraz na sobie.

Tylko ja.

Ja brałam. Ja zarządzałam. Podejmowałam decyzje z upartą zawziętością, żeby na pewno nic nie pozostało poza moją kontrolą.

Powoli przesuwam rękę na plecy, gdzie mam wytatuowane powywijane „J” splecione z „S”. Cass zrobiła mi to pięć lat temu, kiedy tak nagle rozstałam się z Jacksonem w Atlancie, łamiąc tym serca nam obojgu. Wtedy byłam pewna, że już nigdy go nie odzyskam, a jednak nie mogłam bez niego żyć. Chciałam mieć przy sobie jakąś jego część, jak ciche zapewnienie, że zawsze mnie będzie osłaniał i napełniał siłą, choćby nieświadomie.

Zamykam oczy i wzdycham, podążając dalej po mapie mojego ciała, aż zatrzymuję się na moim najnowszym nabytku – płomieniu na piersi. Cass zrobiła go mniej niż miesiąc temu, kiedy wbrew zdrowemu rozsądkowi znów wpuściłam Jacksona do swojego życia.

– W końcu się doigrasz – powiedziała, bo faktycznie pakowałam się wtedy prosto w ogień.

Widać nie wystarczyła nauczka, że przy Jacksonie moje koszmary ożywały ciągle na nowo. Że siła

namiętności iskrzącej między nami odbierała mi możliwość wyboru i sprawiała, że byłam słaba, miękka i podatna na koszmary i wspomnienia Reeda.

Ale musiałam ratować ośrodek, wobec czego wzięłam głęboki oddech, przywdziałam bitewną zbroję i przekroczyłam próg mojego własnego piekła.

A Jackson z miejsca odarł mnie z całego mechanizmu obrony. Co więcej, przekreślił wszystko na odwrót. I z mężczyzny, który przywoływał moje demony, stał się kimś, kto pomaga mi je przeganiać. Zachować równowagę. Spokój.

Daje mi poczuć się piękną, kochaną i otoczoną opieką.

Przy nim mogę oddać kontrolę i nie odczuwać lęku ani wstrętu do samej siebie.

Przy nim mogę zatracić się w poddaniu. Pożądaniu. Miłości.

Zasłiśmy razem tak daleko, on i ja, ale obawiam się, że teraz dotarliśmy pod ścianę. Za bardzo rozdrażniliśmy bogów i teraz nam nie odpuszczą.

Umieram ze strachu, że aresztują go za morderstwo. Że mi go odbiorą na zawsze. I niestety nie boję się tylko o niego, ale i o siebie. Kiedyś czerpałam siłę z tatuaży, dzisiaj siłę daje mi Jackson.

Nie chcę być zależna i niezdolna do samodzielnego funkcjonowania. Ale wiem jednocześnie, że przy nim jestem silniejsza niż bez niego.

I, matko święta, co ja zrobię, jeżeli go stracę?

Po plecach przebiega mi nagły, zimny dreszcz, więc sięgam po koszulkę, którą powiesił na oparciu krzesła, gdy ostatnio tu spaliśmy. To T-shirt Dominion Gate, heavy metalowego zespołu, który lubi. Dół opada mi niemal do kolan, a całość zdaje się mnie połykać.

Na szafce przy łóżku leży mój telefon i gdy spoglądam, widzę, że jest nieco po czwartej nad ranem, a w moje myśli zakrada się niepokój.

Drzwi do sypialni są zamknięte, ale gdy wzrok mi się przyzwyczaja, dostrzegam nikłą smuzkę światła tuż nad podłogą. Otwieram drzwi i cicho pokonuję niewielką przestrzeń między moją sypialnią a salonem, żeby go nie obudzić w razie, gdyby tu zasnął.

Widzę go natychmiast, jak tylko mijam schowek i staję w progu salonu. Nie ma go w środku, ale na tarasie. Siedzi na krawędzi leżaka, pochylony do przodu nad rozkładanym krzesłem, na którym zwykle siada Cass, a teraz służy za stolik. Ma na nim oparty tablet i rysuje coś zamasyście w notesie na kolanach. Jego ciemne włosy są zmierzwiłone, jakby przed chwilą przejechał po nich ręką i dobiega mnie szelest rysika po papierze.

Chcę do niego iść. Mam ochotę wyjść na taras, objąć go od tyłu i trzymać w ramionach.

Ale to tylko samolubny odruch z mojej strony.

Bo to, czego chce Jackson – nie, czego potrzebuje Jackson – to zatracić się w pracy. Niemal przez skórę czuję jego koncentrację i zadowolenie – nie chcę go wytrącać z tego stanu. Nie teraz. Nie dzisiaj.

Już mam się obrócić i wracać do sypialni, gdy nagle słyszę kobiecy głos.

– Już jestem. Przepraszam. O tej porze bez kawy jestem do niczego.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś, Amy – mówi Jackson. – Nie sądziłem, że od razu przeczytasz mój e-mail.

Przez chwilę nie potrafię zrozumieć, co się dzieje, ale potem orientuję się, że rozmawia przez Internet. Przesuwam się w lewo, żeby widzieć ekran tabletu i widzę, że łączy się z Amy Brantley, jego prawniczką do spraw nieruchomości i prawa rodzinnego w Santa Fe.

– U nas dochodzi szósta, a ostatnio zaczęłam wstawać przed świtem i chodzić na siłownię.

Pomyślałam, że lepiej od razu to omówić. Jak się miewasz? Jesteś zadowolony z mecenasa Frederick?

– Robi, co może, ale oboje wiemy, że nie ma żadnych gwarancji.

– To prawda – potwierdza Amy – nie ma.

– Rozmawiałem wczoraj ze Stellą. Betty się nigdy nie przyzna, ale podobno jej zdrowie bardzo się pogorszyło.

– Wiem – mówi Amy. – Prawdę mówiąc, miałam zamiar zadzwonić do ciebie później w ciągu dnia. W chwili obecnej, gdyby Betty coś się stało, Ronnie przechodzi pod twoją opiekę w oczekiwaniu na decyzję o przyznaniu praw rodzicielskich. Ale jeżeli zostaniesz aresztowany, następna w kolejce jest Megan, przynajmniej na papierze. Zgadzasz się?

Jackson przez chwilę zwleka z odpowiedzią i chociaż wiem, że sprawia mu to ból, mówi na koniec:

– Nie.

To słuszna decyzja, nie ma wątpliwości. Megan jest biologiczną ciotką Ronnie, ale zgłosiła się na leczenie w klinice psychiatrycznej i Jackson nie może powierzyć jej swojej córki, chociaż pęka mu serce.

– Tak też myślałam – mówi Amy. – Powiem szczerze, że w świetle jej decyzji o podjęciu leczenia, sąd mógłby się nie zgodzić, żeby zajęła się Ronnie. Najprawdopodobniej trafiłaby do rodziny zastępczej, o ile Arvin się po nią nie zgłosi – dodaje, mając na myśli ojca Megan. To on zatrudnił Jacksona przy budowie domu w Santa Fe, który stał się potem tematem przewodnim filmu, jaki Reed chciał zrealizować. I chociaż Arvin Fletcher jest dziadkiem Ronnie, nigdy nie chciał mieć z dziewczynką nic wspólnego.

– To jeszcze gorzej – kwituje Jackson oschle. – Zresztą oboje wiemy, że Arvin nie zgodziłby się nią zająć. Prawda jest taka, że zastanawiałem się nad tym i dlatego między innymi chciałem porozmawiać. O tym i pewnych kwestiach finansowych. – Przeczesuje włosy palcami. – Myślałem o tym przez całą noc. Wiem, że Ronnie odziedziczyła po Amelii jakieś pieniądze – mówi – ale one pozostają na rachunku powierniczym i nie mogą zostać wykorzystane na jej codzienne wydatki.

Amelia była biologiczną matką Ronnie. Mało tego, to właśnie z jej powodu Hollywood zainteresowało się tą historią. I chociaż oficjalnie nie powstał żaden scenariusz, wiadomo, że film miałby opowiadać o tragedii, jaka rozegrała się we wspaniałej rezydencji Fletcherów w Santa Fe zaprojektowanej i zbudowanej przez Jacksona. To ten projekt przyniósł Jacksonowi rozgłos i sprawił, że z architekta stał się celebrytą, łącznie ze wszystkim, co za tym idzie.

Kiedy Jackson budował dom na zlecenie Arvina, jednego z najbogatszych ludzi w kraju, zaczął spotykać się z Carolyn, siostrą bliźniaczką Amelii. Amelia, która rozpaczliwie się w nim kochała, była na tyle szalona, żeby udawać przed nim w łóżku swoją własną siostrę. Spędzili razem jedną noc, podczas której zaszła w ciążę z Ronnie. Dom został ukończony, Jackson wyjechał, a Amelia urodziła córeczkę i wtedy jej zupełnie odbiło. Zamordowała własną siostrę, a potem popełniła samobójstwo. Dziewczynką zajęła się starsza siostra bliźniaczek, Megan, zaś wokół całej historii zaczęły węszyć hollywoodzkie hieny.

Ponieważ przez sypialnię Amelii przewinęło się wielu mężczyzn, filmowcy nie wiedzą, że Ronnie jest córką Jacksona i zapewne nigdy by do tego nie dotarli, ale teraz sąd uzna ojcostwo Jacksona albo sam jego wniosek wycieknie do mediów. Na razie widzą tylko sprawę zakończoną samobójstwem zbrodni w

zjawiskowym domu, który wyniósł Jacksona do sławy i tragedię miłosnego trójkąta, który zgubił dwie młode kobiety walczące o jednego mężczyznę.

Jackson chciał się ubiegać o prawo do opieki, jak tylko dowiedział się, że Ronnie rzeczywiście jest jego córką, ale ponieważ dramatyczna historia rodziny wzbudziła niemałą sensację i zaczęły chodzić słuchy o nakręceniu na tej podstawie filmu, bał się, że to mogłoby narazić jego córkę na napastliwość mediów. A pod opieką ciotki Megan i jej męża Tony'ego, blisko prababci Betty, która także pomagała w wychowaniu dziewczynki, była bezpieczna i otoczona miłością. Jackson przyjął więc rolę wujka, odwiedzał małą iłożył na jej utrzymanie.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Tony zmarł, a w związku z nasilającymi się objawami dwubiegowości u Megan nie jest już ona w stanie zapewnić dziewczynce odpowiedniej opieki. Tak samo Betty ze względu na pogarszający się stan jej zdrowia.

No a poza wszystkim Jackson po prostu chce mieć córkę przy sobie. I właśnie do tego dążył, kiedy wynikła cała ta przekłeta sprawa zabójstwa i wszystko się pochrzało.

– Czyli chcesz ustanowić tymczasowego opiekuna i otworzyć fundusz powierniczy na bieżące utrzymanie?

– Dokładnie tak.

Rozmawiają jeszcze kilka minut. Jackson wyjaśnia, że fundusz będzie zasilany z jego udziałów w Winn Building, handlowo-mieszkalnym drapaczu chmur na Manhattanie. Był to pierwszy projekt całkowicie opracowany i zrealizowany przez Jacksona, w którym zachował część udziałów z zysków.

– Mam czterdzieści procent, a Isaac Winn sześćdziesiąt. Od samego początku był zainteresowany powiększeniem swojego pakietu. Jeżeli Ronnie będzie potrzebować gotówki, odsprzedam je.

– Założę fundusz na bazie dziesięciu procent – odpowiada Amy. – W razie potrzeby będziesz mógł go zwiększyć.

– W porządku.

– A co z opiekunem? – pyta, ale przypomina Jacksonowi, że dopóki sąd nie uzna jego praw rodzicielskich, to nie do niego należy ostateczna decyzja. – Chociaż jestem pewna, że Betty, a także sąd wezmą twoją opinię pod uwagę.

– Chciałbym, żeby to była Sylvia – mówi, a ja aż łapię się za usta, żeby stłumić okrzyk. – I chciałbym, żebyś zaczęła procedurę i wniosła o ustalenie przesłuchania o przyznanie mi praw.

– Naprawdę? Jackson, jesteś pewien? A jeżeli...

– Chcę, żeby miała ojca. Dosyć mam czekania. Chcę moją córkę, Amy. A jeżeli ma się zdarzyć najgorsze, to chcę wiedzieć, że zajmuje się nią kobieta, którą kocham.

– I Sylvia się na to zgadza? – pyta Amy, a ja ogarniam się ramionami, bo serce zaczyna boleśnie tłuc mi się w piersi. Sama nie wiem, co czuję, jestem kompletnie ogłuszona. – Sąd może jedynie zaproponować opiekę. Nie mogą jej do tego zmusić. Jeżeli się nie zgodzi, Ronnie może pójść do rodziny zastępczej.

– Trochę już o tym rozmawialiśmy. I jeszcze porozmawiamy. Ale myślę, że się zgodzi. Amy, chcę to zrobić. Moje życie to teraz prawdziwy rollercoaster, nie wiem, jak długo mogę jeszcze tak ciągnąć. Ta sprawa musi zostać załatwiona. Chcę być z moją córką. Musisz mi pomóc to załatwić jak najszybciej.

– W porządku, Jackson – mówi łagodnie. – Myślę, że uda nam się wyznaczyć termin w najbliższych

dniach.

– Dziękuję – mówi, a w jego głosie dźwięczy taka ulga, że oczy zaczynają mnie szczypać i pod powieki napływają mi łzy.

Nawet nie zauważam, kiedy kończy rozmowę. Pograżyłam się w świecie „co by było, gdyby”. W świecie, w którym nie ma Jacksona, a ja wychowuję jego córkę.

Jezus Maria.

Przebiega mnie dreszcz strachu, bo dociera do mnie, że to jest przecież realne. I nic nie poradzę, ale bez względu na to, jak bardzo kocham Jacksona i jak uwielbiam jego córeczkę, prawda jest taka, że nie mam pojęcia o wychowywaniu dzieci. Dla mojej matki przestałam istnieć w momencie, gdy mój brat zachorował. A mój ojciec... Boże, nie mogę nawet o nim myśleć.

Wzdrygam się, a potem chwiejnym krokiem wracam do sypialni ze ściśniętym żołądkiem. Rzucam się do łazienki, gdzie padam na kolana przed toaletą przekonana, że będę wymiotować. Ale nie. Dość długo obejmuję ramionami muszlę, aż uspokajam się na tyle, że mogę się podnieść.

Naprawdę myślę to, co powiedziałam na lotnisku – chcę być z Jacksonem i czuję się wyróżniona, że byłby gotów powierzyć mi swoją córkę.

Ale coś takiego?

Boże jedyny.

Wstaję, wyrównuję oddech i tłumaczę sobie, że nic takiego się jednak nie zdarzy. Jackson nie zabił Reeda. Nie aresztują go. Nie pójdzie do więzienia.

Ronnie będzie z nami, owszem, i to wspañiale. Mogę to zrobić z Jacksonem u boku. Mogę spróbować być mamą, jeżeli on będzie mnie trzymał za rękę.

Powtarzam to sobie w nieskończoność, aż nagle orientuję się, że w trakcie tych rozmyślań bezwiednie podciągnęłam koszulkę, żeby odsłonić moje tatuaże przed lustrem. Tyle że tym razem nie myślę o walce, jaką każdy z nich upamiętnia. Myślę o nowej, nadchodzącej batalii. Myślę, że jeżeli mam się tego podjąć, potrzebuję tatuażu na dziecko.

Zamykam oczy, bo wstyd mi, że jestem taka słaba, podczas gdy Jackson potrzebuje mojej pomocy.

Kiedy ponownie je otwieram, widzę jego odbicie w lustrze. Stoi tuż za mną.

– Myślałem, że śpisz – mówi.

– Właśnie się obudziłam. – Słyszę fałsz w swoim głosie i mam ochotę cała się skulić.

Marszczy brwi, a ja wiem, że boi się, że moja rozmowa z Ethanem mogła znowu wywołać koszmary.

– W porządku?

– Tak – mówię. – Żadnych koszmarów. Wszystkie przegoniłeś – dorzucam zgodnie z prawdą. To, co zrobili mi Reed i mój ojciec, już zawsze będzie mnie prześladować. I to, że mój ojciec opowiedział Ethanowi o tym odrażającym układzie, dodaje jedynie nowego, ciemnego wymiaru koszmarom, z którymi już walczę. Ale Jackson przekonał mnie, że mogę je zwalczyć.

Prawie niedostrzegalnie wzruszam ramionami.

– Po prostu obudziłam się bez ciebie. Nie lubię tego.

Nie wiem, co on widzi, kiedy na mnie patrzy, ale cokolwiek to jest, to wystarcza. Bierze mnie za biodra, przyciąga do siebie i przywiera ustami do moich ust. Pocałunek jest delikatny, ale potężny. Głęboki, lecz czuły. Zaczynam buzować, wszystkie moje lęki, wątpliwości i niepokoje rozchodzą się w

zmysłowej mgie, stają się jakieś nieważne i bez znaczenia wobec władzy, jaką ma nade mną Jackson.

Pocałunek jest długi, niespieszny, a z każdą sekundą moje podekscytowanie narasta, a moje koniuszki nerwowe rozpalają się coraz bardziej. Ocieram się o jego tors pierściami i przenikają mnie strumienie przyjemności.

– Jest rano – mruczy i odsuwa się. – Powinniśmy jechać na łódź i ruszać na wyspę.

– Zaraz. Proszę – mówię, a w tym jednym słowie zawierają się wszystkie moje obawy i strachy. – Proszę, potrzymaj mnie jeszcze przez chwilę.

Przygląda się mojej twarzy i wreszcie bez słowa prowadzi mnie do łóżka. Zdejmuje dżinsy i koszulę, wsuwa się pod kołdrę tuż za mną tak, że moje pośladki przywierają do jego na wpół sztywnego członka.

Pragnę więcej, potrzebuję więcej. Potrzebuję, żeby jego dotyk przywrócił mi równowagę i spokój. Ale, jeżeli dobrze zrozumiałam, on przez całą noc nie zmrużył oka i nie chce go wykorzystywać, kiedy jest zmęczony. Więcej, chciałabym umieć zmagać się z tym sama, bo potwornie się boję, że przyjdzie taki czas, gdy Jacksona nie będzie przy mnie, żeby pomóc mi przeganiać moje demony.

Zamykam oczy i próbuję przywołać w sobie siłę. Chcę tylko rozkoszować się jego bliskością.

Na szczęście Jackson ma jednak inne plany.

Tak lekko, że z początku nawet tego nie zauważam, zaczyna muskać mnie po udzie, aż wstrząsa mną dreszcz.

Przenika przeze mnie zmysłowa struga ognia i zmieniam pozycję, rozstawiając nogi, żeby miał lepszy dostęp. Tak jak miałam nadzieję, pozwala sobie bez zahamowań, przesuując palce w górę mojego uda, potem po podbrzuszu i odszukując supełek mojej łechtaczki. Z ust wyrывa mi się zduszony jęk, a potem z trudem chwytam powietrze, gdy dwoma palcami pieści mi teraz pokryte wilgocią krocze, ale nie dotyka mnie tam, gdzie najbardziej pragnę.

– Jackson – mruczę. Moje biodra zaczynają się poruszać w swoim własnym rytmie, próbując go nakierować i złapać jego dłoń, ale Jackson umiejętnie się wymiguje i nie pozwala mi znaleźć drogi do zaspokojenia.

W rozpacz przyciskam pupę do jego wzwołu i zamykam oczy z zadowolenia, kiedy wydaje niskie, gardłowe rżenie pełne rozkoszy. Muska mnie ustami po ramieniu, a jego chrapliwe, urywane słowa wysyłają ładunki elektryczne do każdej mojej komórki.

– Muszę cię przelecieć, kotku. Tak. Teraz.

– Dobrze.

– Dotknij się – nakazuje, biorąc mnie jednocześnie za udo i przesuując je do przodu. Nadal ciasno przywieramy do siebie, ale ja leżę teraz w rozkroku, a on wsuwa we mnie palce rozgrzewając mnie do szaleństwa. I dopiero kiedy jestem już tak rozochocona, że przypuszczam, że przemoczyłam pościel, wsuwa we mnie członek i wypełnia mnie długimi, powolnymi ruchami, od których zaczynam kwilić.

Z początku niespiesznie, potem coraz ostrzej, aż materac zaczyna chodzić razem z nami. Ale ja chcę jeszcze gwałtowniej, głębiej, więc zamiast pieścić sobie łechtaczkę, przerzucam rękę nad głowę i zapieram się o wezłowie łóżka, żeby stabilniej go brać, jak na mnie naciera, coraz ostrzej, aż wreszcie eksploduje w środku i opada na mnie osłabiony.

Wzdycham i wyciągam się z zadowoleniem. Jestem na skraju i wiem, że odleciałabym natychmiast, gdybym się tylko dotknęła. Ale nie chcę. Nie teraz. Bo cudownie jest zawisnąć tak na krawędzi, tak

blisko, że nawet podmuch powietrza wydaje się najbardziej zmysłową pieszczotą. Więc kiedy Jackson leniwie wyciąga rękę w moją stronę i zsuwa ją w dół, żeby posmyrać mi mychę, powstrzymuję go dłonią i nieznacznie potrząsam głową.

– Chcę zostać tak, jak teraz – mówię. – Nad przepaścią.

– Dlaczego? – pyta.

Nie wiem, co odpowiedzieć, bo sama do końca nie rozumiem. Wiem tylko, że chcę zostać tak jeszcze przez chwilę, rozchwiana i niepewna.

Więc mówię jedyną rzecz, jaka przychodzi mi do głowy.

– Bo to dzięki tobie jestem w takim stanie.

Nie mija nawet godzina, gdy w końcu wysuwam się z łóżka i zaczynam ubierać. Chociaż zdaje się, jakby upłynęła cała wieczność. Jakbym zasnęła i wyzdrowiała, i przedostała się na drugą stronę odświeżona, zregenerowana i mocna.

To uczucie znika jednak, gdy wciągam bluzę przez głowę i zauważam, że Jackson przypatruje mi się z łóżka, podparty na łokciu.

– Coś nie tak?

– Dziś rano rozmawiałem z Amy.

Skupiam się na wsuwaniu nóg w nogawki krótkich spodenek – w końcu dzisiaj pracujemy na wyspie, a nie w biurze – i znowu na niego spoglądam.

– Twoją adwokat? – pytam, jakbym nie miała o niczym pojęcia.

– Mam dosyć żonglowania życiem małej. Poprosiłem Amy, żeby ustaliła termin rozprawy. Chcę sprowadzić Ronnie do domu.

Zasuwam szorty i siadam koło niego na łóżku.

– Dobrze – mówię. – Jesteś jej tatą.

Widzę ulgę na jego twarzy i wiem, że powiedziałam to, co należało.

– Ale to nie wszystko. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy na lotnisku?

– No jasne. – Jestem dumna z tego, jak zwyczajnie brzmi mój głos.

– Mówiłaś wtedy poważnie? Bo chciałbym to zatwierdzić.

– Zatwierdzić?

Potakuje.

– Gdyby coś mi się stało, chciałbym, żebyś ty przejęła opiekę nad Ronnie. Poprosiłem Amy, żeby poprawiła wniosek. Dopisała ciebie, a nie Megan, w razie gdybym ja nie mógł.

– Ja... – Przełykam ślinę i jestem na siebie wściekła za to, że waham się choćby sekundę.

Oczywiście, nie umyka to jego uwagi.

– Wczoraj, kiedy piekliłem się na paparazzich, dałaś do zrozumienia, że uważasz, że go zabiłem. I że zostaniesz ze mną, mimo wszystko.

Jego głos brzmi niepewnie i biorę go za rękę.

– Wtedy zrozumiałem – podejmuje już nieco śmielej, a we mnie rodzi się ciepła świadomość, że dałam mu siłę. – Chcę, żebyś to ty się nią zajmowała. Była przy niej. Ale wiem też, że to samolubne z mojej

strony i jeżeli nie chcesz...

– Ty się piekliłeś na paparazzich? – wrywa mi się, trochę dla żartu. Natychmiast tego żałuję, ale muszę złapać się czegokolwiek, byle nie głównego tematu. Wszystko, tylko nie opcja samotnego wychowywania dziecka.

– No tak – potwierdza. – Byłem wkurzony i zachowywałem się jak palant, a ty miałaś rację. Muszę trzymać się od nich z daleka, a nie ich jeszcze przyciągać. A kiedy już na nich wpadniemy, to muszę grać tak, jak mówiła Evelyn: być uprzejmy i miły. Krew się we mnie burzy na samą myśl, ale to zrobię, bo dzięki temu mam większe szanse uniknąć więzienia. Zostać z tobą. Z wami.

Wzbiera we mnie ogromne uczucie ulgi. Czyli o to przynajmniej już nie muszę się martwić.

– Zaraz zadzwonię do Amy i powiem, żeby nic nie zmieniała – mówi miękko. – To za dużo prosić cię o coś takiego. Nie pomyślałem, nie...

– Nie – wyrzucam, zaciskając palce na jego dłoni. – Jestem pewna. Oczywiście, że jestem pewna.

Naprawdę jestem.

Pomimo wszelkich obaw jestem całkowicie pewna.

Co innego mi pozostaje?

W świecie Jacksona jest on, jego córka i ja.

Kocha mnie, wiem o tym.

Ale jeżeli kiedykolwiek stanie przed wyborem, zawsze wybierze Ronnie. Bo w odróżnieniu od Jeremiaha lub moich rodziców, Jackson jest dobrym ojcem. I dla niego dobro Ronnie będzie zawsze na pierwszym miejscu.

A co ze mną?

Jedyne, co mi pozostaje, to zadbać, żeby nigdy nie musiał dokonywać takiego wyboru.

Jedyne, co mi pozostaje, to zrobić próbny krok, żeby nauczyć się roli mamy i mieć nadzieję, że nigdy nie będę musiała grać jej w pojedynkę.

Tylko czy robię ten krok dlatego, że kocham Jacksona?

Czy ze strachu, że go stracę, jeżeli odmówię?

Rozdział 15

Apetyczny zapach drożdży i cynamonu unosi się na łodzi, aż zaczyna burczeć mi w żołądku.

– Pachnie cudownie – zauważam, kiedy Jackson otwiera piekarnik w kantorku kuchennym i wyciąga blachę bułeczek z cynamonem.

Dotarliśmy do przystani przed świtem i szczęśliwie nie spotkaliśmy żadnych reporterów czatujących pod bramą. Najpewniej wiedzieli, że Jacksona nie ma na łodzi, bo pojechał spać w domu albo został w biurze.

W tej chwili zbliżamy się do wyspy i nadrabiamy zaległe śniadanie, które wcześniej postanowiliśmy sobie darować, żeby oszczędzić czas.

Jackson sięga po plastikową torbę pełną czegoś białego i lepkiego. Pewnie lukier do bułeczek.

Trochę się przy nim rozleniwiłam, więc wyjmuję mu ją z rąk, żeby też w jakiś sposób pomóc przy śniadaniu. Porywa pierwszą bułeczkę, którą ozdobiłam, zawija w serwetkę i wykonuje ruch głową w stronę dziobu łodzi.

– Pójdę sprawdzić kurs. Zaraz wracam.

Kiwam głową i koncentruję się na lukrowaniu, dopóki nie wraca.

– Już niedaleko – mówi. – Za jakieś dziesięć minut wyłączę autopilota. Jest piękny dzień. Może zjemy na pokładzie?

To świetny pomysł, więc przytakuję. Jackson bierze bułeczki, a ja zgarniam sok pomarańczowy, talerze i kubki i podążam za nim na górę.

Ma rację. Dzień jest wspaniały i w cichości ducha postanawiam nie myśleć dzisiaj o zabójstwie ani więzieniu. Nie martwić się o Ronnie. O to, że być może będę wychowywać ją sama.

Dzisiaj jest tylko praca, wyspa, Jackson i ja.

Dzisiaj spróbuję zachować poczucie normalności, a śniadanie na morzu to doskonały początek.

Niebo jest przejrzyste niebieskie i nieskażone nawet jedną chmurką. Rozpościerający się przed nami ocean jest gładki, a jego powierzchnię marszczy tylko przyjemny wiaterek. Znajdujemy się na tyle blisko Catalina Island i Santa Cortez, że nad głowami krążą nam mewy. Przyglądam się, jak kilka z nich wpada gwałtownie do wody w poszukiwaniu swojego śniadania. Wyrzucam kawałek mojej bułeczki i patrzę, jak najbliższy ptak rzuca się na niego.

– Ej! – mówi Jackson. – Ja się tu namęczyłem. Musiałem je powymować z pudełka i w ogóle...

– Świetnie wybrałeś pudełko. Są rewelacyjne.

Siedzimy na głównym pokładzie na ławie biegnącej wzdłuż lewej burty, zaraz obok kapitańskiego fotela. Ława jest wyściełana poduszkami, a jej oparcie stanowi jednocześnie bok jachtu. Nalałam nam obojgu soku i nasze kubki tkwią we wbudowanych podstawkach, zaś dzbanek jest unieruchomiony

kapokiem.

Postawiłam tacę z bułeczkami między nami i Jackson właśnie sięga po trzecią. Odgryza kawałek i uśmiecha się do mnie szeroko, a w kąciku ust połyskuje mu resztką lukru. Wyciągam rękę i wycieram mu ją kciukiem, a potem wkładam palec do ust, oblizuję i wysysam do czysta.

Przez cały ten czas nawet na chwilę nie spuszczam z niego wzroku.

– Igra pani z ogniem, panno Brooks.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie Steele.

Podnosi się i mnie też stawia na nogi.

– Mówię o tym, że twoja wyspa jest tuż-tuż. – Wskazuje Santa Cortez, która z minuty na minutę staje się coraz większa. – I o tym, że muszę wyłączyć autopilota. – Przebiega mi palcem po ustach, a ja wciągam go i zaczynam ssać i oblizywać jego palec językiem.

Wydaje głęboki jęk.

– Mówię o tym – ciągnie, uwalniając palec – że nie mamy czasu, żeby przeruchał cię tak, jak mam na to w tej chwili ochotę. Ale już niedługo – dodaje i spuszcza rękę, żeby przylgnąć do mojego krocza przez szorty. Potem schodzi niżej, do mojego uda, i wraca do góry po jego wewnętrznej stronie. A potem unosi brew, kiedy odkrywa, że nie tylko nie mam bielizny, ale też jestem gorąca i mokra.

Z ust wyrywa mu się gardłowe, rozkoszne rżenie, a ja przygryzam dolną wargę.

– Grzeczna dziewczynka – stwierdza.

Podnoszę wzrok i posyłam mu niewinne spojrzenie.

– Co mówiłeś o ruchaniu?

Wsuwa we mnie dwa palce, aż wydaję okrzyk.

– Już niedługo – obiecuje. – Bardzo niedługo.

Wzdycham rozczarowana, kiedy się odsuwa i pozostawia mnie napaloną i tak wrażliwą, że każdy dotyk materiału na kroczu jest jak tortura dla zmysłów.

Przez chwilę błądzi po mnie spojrzeniem, ciężkim i rozżarzoną, po czym odwraca się i odchodzi do stanowiska kapitańskiego, żeby poprowadzić łódź. A ja zostaję sama z moimi fantazjami na temat tego, co się zdarzy niedługo.

Podczas gdy Jackson zajęty jest nawigowaniem, ja odnoszę na dół resztki ze śniadania. Właśnie zawijam niezjedzone bułeczki w folię, kiedy słyszę napięty i twardy głos wołającego mnie Jacksona:

– Syl. Chodź no tu!

Rzucam wszystko i lecę na górę. W biegu dopytuję:

– Co się dzieje? – ale, jak tylko wydostaję się na pokład, sama się mogę przekonać.

Okazuje się, że mój cudowny dzień właśnie się skończył.

Keje po jednej stronie nabrzeża są zmiażdżone i cały pomost przechyla się niebezpiecznie pod dziwnym kątem.

– Jak się teraz dostaniemy na wyspę? – pytam, po czym uświadamiam sobie, że to jest akurat najmniejsze z naszych zmartwień. Bo kiedy podążam wzrokiem za jego palcem, odkrywam, że cały obszar został zdemolowany. Z tego miejsca powinnam widzieć zbiorniki z paliwem. Albo na przykład dachy przenośnych toalet i naprawdę boję się pomyśleć, co to będzie, jeżeli te niebieskie kabiny zostały przewracane.

– Masz jakąś lornetkę? – pytam.

– Cholera, no pewnie. – Jackson zeskakuje na główny pokład i zrzuca poduszki z ławy, na której właśnie zjedliśmy śniadanie, żeby wydobyć lornetkę z ukrytego schowka. Doprowadza ławę do stanu używalności, wchodzi na górę i przykłada lornetkę do oczu.

– Kiepsko to wygląda – komentuje, po czym przekazuje mi lornetkę.

Spoglądam i widzę, że nie przesadza. Zbiorniki z paliwem zostały rozbite. Heliport jest zawalony gruzami. Wszędzie walają się kable i druty, razem z fragmentami roztrzaskanego sprzętu. Chyba jedyną rzeczą, której nie przewrócono jest maszt, na którym zamocowano kamerę monitoringu.

W ustach pojawia mi się wstrętny, oślizgły posmak, bo to jest dramat. Prawdziwy dramat. To nie jest wyciek e-maili czy jakieś kompromitujące fotki albo plotki o broni rządowej. To jest najczystszy wandalizm. Prawdziwy, profesjonalny sabotaż.

I odbieram to bardzo osobiście.

– Musimy przekonać się, jaki jest zakres strat – mówię. – Czy możemy mimo wszystko wpłynąć do przystani? Albo spróbujmy zbliżyć się na tyle, żeby zarzucić kotwicę i dokończyć wpływ.

– Nie – odpowiada Jackson stanowczo. – Musimy tu ściągnąć Ryana i ekipę. Moglibyśmy coś tu namieszać i utrudnić późniejsze dochodzenie. Poza tym wszędzie jest pełno benzyny. Nie wpuszczę cię tam, dopóki nie będę pewien, że nie ma ryzyka.

Mam chęć odszczeknąć, że doskonale potrafię sama się sobą zająć, ale stwierdzam, że ma słuszość i nic nie odpowiadam. Na wyspie nie ma jeszcze sieci, ale łódź jest wyposażona w kompletny system komunikacji satelitarnej i telefon zaczyna dzwonić, jeszcze zanim udaje mi się dotrzeć pod pokład, żeby go poszukać.

Lecę odebrać i nie dziwi mnie, że dzwoni Ryan.

– Widziałeś nagranie? – pytam. – Wiadomo, kto to zrobił?

– Niezupełnie – odpowiada, co wydaje mi się trochę bez sensu. Najwyraźniej wie, o czym mówię, ale skąd, jeżeli nie widział zapisu monitoringu?

– Wyjaśnię ci, jak się tam dostaniemy – mówi, jakby przeczuwając moje kolejne pytanie. – Damien i ja będziemy tam za najdalej czterdzieści pięć minut. Jesteśmy na łodzi, a reszta ekipy dojedzie jakieś dwadzieścia minut później. Aha, Syl – dodaje – nie wchodźcie na wyspę.

Wracam biegiem na pokład, w myślach dokonując przeglądu wszystkich rzeczy do zrobienia. Sprzątanie, śledztwo i – psiakrew – dziennikarze.

Mam w głowie milion rzeczy naraz, gdy powtarzam Jacksonowi moją rozmowę z Ryanem. Jackson też nie potrafi znaleźć rozsądnego wytłumaczenia, skąd Ryan dowiedział się o wszystkim.

Nie mam wątpliwości, że przez cały czas, kiedy byłam na dole, chodził po pokładzie w tę i z powrotem, ale przestał, odkąd wróciłam. Teraz wyciąga ręce i kładzie mi je na ramionach, trzymając mnie w miejscu i przygląda mi się uważnie.

– W porządku?

Rozumiem, o co mu chodzi, i kiwam głową, że tak.

– W porządku. Jestem wściekła, ale w porządku. – Uśmiecham się do niego. – To jest praca – dodaje i wiem, że Jacksonowi nie muszę nic więcej wyjaśniać, bo dla niego to działa tak samo. Zawsze tak było. Praca jest dla nas ucieczką. Odkocznią. Tym, co nas mobilizuje i daje poczucie stabilności. Problemy w

pracy mogą być irytujące, mogą mnie rozeźlić na całego, ale nie mogą mnie załamać.

Zniszczyć mogłyby mnie tylko osobiste sprawy. Chwile takie jak wczoraj wieczorem, kiedy koszmary i strachy znów podnoszą głowę i opanowuje mnie potrzeba, żeby zaszyć się gdzieś głęboko w sobie.

Niewątpliwie kiedyś to mogło mnie zniszczyć. Teraz mam Jacksona i siłę, którą pomógł mi odnaleźć. Mój ukochany, mój przyjaciel, mój obrońca.

Wślizguję mu się w ramiona i odchylam głowę, żeby dostać buziaka.

– Chodź – mówię – zrobimy spis rzeczy, które trzeba sprawdzić, jak już Ryan pozwoli nam wejść na wyspę.

W biurze Jackson siada przed komputerem, a ja chodzę za jego plecami w tę i z powrotem, rozważając wszelkie możliwe warianty.

Właśnie staram się wyliczyć, w jaki sposób koszty związane z uprzątnięciem wyspy po godzinach wpłyną na mój budżet, kiedy ponownie rozlega się telefon. Odbieram.

– Kiedy będziecie?

– Sylvia? – To nie Ryan. Głos należy do kobiety. Dopiero po chwili rozpoznaję Harriet Frederick.

– Pani Frederick – z trudem wymawiam jej imię, bo moje gardło gwałtownie się zaciska. – Ja... – Poddaję się. Nie wiem, co powiedzieć.

– Czy mogę rozmawiać z Jacksonem? – pyta łagodnie, jakby rozumiała, że używanie zwykłego tonu mogłoby mnie urazić.

Jackson jest już przy mnie. Poderwał się, jak tylko usłyszał, że to ona. Podaję mu telefon lekko skołowana i natychmiast się obejmuję.

Jackson zostaje przy mnie.

– Słucham, Harriet. Co się dzieje?

Usiłuję usłyszeć, co mówią i przeklinam w duchu Jacksona za to, że nie przełącza rozmowy na zestaw głośnomówiący, chociaż wiem, że to by naruszało poufność między prawnikiem i klientem. Mogę więc tylko próbować wyczytać coś z wyrazu jego twarzy.

Co wcale nie jest łatwe, bo on akurat stoi nieruchomo jak posąg.

Po chwili mówi:

– Rozumiem. A w najgorszym wypadku, to by było kiedy?

W najgorszym przypadku.

Ożeż! Cholera.

Nawet nie rozglądam się za krzesłem. Osuwam się bezpośrednio na podłogę.

– Dobrze – mówi. – Dziękuję za telefon. – Wybuchu śmiechem. – Nie. Kusząca propozycja, ale nie.

Kończy rozmowę, po czym nachyla się nade mną z wyciągniętą ręką, żeby pomóc mi wstać.

Potrząsam głową.

– Wolę zostać tak, dopóki nie dowiem się, o co chodzi.

Uśmiecha się nieznacznie, ale oczy ma pełne powagi.

– Najwyraźniej policja wie, że byłem u Reeda w domu.

– O. – Nagle żałuję, że nie usiadłam jednak na kanapie. Przynajmniej mogłabym owinać się kocem, żeby powstrzymać dreszcze. – Jak się dowiedzieli?

– Ktoś mnie widział. To był wieczór Halloween, tak? Wprawdzie Reed nie zostawił światła na ganku,

bo nie rozdawał słodyczy, ale jakaś mama zauważyła mnie w świetle latarni. Widziała mężczyznę idącego ulicą.

– Rozpoznała cię?

– Pokazali jej zestaw zdjęć. Wybrała mnie.

Zamykam oczy, a kiedy otwieram je znowu, Jackson kuca na wprost mnie.

– Syl, to nie wszystko. Słyszała, jak kłócimy się z Reedem.

– Boże. – Zaczynam się trząść i chwytam go za rękę. – Powiedziałeś coś o najgorszym przypadku.

Miałeś na myśli aresztowanie?

Potakuje.

– No więc? – dopytuję. – Kiedy?

– Harriet nie wie. To może być kluczowa informacja i wówczas mogą mnie aresztować jutro. Albo mogą szukać czegoś więcej.

– No ale ty tego nie zrobiłeś. – Mam w gardle ciężką kulę. – Nie mogą mi cię odebrać, skoro tego nie zrobiłeś.

– Hej! – Bierze mnie za rękę. – To nie jest rzecz, którą musimy się w tej chwili zająć. Nie po to jesteśmy tu na tej łodzi. I na tej wyspie. Teraz pracujemy, tak? Teraz pracujemy, a martwimy się później.

Kiwam głową. Ma rację. A zamartwianie się i umieranie ze strachu niczego nie rozwiąże.

I to prawda, co powiedziałam wcześniej – praca to moja pociecha, tak jak dla niego. A w tej chwili oboje jej potrzebujemy.

– Okej – mówię, próbując zebrać myśli. – Okej. Musimy. – Mój oddech przyspiesza, gdy wypowiadam te słowa: – Musimy przygotować się na najgorsze. Jeśli chodzi o ośrodek. Potrzebny nam jest plan. – Dźwigam się na nogi. – Gdybyś ty... – Urywam, bo nie chcę nawet powiedzieć tego głośno.

– Gdybym trafił do celi dla niebezpiecznych?

– Przestań! – rzucam się. – Mogę jakoś z tym żyć. Ale nie mogę na ten temat żartować.

– Wiem – odpowiada. – Przepraszam. – Przygarnia mnie do siebie i całuje mnie w czoło. – Dokończ, co chciałaś powiedzieć.

– Chciałam tylko powiedzieć, że może powinniśmy zaangażować kogoś, żeby twój projekt na pewno został zrealizowany tak, jak zaplanowałeś.

Jackson potakuje.

– Masz rację. Powinienem był sam już o tym pomyśleć. – Przebiega palcami po włosach. – Zaproponowałbym Chestera – ciągnie, mając na myśli jednego ze swoich stażystów, którego ściągnął do Los Angeles ze swojego biura w Nowym Jorku. – Ale on jeszcze nie ma licencji i to by się mogło nie spodobać inwestorom.

– I, szczerze mówiąc, wolałabym kogoś, z kim już pracowałam.

Jackson kiwa głową.

– Myślisz o Nathanie Deanie?

– Tak.

Dean projektował dom Damiena w Malibu i współpracowałam z nim w trakcie projektowania oraz budowy. Jackson poznał go niedawno na małym przyjęciu właśnie w rzeczonym domu i szybko porozumieli się w sprawie kratownic i nośników sklepień.

To miły facet i dobry architekt, chociaż gdzie mu tam do Jacksona. Wiem, że zdaniem Aideny Damien zablokowałby kandydaturę Deana na głównego architekta ośrodka. Podobno Dean miał zaprojektować domek Damiena na wyspie, a potem wycofał się dokładnie, kiedy ruszaliśmy z całym projektem na Cortez. Ale teraz nie chodzi o Deana i jego pracę. Potrzebujemy człowieka, który będzie umiał urzeczywistnić wizję Jacksona w najgorszym razie.

– Wydawał się w porządku – stwierdza Jackson. – Jeżeli ma czas i Damien nie będzie miał nic przeciwko temu, to myślę, że to świetny pomysł, żeby go zaangażować.

Kiwam głową.

– Spróbuję wycząć, nad czym teraz pracuje i gdyby się okazało, że jest wolny, pogadam o tym z Damienem. I wtedy zobaczymy.

Znowu pochylam się nad moją wstępną listą rzeczy do zrobienia w zakresie sprzątnięcia wyspy, a Jackson wraca do swojego stołu kreślarskiego.

Kiedy na zewnątrz rozlega się hałas silnika motorówki, mam już całkiem pokaźny spis, który zapewne jeszcze się wydłuży, jak tylko z bliska zobaczę uszkodzenia i obejde całą wyspę wzdłuż i wszerz.

– Jak się dowiedziałeś? – pytam Ryana, jak tylko razem z Damienem wchodzi na jacht Jacksona.

– Nasz sabotażysta szuka poklasku – stwierdza Damien kąśliwie. Podaje mi swój telefon, gdzie zachował fotografię szkód. Zdjęcie zrobione zostało w nocy, więc widoczne są tylko elementy przesadnie oświetlone przez lampę błyskową. Cały obraz wygląda przez to dość upiornie, jakbyśmy patrzyli na jakiś futurystyczne, zmechanizowane cmentarzysko. – Przyszło e-mailem dziś rano.

– Sprawdziliście od kogo? – pyta Jackson.

– Oczywiście – odpowiada Ryan. – Mój człowiek właśnie dał mi znać. Wysłano z tymczasowego numeru. Fikcyjne konto podpisane pod fałszywe dane. Wiemy tylko, że nadane zostało z Los Angeles, ale to nie posuwa nas zanadto do przodu. Od początku przypuszczałem, że ten sukinsyn jest stąd. Najprawdopodobniej ktoś od nas.

– Przynajmniej nie sądzisz już, że to ja – mówi Jackson z domieszką ironii.

– Sam mówiłeś, że za bardzo cenisz własną pracę – odpowiada Damien. – Nie spieprzyłbyś tego z głupiej chęci zemsty. Szczególnie wobec mnie. Twoim zdaniem nie jestem tego wart.

Damien zerka na mnie.

– Był taki czas, że wyrzuciłbyś całą swoją pracę na śmietnik, żeby tylko odegrać się na pani Brooks. Ale myślę, że to już przeszłość.

– Owszem. – Głos Jacksona jest tak sztywny jak jego postawa. – I masz rację, nie byłeś tego wart. A nawet gdybyś był, za nic nie chciałbym, żebyś miał tego świadomość.

Damien parska śmiechem.

– A teraz już mogę?

Jackson wygląda na tak oszołomionego, jak ja się czuję.

– Powiedziałeś, że nie byłem tego wart. Czyżbym wyczuwał wzrastające uznanie i szacunek?

Mówi to lekko, niemal żartobliwie, ale Jackson odpowiada z powagą.

– Tak. Wydaje mi się, że tak. – Przez chwilę patrzą na siebie, a w końcu Jackson uśmiecha się niepewnie. – Ale niech ci to nie uderzy do głowy.

Damienowi drży kącik ust.

– Zapamiętam sobie.

– Mamy jakiegokolwiek poszlaki? – zwracam się do Ryana. Jak dotąd wszelkie próby wykrycia sabotażysty spełzały na niczym. – Chyba coś się złapało na monitoringu? Jakim cudem dokonaliby tych wszystkich zniszczeń bez wchodzenia w zasięg kamery? Ten obszar to główny powód, dla którego w ogóle ją zainstalowaliśmy.

Ryan spogląda na Damiena i marszczy brwi.

– Zapętlili nagranie.

– Co? – Słyszę, co mówi. Nawet wiem, co to znaczy. Ale jakoś nie mogę tego zrozumieć.

– Przez jak długo? – pyta Jackson.

Ryan kręci głową.

– Skopiowany fragment trwa trzydzieści minut. Zdaje się, że zapis pochodzi z około drugiej w nocy, a o drugiej trzydzieści zaczęli powtarzanie. Wczoraj w nocy nie było księżyca, więc wszystko jest w podczerwieni i nikt z zespołu monitoringu nic nie zauważył.

– To jak się dowiedziałeś?

– Jak już Damien dostał ten e-mail, to wiedzieliśmy czego szukać.

Spoglądam na Jacksona, który robi, co może, żeby nie wybuchnąć. Widzę jednak, jak gniew się w nim buduje, pęcznieje i zaraz eksploduje.

Odwraca się do mnie, cały wyraźnie napięty.

– Chyba jednak pójdę do ciupy, bo, przysięgam, zabiję tego sukinsyna.

– Będziesz się musiał pośpieszyć, żeby zdążyć przede mną – dorzuca Damien.

Przenoszę wzrok z jednego na drugiego.

– Nawet tak nie żartujcie.

Spoglądają po sobie i, mimo całego napięcia, widzę iskrę rozbawienia w ich oczach.

Trudno się nie uśmiechnąć. W końcu są przecież braćmi.

Rozdział 16

Większość wtorku i całą środę spędzamy z Jacksonem na wyspie, organizując prace porządkowe i przedzierając się przez posępne rumowiska pozostałe po dewastacji. Brzuch zaczął mnie boleć, jak tylko stanęłam na wyspie i ogarnęłam wzrokiem zniszczenia – potrzaskany sprzęt, rozniesione składziki. A to był tylko wierzchołek góry lodowej.

To było podłe i mściwe, więc teraz zależy mi tylko na dwóch rzeczach: jedno to znaleźć tego łajdaka, a drugie – naprawić szkody. Bo jeżeli uda się uratować projekt, to tak jakbym pokazała temu sukinsynowi środkowy palec i udowodniła, że przegrał.

W czwartek rano jestem z powrotem w biurze, ale nie wygląda, żeby dzień miał się potoczyć dużo lepiej. Damien ma w planie międzynarodowe telekonferencje przez cały dzień, co oznacza, że przyszedłam do pracy o czwartej rano. Tyle dobrego z tych wczesnych telefonów Damiena, że nie mam czasu zastanawiać się nad sabotażem ani zamartwiać, że zaraz może zjawić się jakiś inspektor i aresztować Jacksona. I wtorkowy wieczór, i całą środa upłynęły nam błogo bez widma aresztowania, ale i tak jestem podminowana.

Poranek wypełnia mi chmara telefonów, e-maili i mniejszych sytuacji kryzysowych, tak związanych z pracą, jak i osobistych. Kwestie zawodowe ogniskują się wokół grafiku Damiena i projektu ośrodka. Jesteśmy w ferworze przygotowań przed jego podróżą do Chin. Jedzie tam raptem na tydzień, ale gdyby tak spojrzeć, ile jest z tym zachodu, można by pomyśleć, że zostanie tam przynajmniej przez miesiąc. Wylatuje w niedzielę wieczorem i w biurze panuje istny kociokwik.

Sprawy osobiste dotyczą wyłącznie mnie. Wróciliśmy do przystani wczoraj późnym wieczorem i, jak tylko odzyskaliśmy zasięg, mój telefon rozcwierkał się od chyba z dziesięciu esemesów od Ethana, który chciał wiedzieć, jak się miewam i zapewniał, jak bardzo mnie kocha.

Co do Cass, to chyba przez ostatnie dwa dni nie robiła nic innego, jak pisała do mnie.

„Hej, jesteś tam?”

Halo!

Dlaczego Ethan poleciał za tobą?”

„Może byś do mnie wpadła?”

Mam do ciebie zajrzeć?”

Chyba nie zamknęli Jacksona, co?”

„Dlaczego nie odpowiadasz?”

„Cholera, Syl, zaczynasz mnie wkurzać”.

„Dobra przepraszam. (W sumie to nie, cholera, zadzwoń albo odpisz!)

Co jest, k...?

Halo!

Dzwoniłam do ciebie do pracy i cię nie ma”.

„Gdzie. Się. Kurwa. Podziewasz”.

Gdy tylko obrabiam się ze wszystkim na konferencję Damiena o ósmej, odpowiadam jej:

„Przepraszam.

Byłam na wyspie. Zero zasięgu.

Urwanie głowy z ośrodkiem i z Jacksonem. Ale nic poważnego. Nie za bardzo. Jeszcze nie.

Muszę lecieć. Młyn w robocie”.

Odpowiada nieomal natychmiast. Najwyraźniej naprawdę czekała na znak życia ode mnie.

„Na pewno?

Czekaj: Ethan. O co poszło?”

Mam ochotę zawyć, kiedy przypominam sobie, że mój ojciec wciągnął Ethana w mój mały, życiowy dramat. Jakoś się ten szczegół rozmył w całym tym zamieszaniu z sabotażem i aresztowaniem.

„Ojciec mu wszystko powiedział. DUPA”.

Jej odpowiedź jest krótka i treściwa.

„Ja pierdolę.

Jak się trzymasz?”

Waham się przez chwilę, po czym odpowiadam zgodnie z prawdą.

„Teraz już dobrze. Raczej. Było kiepsko.

Naprawdę, nie mogę gadać.

Nie martw się. Nie trzeba tatuażu.

Słowo”.

Uśmiecham się, gdy w odpowiedzi dostaję buźki z całusami i uściskami.

Z Ethanem nie mogę jednak załatwić sprawy esemesem. Ale też nie będę do niego dzwonić przed dziesiątą. Firma, w której pracuje – internetowe biuro wycieczek zorganizowanych – dała mu trzy tygodnie urlopu, z czego jeden płatny, na osiedlenie się w Stanach. W przypadku mojego brata to oznacza spanie do późna.

Prawdę mówiąc, nawet mi odpowiada to, że nie muszę z nim teraz rozmawiać. Mój ojciec to ostatnia osoba na świecie, o której mam w tej chwili chęć myśleć, więc znowu rzucam się w wir obowiązków. O dziewiątej Damien zaczyna telekonferencję, która ma trwać godzinę, a tymczasem do mojego biurka podchodzi Mila.

Jest jedną z naszych mobilnych sekretarek i poprosiłam o przypisanie jej dzisiaj do mnie, skoro mam występować w podwójnej roli: jako asystentka Damiena i menedżer projektu Cortez. Wolałabym przekazać wszystko Rachel, ale do soboty ma wolne, bo pojechała do Monterey do siostry.

Ale nawet z Milą do pomocy nie mam chwili przerwy, bo prasa dowiedziała się o zniszczeniach na wyspie i bez ustanku wiszę na telefonie, wydając oświadczenia, jak to mamy wszystko pod kontrolą, że ujawnione zdjęcie przedstawia wyolbrzymiony obraz szkód i że ich usuwanie w żaden sposób nie wpłynie na planowany termin inauguracji ośrodka. A za każdym razem, gdy powtarzam te słowa, mam ochotę udusić tego łajdaka, który dokonał demolki, zrobił to zdjęcie i ściągnął na mnie masę kłopotów.

Ale nie chodzi tylko o media. Dzwonią też inwestorzy i chociaż udało mi się uspokoić większość z nich, to jeden się jednak wycofał. I mimo że nie powiedział otwarcie, że przenosi wsparcie na Lost Tides, mam nieodparte przeczucie, że właśnie tak będzie. Niespodziewanie i wbrew swojej woli znalazłam się więc w ogniu rywalizacji z tym cholernym projektem w Santa Barbara.

A poza tym wszystkim próbuję jeszcze zająć się tym, co, jak opowiadam na lewo i prawo, jest już wprowadzane w czyn, czyli zorganizowaniem i nadzorowaniem prac porządkowych na wyspie, które mają się rozpocząć, jak tylko Ryan da znać, że jego ludzie skończyli rozpoznanie terenu i zbieranie śladów.

Innymi słowy, jestem zaganiana i zestresowana. A do tego wciąż cała aż się gotuję, że ktoś rzuca mi kłody pod nogi.

To znaczy, z technicznego punktu widzenia, pod nogi projektu, ale wszystko, co dotyczy Cortez, odbieram bardzo osobiście.

O jedenastej Damien ma kolejny telefon, tym razem pół godziny. Jakimś cudem robi się na tyle spokojnie, że mogę przekazać ster Mili i wyskoczyć do kuchni na kawę.

Po drodze mijam Trenta i na jego widok przypominam sobie naszą rozmowę z Jacksonem o Nathanie Deanie. Wiem, że Dean pracuje w tej chwili dla Trenta nad projektem jego nowego domu, ale jeżeli nie ma na tapecie nic innego, może zgodziłby się zastąpić Jacksona, gdyby go jednak aresztowali. Albo, nie daj Boże, skazali.

Już od samej myśli skacze mi ciśnienie. Chociaż właściwie i tak jestem niezłe spięta. Za każdym razem, kiedy słyszę otwierające się drzwi windy, odwracam się pewna, że zobaczę dwóch inspektorów z kajdankami.

Ale nie mogę tego w nieskończoność odsuwać. Sytuacja musi być stabilna. Trzeba dopilnować, żeby w razie najgorszego, ktoś mógł przejąć pałeczkę. Przez chwilę mam zamiar poczekać i skonsultować to najpierw z Damienem, ale nie czarujmy się, to jest decyzja należąca do menedżera projektu i muszę podjąć odpowiedzialność.

Gdy tylko wracam do biurka, sięgam więc po słuchawkę.

– Możesz przejąć telefony Damiena? Muszę zadzwonić w sprawie ośrodka.

– Pewnie. – Mila jest bystra i kompetentna. Za miesiąc czy dwa będzie mogła obsługiwać biuro

Damiena samodzielnie. Przy odrobinie szczęścia, to Rachel będzie ją szkolić, bo ja będę już w moim nowym biurze w dziale nieruchomości. W tej chwili jednak jest moją prawą ręką.

Dean odbiera od razu po pierwszym dzwonku, jakby trochę zdyszany.

– Ekhm, Nathan Dean.

– Nathan, dzień dobry. Mówi Sylvia. Co słyszą?

– O! – Odkasłuje. – Przepraszam. Ja... Jestem trochę zajęty. Myślałem, że to Damien. Co z nim?

– Wszystko w porządku, ale nie dzwonię w jego imieniu. – Nathan jest cichy i raczej nieśmiały. Mam nadzieję, że kiedy dowie się, że nie grozi mu rozmowa z Damienem, trochę się wyluzuje. – Chciałabym się z tobą spotkać. Jest plan jednego projektu i jeżeli masz czas, to powinniśmy porozmawiać. Wiesz, że jestem teraz w dziale nieruchomości, prawda?

– Jasne, jasne. Ja... Miło mi, że pomyślałaś o mnie, ale powiem szczerze, że całą wiosnę mam już zabukowaną.

– To wspaniale. – Naprawdę się cieszę. Ponieważ nie czytałam nic o nim ostatnio w prasie branżowej, bałam się, że nie ma zbyt wiele zleceń. – Wiem, rzecz jasna, że pracujesz nad domem Trenta, a poza tym, czym się zajmujesz?

– No... Jest jeszcze drugi projekt dla Trenta i...

– Dla Trenta? – Wiem na pewno, że to nic dla naszego działu nieruchomości. – Co, buduje sobie dom letni w Santa Barbara?

Rzuciłam to ot tak sobie, tylko dlatego, że Trent ostatnio tam jeździł. Tym bardziej zaskakuje mnie konsternacja Nathana, gdy odpowiada mętnie:

– W Santa Barbara? Nie. Nie! To znaczy, on nie... Wiesz co, przepraszam cię, ale jestem już spóźniony na spotkanie.

– Pewnie, nie ma problemu. – Kończymy rozmowę i teraz zaczynam się zastanawiać, o co chodzi z Trentem. Nie przychodzi mi na myśl żaden powód, dla którego mógłby chcieć zachowywać projekty w tajemnicy. Chyba że ma zamiar się przeprowadzić i nie chce, żeby się to rozniosło w pracy. Marszczę brwi, bo to wydaje się całkiem prawdopodobne. Naprawdę go to ubodło, kiedy ja dostałam projekt na Cortez, a nie on. Ale nie przypuszczałam, że aż tak, żeby zacząć szukać innej roboty.

Nie chciałabym, żeby odszedł, ale niezaprzeczam, że gdzieś z tyłu głowy kołacze mi się myśl, że gdyby się tak stało, miałabym znacznie więcej możliwości, gdy już zacznę pracować w dziale nieruchomości na stałe.

Postanawiam zapytać później Rachel, czy nic jej się nie obilo o uszy. Mila, która obsługuje telefon w pobliżu kanapy i właśnie skończyła rozmowę z jakimś interesantem Damiena, podnosi wzrok i pyta:

– Wszystko okej?

– Tak – marszczę się. – Tylko jeden koleś, którego miałam nadzieję ściągnąć do stałej współpracy, jest zawalony zleceniami.

– To chyba dobrze, nie?

– Dla niego tak. – Biorę głęboki wdech, wydynam policzki i głośno wypuszczam powietrze. Czuję dziwny niepokój, jestem bezsilna i zdenerwowana. – Dla mnie już nie bardzo. – Pocieram palcami skronie. – Potrzebuję jeszcze jednej kawy. Masz ochotę?

– Nie, dziękuję. Ale mogę ci zrobić.

Dziękuję jej gestem.

– Muszę się trochę ruszyć.

Podnoszę się, a wtedy mój telefon zaczyna dzwonić. Ethan. Odbieram, wychodząc zza biurka.

– Super, że dzwonisz. Byłam na łodzi i nie mogłam odebrać twoich wiadomości i...

– Sylvia, kochanie, mówi tata.

Wyciągam rękę, żeby przytrzymać się biurka.

– Dlaczego dzwonisz do mnie z numeru Ethana?

– Wiesz dlaczego. – W jego głosie słychać wyrzut i czułość jednocześnie. Tak jakby miał do mnie pretensje, ale bardzo starał się tego nie okazać.

– Nie mogę teraz rozmawiać. Nie miałaś prawa mu mówić.

– Kochanie...

– Przestań tak mnie nazywać.

– Proszę, chciałbym z tobą porozmawiać. Kocham cię.

Wzdrygam się, bo te słowa w jego ustach brzmią okropnie i nieprzyzwoicie.

– Wybrałaś interesujący sposób, żeby to okazać. Przestań do mnie wydzwaniać. Porozmawiam z tobą, kiedy będę gotowa.

– To znaczy kiedy?

– Nigdy – syczę, a po plecach rozpełza mi się uczucie zimna. – To będzie nigdy.

Rozłączam się i chcę odłożyć telefon na biurko, ale palce odmawiają mi posłuszeństwa i aparat wypada mi z rąk na podłogę. Mamrocę przekleństwo pod nosem i widzę, jak Mila marszczy czoło.

– Wszystko w porządku?

Uśmiecham się.

– Tak. Po prostu... Jestem niewyspana. Pójdę się przejść. Dziesięć minut. Okej?

Nie czekam na jej odpowiedź. Pospiesznie wychodzę na klatkę schodową, zamykam za sobą drzwi i opieram się o ich chłodną, metalową powierzchnię. Chce mi się płakać. Chce mi się krzyknąć.

Ale nie robię ani jednego, ani drugiego.

Zamiast tego powtarzam sobie, że jestem silna.

Przywołuję w myślach głos Jacksona, który mówi mi, że dam radę.

W wyobraźni ściskam go za rękę.

A potem, ponieważ wiem, że ma rację, odchylam głowę do tyłu i głęboko oddycham.

Rozdział 17

Gdy schodzę na dwudzieste szóste piętro, widzę asystentkę Jacksona, Lauren, w otoczeniu dwóch facetów z jego nowojorskiego biura, Chestera i Douga, którzy przylecieli tu za nim jako pierwsi. Witam się skinieniem głowy, ale nie przystaję.

Wchodzę do jego przeszklonego biura i zatrzymuję się w progu, chłonąc widok. Jackson stoi przy podwyższonym stole kreślarskim, z rękawami koszuli podwiniętymi do góry, spokojny i rozluźniony w swoim świecie. Ma w uszach słuchawki i z płynnego, zrównoważonego ruchu jego ręki zgaduję, że słucha muzyki klasycznej. Czegoś potężnego. Porywającego.

Wchodzę do środka i moją uwagę przykuwa korkowa tablica, którą Jackson przymocował do jedynej murowanej ściany pomieszczenia. Cała jest pokryta szkicami i fotografiami wyspy we wszystkich możliwych ujęciach.

– To dranie – szepczę. – Cholerne dranie.

Rozdrażniona przesuwam palcami po moich krótkich włosach. Nie jestem pewna, czy zesłam tu, żeby strząsnąć z siebie irytację, jaką wywołał u mnie telefon ojca, czy – żeby pochwalić się Jacksonowi, że wytrzymałam. Że rozmowa z nim była dla mnie straszna, ale dałam radę i się nie rozkleiłam, nawet nie uroniłam łzy.

Nie wiem, ale to bez znaczenia. Bo widok tych zdjęć wyspy przypomni mi, że dzisiaj sprawą numer jeden jest ośrodek, a nie mój ojciec. Muszę postawić ten projekt na nogi, odgruzować i wyszykować jak trzeba. Jackson zrobił przy nim fantastyczną robotę i nie ma mowy, żeby jakiś niewidzialny dupek wszystko zaprzepścił.

Jestem już prawie za drzwiami, kiedy jedno słowo Jacksona osadza mnie w miejscu:

– Hej.

Odwracam się i widzę, że mi się przygląda z mieszaniną pragnienia i czułości w oczach, od czego natychmiast ogarnia mnie przyjemne ciepło, aż po czubki stóp.

– Hej – odpowiadam z uśmiechem.

– Zjawiasz się i znikasz, i nawet nie powiesz „cześć”?

Odchylam głowę, rozbawiona.

– Jesteś w dobrym nastroju.

– A dlaczego miałbym nie być? Robota pali mi się w rękach, aż miło. Moja dziewczyna zajrzała, żeby się ze mną zobaczyć. Moje biuro jest wreszcie skończone. I jeszcze nikt mnie nie aresztował.

Wybucham śmiechem.

– Racja. Wszystko idzie jak z płatka.

Wciska guzik zamontowany nad biurkiem i na wszystkie szklane ściany zsuwają się automatyczne story,

na tyle szybko, że pomieszczenie z akwariem przeistacza się w ślepe akurat, gdy mnie dopada.

– Skończyli je instalować, jak byliśmy na wyspie – mówi, chociaż o nic nie pytam. – Pomyślałem, że trochę prywatności zawsze może się przydać.

Wypowiada ostatnie zdanie z takim żarem w oczach, że rozumiem, co ma na myśli, mówiąc „zawsze”.

Przechodzi koło mnie, żeby zamknąć drzwi i chwilę później słyszę wymowny szcęk zasuwki.

Gdy wraca do mnie, krzyżując ręce na piersiach i unosząc zawadiacko brew.

– Co pan, przepraszam, robi, panie Steele?

– Testuję wyposażenie mojego nowego biura.

– Czyżby? – Jestem rozbawiona. I bardzo podrajcowana. – Czy mam panu przypomnieć, że jesteśmy w pracy? I że ma pan dostarczyć mi pewien projekt? I że za tymi drzwiami aż się roi od ludzi?

– Naprawdę? – pyta i jednocześnie powoli podciąga mi przód spódnicy, aż jestem kompletnie odsłonięta i autentycznie skomlę. Wsuwa mi rękę między nogi i zanurza we mnie dwa palce. Z ust wyrwa mi się urywany okrzyk, zarówno z zaskoczenia, jak i podniecenia. – Proszę uważać, pani Brooks. Nie chce chyba pani zwrócić na siebie uwagi.

Zamykam oczy i poddaję się wzbierającej we mnie spirali rozkoszy.

– Jackson, proszę.

– Proszę, co?

Nie mam pojęcia. Proszę, przestań? Proszę, dotykaj mnie? Proszę, przeleć mnie?

Wiem, że powinnam się opierać. Powinnam się wycofać. Ale jak mam to zrobić, skoro każdy neuron mojego ciała rozjarza się dla niego? Jak mam przytomnie rozumować, skoro jestem pijana z pragnienia i pożądania? Kiedy pokusa, żeby dać się ponieść, dać się zdominować, jest tak wielka, że właściwie to nie mam wyboru, jak ulec? Poddać się i odlecieć.

A ponieważ to jest Jackson, ponieważ oboje tego potrzebujemy i pragniemy, to właśnie robię.

Pobudza mnie jednym palcem, drażniąc mi łechtaczkę, i doprowadza mnie do granic wytrzymałości.

– Jezu, jesteś taka piękna, jak jesteś napalona. Coś cię rozświecila od środka, jak świeczkę. Chcę, żebyś płonęła, Sylvia – szepcze, zadzierając mi resztę spódnicy, a potem otacza mnie ramieniem, wsuwa mi rękę między nogi od tyłu i pieści mnie w okolicach odbytu. – Chcę, żebyś się dla mnie rozpadła na kawałki i odsłoniła mi wszystkie swoje sekrety.

– Nie mam żadnych sekretów – mówię. – Nie przed tobą. Już nie. – Moje ciało buzuje z pragnienia i wyrwa się ku słodkiej fali zaspokojenia.

Muska mi ucho ustami, a delikatny dotyk jego języka i oddechu sprawiają, że tracę rozum. A kiedy mówi do mnie, praktycznie się rozlatuję.

– Tak bym chciał posunąć cię teraz w dupę. Wziąć cię w najbardziej intymny sposób właśnie tutaj, w środku dnia, dwadzieścia sześć pięter nad miastem. Powiedz mi, kotku, chciałabyś tego?

Trudno zaprzeczyć.

– Tak.

– Nigdy cię jeszcze tak nie miałem. Powiedz, że byś chciała.

– Chciałabym.

– Dlaczego?

Dlaczego? Bo myślę, że będzie mi dobrze. Bo chcę spełnić każdą jego fantazję, dać mu każdą możliwą

przyjemność. Wszystko, co chciałby mi zrobić, co chciałby zrobić ze mną. Jak chodzi o Jacksona niczego się nie wstydzę. Jest tylko rozkosz i żądza.

Ale tego mu nie mówię. Odpowiadam za to:

– Bo cię pragnę. Bo ci ufam i cię potrzebuję.

Wydaje głęboki pomruk zadowolenia, a potem starannie obciąga mi spódnicę.

Odwracam się w jego ramionach roztrzęsiona.

– Co ty... – urywam, bo jestem skonsternowana. Nie tylko nie zrobił mi tego, o czym mówił, ale w ogóle nie doprowadził mnie do orgazmu. Tylko mnie rozochocił. Bardzo, bardzo silnie.

W jego uśmiechu czai się diabelski cień satysfakcji.

– Niedługo – mówi.

Unoszę brew.

– Łajdak – wypalam, na co wybucha śmiechem.

– Zdaje się, że jesteśmy w pracy, pani Brooks. – Taksuje mnie spojrzeniem od góry do dołu. – Spodziewam się, że zdoła się pani skupić na swoich obowiązkach.

Nie mogę się zdecydować, jak by go tu zbluzgać, gdy nagle rozlega się brzęczenie jego interkomu. To Lauren, która informuje, że Evelyn Dodge i Arthur Pratt czekają na zewnątrz.

Zerkam na Jacksona, który promienieje.

– W samą porę – stwierdza.

Przewracam oczami i poprawiam na sobie ubranie, mając nadzieję, że nie widać, jaka jestem rozgrzana i napalona.

– Zobaczmy, co się stało.

– Poczekaj – mówi, po czym przyciąga mnie do siebie i całuje zapamiętale. Ten pocałunek jest praktycznie jak seks i wypełnia mnie aż do rdzenia. – To zaliczka na później.

Słaniam się z rozkoszy.

– Trzymam pana za słowo.

– Oczywiście.

Evelyn i Arthur stoją przy stole z aktualną makietą ośrodka w trakcie realizacji. Jackson wykorzystuje ją do pracy nad zagospodarowaniem przestrzeni i chociaż twierdzi, że model nie oddaje wersji końcowej i jest źle wyskalowany, to jednak całość prezentuje się imponująco z prywatnymi domkami, zabudowaniami hotelowymi, obszarami rekreacyjnymi i mnóstwem innych atrakcji.

Mam ochotę powiedzieć mu, jak to wspaniale wygląda. Każdy obiekt i kształt współgra z topografią wyspy. Każda cegła i linia wydaje się wtapiać w soczyście niebieskie tło nieba.

Zawsze interesowała mnie architektura i jestem pełna podziwu, jak umiejętnie mężczyzna, którego kocham, potrafi łączyć funkcjonalność i estetykę.

Ale zamiast tego przyglądam się jemu. Linii jego szczęki i twardym rysom jego twarzy. Stoi dumny i wyprostowany i w tej chwili jak na dłoni widać całą siłę i moc sprawczą, których trzeba było, żeby stworzyć to чудо. Gdy tak na niego patrzę, mój strach nieco cichnie. Bo nic nie może powstrzymać człowieka, który potrafi dokonać takich rzeczy.

Może naprawdę uda nam się wyjść z tego obronną ręką?

Evelyn odwraca się i wita nas skinięciem głowy, po czym wskazuje kciukiem model za sobą.

– Świetna robota. Już się nie mogę doczekać, żeby wyskoczyć tam na jakiś długi weekend.

– Na nasze zaproszenie, ma się rozumieć – uściślam.

– W takim razie, niech będzie długi tydzień. – Zwraca się do Pratta. – Zobaczcie, na kogo natknęłam się w windzie. A ponieważ tak samo jak wy umieram z ciekawości, żeby usłyszeć, czego dowiedział się nasz nieustraszony detektyw, może damy sobie spokój z etykietą i pozwolimy mu mówić?

– Dowiedział się pan czegoś? – pyta Jackson.

– Jestem na dobrej drodze – precyzuje Pratt. – Sprawa jest w toku. Ale pewne elementy zaczynają układać się w całość.

Jackson prowadzi nas do niedawno ukończonej sali konferencyjnej i wszyscy zajmujemy miejsca wokół stołu, podczas gdy Pratt pozostaje w pozycji stojącej.

– No więc, kilka spraw. Mamy nagranie video od sąsiada kilka domów dalej. Pole widzenia nie jest oszałamiające, ale wiadomo, że przynajmniej pięć osób przewinęło się przez dom Reeda w dzień zabójstwa.

– I ja byłem jedną z nich – mówi Jackson. Kąciki ust opadają mu nisko. – Podobno jest na to świadek.

– Wiem, złotko – odpowiada Evelyn i klepie Jacksona po rękę. – Charles mi powiedział. Ale wyciągniemy cię z tego.

– A teraz wiadomo, że nie był pan jedyny – dodaje Pratt. – To powinno dać Harriet jakąś amunicję.

– To dobrze – mówię.

– Bardzo dobrze – przytakuje Pratt. – Ale jednocześnie to było Halloween i Reed wyłączył światła na ganku i w ogrodzie, żeby zniechęcić dzieci. Zdjęcia są fatalnej jakości. Próbujemy trochę je podretuszować, ale trudno zrobić cokolwiek z nagraniem, na którym nic nie ma. Najbardziej urządziłoby nas, gdyby jeszcze ktoś w okolicy miał kamerę o większej rozdzielczości i też obejmował zasięgiem dom Reeda. Moi ludzie już nad tym pracują. Ale, co ciekawe, udało mi się ustalić, że pański ojciec spotykał się ostatnio z Reedem na osobności.

– W Halloween? – pytam.

Pratt potrząsa głową.

– Nie. Jakiś tydzień wcześniej. Ale wydało mi się to dosyć dziwne. Najwyraźniej gliniarzy też to zastanowiło. Rozmawiali z nim. Wiem od mojego kumpla w policji. Stark twierdzi, że miał z Reedem na oku jakiś projekt związany z architekturą. Próbował nakłonić go do przekazania kasy na jakąś fundację, do której należy.

Kiwam głową, bo przypomina mi się, jak Evelyn wspominała kiedyś, że Jeremiah jest w zarządzie Fundacji na rzecz Zachowania Historii i Architektury, który w dużej mierze sfinansował *Kamień i stal*, niedawno nakręcony reportaż o Jacksonie.

Jackson marszczy brwi.

– A jak to się ma do sprawy?

– Może nijak – przyznaje Pratt. – Ale może się ma. Bo nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co mówi.

Jackson odchyła się wygodnie w fotelu i wyciąga nogi.

– Słucham.

Pratt zaczyna chodzić po pokoju i wyłamuje palce, aż chrupią mu kości.

– Chodzi o to, że Reed lubił igrzać z ogniem. Miał asystenta, a jego asystent miał swojego asystenta.

Taki typ faceta, który obwarowywał się na wszystkie strony. Miał swoją świętę. Potrzebował ich, żeby to oni brali odpowiedzialność, bo on jest ponad to i to powszechnie wiadomo, tak?

Nie odzywam się, ale nic a nic mnie to nie dziwi.

– Słucham dalej – zachęca Jackson.

– Taki facet nie spotyka się w cztery oczy. Rozmawiałem z trzema jego byłymi asystentami i wszyscy twierdzą to samo. Więc albo zrobił dla Starka wyjątek...

– Albo Stark kłamie – dopowiadam.

– Dokładnie. Pytanie tylko – dlaczego? I czy odpowiedź mogłaby mieć związek z motywem?

– Dobra robota – mówi Jackson. – Dziękuję.

– Hej, to pan tu płaci. A skoro tak jest, to lepiej się pożegnaj. Nie ma sensu płacić mi za słuchanie Evelyn, choć jestem pewien, że ma fascynujące rzeczy do powiedzenia. – Ścisną dłoń Jacksona, obiecuje, że niedługo znowu zda raport i wychodzi z pokoju.

– Chciałabym wrócić do kwestii zamieszczenia w prasie informacji o Ronnie – odzywa się Evelyn.

– Wykluczone – ucina Jackson.

Evelyn jest nieporuszona.

– To doskonały temat. Ojciec walczący o swoją córkę mimo piętrzących się przeszkód. Ludzie to kupią, a my musimy zacząć kontrolować przekaz.

– Już powiedziałem nie, Evelyn.

Evelyn podnosi rękę do góry.

– A moim zadaniem jest próbować cię do tego przekonać. Jedźmy dalej – dodaje, kiedy widzi, że Jackson chce jej wpaść w słowo. – Zwróciło się do mnie kilka czasopism. Wszystkie chcą rozmawiać o zabójstwie, a nie o twoich budynkach.

– Rozumiem, że odmówiłaś.

Evelyn odwraca się do mnie.

– Ten facet nadal nic o mnie nie wie.

– Kazałaś im się odpieprzyć – mówię.

– No. Sylvia mnie dobrze zna.

Jackson parska śmiechem.

– Czyli to mamy załatwione.

– Niby tak, ale nie podoba mi się, że masowe media widzą cię przede wszystkim z tej perspektywy. To kolejna rzecz, którą musimy pokierować. I wygląda, że akurat nadarza się po temu dogodna okazja. „Spojrzenie na Architekturę”. Ich dziennikarz chce napisać artykuł, ale na temat ośrodka, a nie zabójstwa. Myślę, że powinieneś zgodzić się na ten wywiad.

– Naprawdę uważasz, że warto?

Evelyn zaciska usta.

– Przynajmniej możemy być pewni, że pokażą cię w korzystnym świetle. To małe pismo, dopiero zaczyna. Architekci, których do tej pory przedstawiali, byli raczej na poziomie Nathana Deana. Więc wywiad z tobą to dla nich duża gratka.

– Dean udzielił im wywiadu? – Nie wspomniał ani słowem o swoich innych projektach i teraz rzeczywiście jestem zaciekawiona.

– Tak twierdzi facet, z którym jestem w kontakcie – odpowiada Evelyn. – W każdym razie postanowili zrobić cykl o rywalizujących ośrodkach wypoczynkowych. W tym miesiącu jest o kurortach górskich, a ty byłbyś w numerze o kurortach na wyspach.

– Rywalizujących? – powtarzam. – W takim razie powinni skupić się na Cortez i Lost Tides, bo... – urywam, ponieważ nagle wszystko staje się jasne.

– Co? – pyta Jackson.

– Chodź – mówię – powiem ci po drodze.

Przedstawiam moją teorię Jacksonowi i Evelyn w drodze na dwudzieste siódme do gabinetu Trenta. Gdy jednak docieramy na górę, Jackson wyrywa się przodem.

– Cholera – mruczę, starając się za nim nadążyć.

Recepcjonistka Karen podrywa się na nasz widok z oczami jak spodki.

– Co...

– Wezwij Damiana – rzucam. – Powiedz, żeby tu przyszedł. I Aiden też.

Zerkam na Evelyn i obie przyspieszamy kroku. Chcę usłyszeć, co Trent ma do powiedzenia. Ale jeszcze bardziej boję się, że Jackson rozniesie go na strzępy, zanim w ogóle tam dobiegniemy.

Bo moja teoria to jednak tylko teoria, która przyszła mi do głowy w momencie, gdy uświadomiłam sobie, że te dwa ośrodki naprawdę ze sobą rywalizują – podgryzają się i ryją pod sobą nawzajem. Nie mam wątpliwości, że ci, którzy pracują przy Lost Tides, mają jakąś zadrę wobec Stark International i zwerbowali ludzi wewnątrz do wykonywania kreciej roboty. Trent był zły, że nie został menedżerem projektu na Cortez, a Nathan Dean, który chętnie by go zaprojektował, nie znalazł się nawet pośród kandydatów do rozważenia.

Jakaś część mnie chciałaby się mylić, chociaż wtedy znowu zostalibyśmy z niczym.

Ale w głębi duszy wiem, że mam rację.

– Pieprzony sukinsynu! – rozbrzmiewa w holu głos Jacksona, a potem rozlega się głośny łomot.

Wpadam do pokoju, gdzie Jackson przyciska Trenta za fraki do biblioteki, która najwyraźniej rozkołysała się od uderzenia, bo wypadły z niej niektóre książki i bibeloty. Jackson trzyma Trenta ciasno za gardło, a Trent wygląda, jakby miał się zaraz posikać ze strachu.

– Jackson! – wypada mi z ust jak pocisk. Nie obawiam się, że mógłby naprawdę zrobić coś Trentowi, ale jestem cholernie podminowana ze względu na to zabójstwo, a każdy wybuch szału z jego strony może się obrócić przeciwko niemu.

Do pokoju wpada Aiden Ward, wiceszef działu nieruchomości oraz bezpośredni przełożony mój i Trenta.

– Puść go. – W ostrym tonie jeszcze bardziej uwidacznia się jego brytyjski akcent.

Jackson nie zwraca na niego najmniejszej uwagi.

– To prawda? – naciska, zbliżając twarz do twarzy Trenta. – To ty rozpieprzasz mój ośrodek?

Aiden spogląda na mnie.

– O co chodzi?

Nie muszę odpowiadać. Trent robi to za mnie.

– To się wszystko wymknęło spod kontroli. Nigdy nie chciałem, żeby... I to zdemolowanie wyspy...

Przysięgam, to nie ja.

– Jasny gwint – mówi Aiden. Najwyraźniej jemu też już się rozjaśniło.

– Puść go – mówię do Jacksona, ale mój głos jest znacznie bardziej miękki niż Aiden przed chwilą.

Nawet trochę zrezygnowany.

Jackson przez chwilę się waha, ale w końcu ulega. Ale nadal jest napięty jak struna, a w środku aż go rozsadza. Najchętniej rozkwasiłby Trenta na miazgę, to widać jak na dłoni. I przyznam, że trudno mu się dziwić.

– Ty jesteś porąbany! – rzuca się Trent, masując sobie szyję. – Zakład, że zabiłeś tamtego dupka. Chryste, omal mnie nie zabiłeś.

– Uważaj, bo zacznę tego żałować – Głos Jacksona jest niski i niebezpieczny.

Praktycznie cały dział zebrał się w drzwiach za naszymi plecami. Evelyn przestępuje z nogi na nogę obok mnie i wiem, co musi myśleć, bo mnie też już to przyszło do głowy: że jeżeli ktokolwiek z tych ludzi będzie rozmawiać z policją, to nie wypadnie na korzyść Jacksona.

Wmawiam sobie, że nie zrobiliby tego. Są lojalni w stosunku do firmy. I do projektu.

Poza tym trzeba przyznać, że i tak nic nie mogę na to teraz poradzić. Teraz muszę się po prostu skupić na tym, co się dzieje.

Nabieram powietrza.

– Ty go budujesz? Lost Tides to twój interes?

Kręci głową przecząco.

– Nie... Nie, to oni do mnie przyszli. Wiedzieli, że wypadłem z projektu i... Po prostu przyszli do mnie.

– Kto?

– Ci, co go budują. Roger Calloway wszystkim zarządza.

– Znam skądś to nazwisko – mówi Jackson i patrzy na mnie, ale ja tylko potrząsam bezradnie głową.

Mnie też brzmi to znajomo, ale za nic nie mogę skojarzyć. Przenoszę wzrok na Trenta.

– Kto to jest Roger Calloway?

Ale Trent nie ma czasu odpowiedzieć. Wyręcza go Damien, który właśnie wchodzi do pokoju.

– Calloway był jednym z przedsiębiorców w Brighton Consortium – mówi i kolejny element układanki trafia na swoje miejsce.

Brighton Consortium dotyczyło transakcji budowlanej w Atlancie, przy której pracowałam z ramienia mojego dawnego szefa, kiedy poznałam Jacksona. Interes wziął w łeb po tym, jak Damien podkupił im sporą część terenu, przez co nie mogli sfinalizować projektu. Jackson był za to porządnie wściekły na brata i dopiero niedawno dowiedział się, że gdyby rzecz doszła do skutku, wszyscy inwestorzy wdepnęliby w kryminalną megaafery i pranie brudnych pieniędzy. Posunięcie Damiena uratowało tyłek nie tylko Jacksonowi, ale i wszystkim innym, którzy zostaliby umoczeni w działalność przestępczą.

Teraz zaczynam myśleć, że może Calloway też o tym nie wiedział. I może Lost Tides to miał być sposób rewanzu na Damienie. A cały sabotaż wymierzony był w to, żeby zablokować Cortez.

Chociaż przyznam szczerze, że mało mnie obchodzi, dlaczego to zrobił. Chcę tylko, żeby to rycie się natychmiast skończyło.

– Mów.

– Ja... Najpierw ściągnęli Nathana. Ale on niczego nie zrobił, naprawdę. Wiedział o mnie, ale sam nigdy niczego nie zrobił. Tylko opracowywał projekty.

– Ale ty tak – podsuwa Damien.

Trent przytakuje głową.

– Calloway szukał informacji na temat naszego projektu, sprzedawców, planów marketingowych.

– Miałeś dla niego szpiegować – stwierdzam.

Kiwa głową.

– To ty zhakowałeś nagrania z monitoringu? Ty wyprowadzałeś e-maile? – Głos Aideny jest oschły i stanowczy.

– W dużej części. Ale kilka tygodni temu powiedziałem im, że się wypisuję. A to zniszczenie wyspy... Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Przysięgam. Musieli znaleźć kogoś innego, kto poszedł tam i...

– Wystarczy – przerywa Damien. Odwraca się do mnie, Jacksona i Aideny oraz wszystkich słuczonych w progu za naszymi plecami. – Wracajcie do pracy. Chcę porozmawiać z panem Leiterem na osobności.

Trent wygląda, jakby miał zwymiotować, ale nie oponuje.

Spoglądam na Jacksona, a on kiwa głową. Wygląda na potwornie zmęczonego, ale widzę też wyraźną ulgę w jego oczach.

Gdy wychodzimy na korytarz, a drzwi do gabinetu Trenta zamykają się za mną, potwierdza te moje spostrzeżenia.

– Przerąbane – mówi. – Ale przynajmniej teraz wiemy, na czym stoimy. – Przeczesuje włosy palcami.

– Przydałoby się więcej takich rozwiązanych spraw w moim życiu, to pewne. – Spogląda na mnie. – Zobaczymy się później. Muszę wracać do pracy.

Muska mi policzek ustami, ale Evelyn zatrzymuje go, zanim zdąży się ulotnić.

– Przykro mi, że muszę być posłańcem złych wieści, ale przed tą awanturą nie zdążyłam powiedzieć ci wszystkiego.

Pochwytyuję w locie spojrzenie Jacksona i wiem, że jest tak samo rozstrojony jak ja.

– Złych wieści? – powtarza.

– Na pewno nie dobrych. Nie mam jeszcze oficjalnego potwierdzenia, ale chodzą słuchy, że inna wytwórnia filmowa rozmawia z Grahamem Elliotem, który podobno nadal jest zainteresowany produkcją. Przykro mi.

– Zaraz. Że jak? – dopytuje Jackson, jakby jej słowa do niego nie dotarły.

– Mówię o filmie – powtarza Evelyn. – Reeda może i nie ma, ale film jest wciąż na tapecie.

Rozdział 18

Nie wierzę – mówi Cass w piątek rano. Przyjechała do centrum, bo Siobhan ma rozmowę o pracę w Muzeum Sztuki Współczesnej, dosłownie rzut beretem od Stark Tower. Siedzimy więc sobie na ławce obok kawiarni na kółkach sieci Java B, pijemy latte i zajadamy croissantsy z czekoladą. – Ja go chyba kiedyś poznałam, nie? Na jakiejś imprezie pracowej, na którą mnie zaciągnęłaś.

Właśnie skończyłam opowiadać jej o całym zajściu z Trentem i teraz potakuję, kiwając głową.

– Rok temu, na imprezie bożonarodzeniowej. Dostawiał się do ciebie.

– A, tak. Nawet byłam dla niego miła. Powiedziałam mu, że to nie z nim był problem, tylko z jego sprzętem.

Ukrywam uśmiech, pakując sobie do ust kolejną porcję słodkości.

– Ja naprawdę tego gościa lubiłam. Może właśnie dlatego nie zorientowałam się wcześniej.

– Nie rób sobie wyrzutów. Normalne, że nie szukasz w ludziach zła. I co, Damien go zakatrupił?

– Zwolnił go. Bez referencji. I zadzwonił do Callowaya.

– Tego, który buduje Lost Tides i wciągnął Trenta w to całe bagno? Szkoda, że nie mogłam siedzieć u niego w kieszeni w czasie tej rozmowy.

– No nie?

– I co, Damien zmusi go do zamknięcia Lost Tides?

Potrząsam głową.

– Nie. Stwierdził, że poczeka, aż rynek zadecyduje. Mnie to nie przeszkadza, bo Cortez to będzie prawdziwy hit. Ale powiedział mu, że jeżeli dotrze do niego choćby najlżejszy szept o jakichkolwiek brudnych sztuczkach, to – tu cytat – powiesi go za jaja.

– A wiadomo, że Damien mógłby to zrobić – dodaje Cass. – Calloway musi teraz nieźle robić pod siebie.

– Mam nadzieję. Mam tylko kwasę, jeśli chodzi o Rachel. Naprawdę lubiła Trenta i jest teraz nieźle zdołowana. Zadzwoniłam do niej wczoraj wieczorem, żeby ją uprzedzić. Nie chciałam, żeby przyszła sobie jak gdyby nigdy nic do pracy i z miejsca dostała całą aferę po głowie. – Krzywię się. – Wzięła dziś wolne.

– Czyli przez swoje dobre chęci masz dzisiaj więcej roboty?

Potakuję.

– I dobrze. Im bardziej jestem zajęta, tym mniej czasu mam na zadręczanie się.

– A Jackson?

Zgniatam papierową torbę po moim rogaliku i obejmuję kubek dłońmi, bo potrzebuję ciepła.

– On zadręcza się za nas oboje.

– Chodzi o to, co Evelyn powiedziała o filmie?

– O wszystko – odpowiadam. – Ale faktycznie, film wysunął się na prowadzenie. Już miał sporo na głowie, w końcu podejrzewają go o morderstwo, ale przynajmniej zniknął problem szantażu, a film miał trafić do kosza.

– A teraz nadal jest podejrzany, a film i tak może zostać zrobiony, czyli wszystko obraca się przeciwko niemu.

– Coś w tym rodzaju – przyznaję.

Generalnie to uważam, że całkiem nieźle to zniósł. Wczoraj po pracy pojechaliśmy do mnie, a potem poszliśmy na wieczorny spacer po deptaku przy Trzeciej Ulicy, aż do portu. Potem do późna oglądaliśmy telewizję i zasnęliśmy przytuleni do siebie. Z jednej strony wspaniale było tak po prostu być razem. Ale w tle zżerał nas niepokój i strach.

– Chciałbym po prostu pożyć trochę bez żadnych tragedii i niepewności. – Mój głos brzmi ponuro i płacząco, ale przecież rozmawiam z Cass, więc nie muszę niczego udawać.

Cass obejmuje mnie ramieniem, a ja przytulam się do niej.

– Wiem. Już niedługo.

Mówi to z przekonaniem, ale i tak jej nie wierzę. Z każdym dniem boję się coraz bardziej. Bo los jakby uparł się, żeby mi udowodnić, że nic, co dobre, nie trwa wiecznie. Musi w końcu lec w gruzach i skończyć się dramatem.

Ale czy całe moje życie nie wyglądało właśnie w ten sposób? Dzieciństwo spaprane przez ojca.

Związek z Jacksonem zerwany przez moje własne koszmary.

A teraz, jak tylko próbujemy zrobić razem kolejny krok do przodu, zaraz coś nam staje na drodze. Sabotaż. Zabójstwo. Nawet najdrobniejsze sukcesy muszą się spieprzyć. Jak wczoraj. Jak już udało się rozwiązać problem sabotażu, zaraz musiała wypłynąć ta sprawa z filmem. I znowu jesteśmy pod wozem.

A co mnie najbardziej przeraża to ta powtarzalność. Bo jeżeli po wszystkim, co dobre, musi nastąpić coś złego, to czy to nie oznacza, że w końcu tak czy siak stracę Jacksona? Albo dlatego, że pójdzie do więzienia. Albo, tfu-tfu-tfu, po prostu nam się nie uda?

Skubię etykietkę na moim kubku ze zmarszczonymi brwiami.

– To nie wszystko – mówię. – Jest jeszcze Ronnie.

Cass, która zna mnie na tyle, żeby pojąć, że szykuje się jakaś bomba, odwraca się prosto do mnie.

– Mów.

Oblizuję wargi.

– Jackson chce, żebym została opiekunką Ronnie, jeżeli go aresztują.

– Oho! – kwituje Cass. – Chociaż trudno się dziwić. W sensie, on cię kocha, więc z kim innym miałby chcieć zostawić swoją córkę?

– Wiem. Naprawdę, rozumiem. Ale...

– Ale się boisz.

– Sram pod siebie ze strachu – przyznaję.

– Niepotrzebnie. Nie aresztują go.

Krzywię się sarkastycznie. W świetle tego wszystkiego, co nas ostatnio spotyka, takie pocieszenie brzmi co najmniej banalnie i mało wiarygodnie.

– A nawet gdyby, to myślę, że to super, że ona będzie z tobą. Dasz sobie świetnie radę, Syl. Znam cię, tak? Wiem, co potrafisz.

Jej słowa napawają mnie otuchą i chwytam się ich jak zbawienia. Cass miała fantastyczną relację ze swoim ojcem i jest przekonana, że mogę to zrobić. Ta jej wiara rozgrzewa mnie od środka. Ale nie rozwiewa moich wątpliwości.

Cass przypatruje mi się z uwagą.

– Wiesz, że wcale nie musisz udawać kogoś innego.

Marszczę czoło.

– Co masz na myśli?

– Nie musisz być mamusią ani ciocią Sylwią, ani kimkolwiek innym. Po prostu bądź Sylwią. Bądź sobą. Wszystko będzie dobrze.

Wzruszam ramionami.

– Może i tak. Nie wiem. Cała ta sytuacja mnie przeraża.

– Wiem. – Otacza mnie za ramiona i ściska. – Ale wszystko się jakoś ułoży. Czy Jackson chce ją tu teraz ściągnąć?

Kręcę głową przecząco.

– Myślał o tym. Powiedział mi wczoraj, że chciał ją tu sprowadzić w ten weekend, żeby móc jeszcze spędzić z nią trochę czasu, zanim... W razie, gdyby go jednak zamknęli i już nie będzie okazji. Ale wtedy wyskoczyła sprawa tego filmu i boi się, że to by niepotrzebnie przyciągnęło do niej uwagę.

– Słusznie. Ale mi go żal.

Kiwam zgodnie głową. Ale moja straszna, podła prawda jest taka, że mi ulżyło. I nienawidzę się za to, bo nie powinnam odciągać go od córki. Ale tak cholernie się boję swojej roli w jej małym, kruchym życiu, za które mogę być wkrótce odpowiedzialna.

I, choć już prawie wierzę, że mogę to zrobić, to jednak samolubnie cieszę się, że sprawa się odwleka.

Telefon Cass ćwierka, więc spogląda na ekran.

– Siobhan prawie skończyła. Chcesz się ze mną przejść do muzeum?

Mam ochotę, ale potrząsam głową.

– Powinnam wracać.

Gdy się podnosimy, przypomina mi się coś, co już dawano chciałam jej powiedzieć.

– W poniedziałek Ollie kazał cię pozdrowić. Nie naciska, ale pytał, co postanowiłaś z franczyzą.

– A. – Cass już stoi, ale ponownie opada na ławkę.

Otwieram szeroko oczy.

– Jakiś problem?

– Nie. Nie wydaje mi się. Po prostu rozmawialiśmy z Siobhan i chyba na razie się wstrzymam.

– Tak? – Jestem zdziwiona i zaniepokojona. To był jej życiowy projekt i jedna z przyczyn sporów z jej poprzednią dziewczyną, Zee, która była temu przeciwna. Nie spodziewałam się podobnej reakcji po Siobhan.

– Nie na zawsze – wyjaśnia Cass, najwyraźniej czytając mi w myślach. – Ale Siobhan zwróciła mi uwagę, że teraz to ja jestem twarzą firmy. Tyle że nikt spoza studia mnie nie zna. Więc mam zamiar zatrudnić kogoś od PR-u i zainwestować w reklamę. Zrobić szum. Stworzyć logo. Wyrobić sobie markę.

Takie rzeczy. I to nie tylko po to, żeby potem przywabić franczyzobiorców, ale i wzmocnić cały biznes, rozumiesz?

– To świetny pomysł.

– To Siobhan wymyśliła – mówi i jestem pewna, że widzi ulgę na mojej twarzy. – No nie? Zee była taką kulą u nogi. A z Siobhan dobrze się rozumiemy. – W oczach pojawia jej się figlarny błysk. – Także w wielu innych sprawach.

Wstaje i wyciąga do mnie rękę, po czym przygarnia mnie do siebie w uścisku.

– Ty i Jackson też się rozumiecie – mówi. – To jest bardzo ważne. Pomoże ci przetrwać najgorsze zawirowania.

– Może masz rację – mówię i obejmuję ją.

– Możesz mi wierzyć – zapewnia. – Wszystko będzie dobrze.

Nie odpowiadam. Mam, rzecz jasna, nadzieję, że ma rację, ale trudno jest mi jej uwierzyć.

Dwie godziny później żałuję, że nie przyjąłem jej propozycji spaceru, bo głowa pęka mi od robienia tysiąca rzeczy naraz.

– Znajdę środki w budżecie – mówię do opryskliwego nadzorcy prac na drugim końcu linii. – Pracujcie dwadzieścia cztery godziny na dobę, jeżeli trzeba, ale lądowisko i cały obszar muszą być uprzątnięte do poniedziałku.

Odkładam słuchawkę i zamykam oczy, po czym pocieram palcami nos u nasady. Mimo że od przerwy na kawę nie ruszyłam się na krok od biurka, udało mi się ledwie nadgryźć to wszystko, co trzeba zrobić na wyspie. To samo z moją listą rzeczy do zrobienia.

Już mam się zabierać za następną sprawę, kiedy dzwoni Ethan. W każdym razie zakładam, że to on. Bo chyba ojciec nie wyciąłby mi po raz drugi tego żalostnego numeru? Postanawiam zaryzykować i odbieram.

– Przepraszam – mówi Ethan. – Właśnie się dowiedziałem. Nie wierzę, że wziął mój telefon. Strasznie cię przepraszam.

– To nie twoja wina – mówię. – To on jest łajdakiem. – Biorę głęboki oddech. – Przepraszam, że nie oddzwoniłam od razu. Mam w pracy urwanie głowy.

– W porządku. Myślałem, że jesteś wkurzona, że ojciec mi powiedział i potrzebujesz ochłonąć.

– Nie, to nie tak – mówię, chociaż to właśnie tak. Ciągle jestem wkurzona.

Następuje długa, niezręczna cisza, po czym mój brat stwierdza:

– Nie powinienem był ci mówić.

A niech to. Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Bo po części przyznaję mu rację. Ale z drugiej strony, nie chcę więcej sekretów między nami.

– Nie – odpowiadam w końcu. – Byłam wkurzona na ojca, a nie na ciebie. I chociaż nie chciałam, żebyś się dowiedział, to nie znoszę, kiedy mamy przed sobą sekrety. I przysięgam, że z mojej strony to był jedyny.

Spodziewam się, że powie mi to samo, ale się nie odzywa.

Marszczę brwi, bo nie jestem pewna, czy to milczenie oznacza ulgę, że się już nie gniewam, czy jakąś

przykrywkę.

– Czyli między nami wszystko dobrze? – pyta po kolejnej długiej przerwie.

– Pewnie. – Niezależnie od moich prywatnych problemów nie zamierzam pozwolić, żeby coś stało między mną a moim bratem. – Wszystko w porządku.

– Okej – odkaśluje. – Słuchaj, co do córeczki Jacksona...

– Jackson chce, żebym została jej opiekunką, gdyby poszedł do ciupy.

– Och, Syl... Ja pierdolę.

– Zrobię to – oznajmiam. – I mówię ci o tym tylko dlatego, że nie chcę mieć przed tobą tajemnic. Ale nie mam też teraz ochoty o tym gadać. – Więcej, nie mam ochoty gadać o tym z Ethanem. Wiem, co powie, a dziś wyczerpałam już swój dzienny limit paniki z powodu bycia rodzicem.

– Ja... Dobrze. Okej. Jak chcesz. – Wciąga powietrze. – Czyli z nami wszystko w porządku?

– W porządku – upewniam go. – Słuchaj, muszę kończyć. Nie wszyscy mają wolne i mogą się objąć.

Wybuchają śmiechem.

– Pewnie nie. Zadzwoń za dzień czy dwa. Może nawet uda mi się ciebie namówić, żebyś tu wpadła i pomogła mi kupić meble.

– Znalazłeś mieszkanie?

– Malutkie, ale za to przy plaży.

– Dawaj znać, jak będziesz potrzebował pomocy. – Kiedy to mówię, drzwi windy rozsuwają się i wchodzi Jackson.

– Fajno. Kocham cię.

– Ja ciebie też – odpowiadam i kiedy kończę połączenie, mam na twarzy uśmiech.

– Mam nadzieję, że to był Ethan albo Cass – mówi Jackson, podchodząc do mojego biurka. – Bo jeżeli nie, to jesteś mi winna wyjaśnienie.

– To mój cichy wielbiciel – mówię wesoło. – Ale jeżeli się bardzo postarasz, to może jakoś o nim zapomnę.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Opiera się o ścianę między moim biurkiem a drzwiami do pokoju Damiana. Trzyma ręce w kieszeniach, a na ustach igra mu ten charakterystyczny uśmieszek, który wskazuje, że to, co mu chodzi po głowie, dalekie jest od spraw zawodowych. A u mnie powoduje przyjemne mrowienie na całym ciele.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność, panie Steele?

– Zastanawiałem się nad dzisiejszym wieczorem.

– Cóż za zbieg okoliczności. Ja też. – Jutro po południu mamy zamiar jechać na wyspę zerknąć, jak idą prace i zostać tam na noc. Ale dzisiaj znowu śpimy u mnie. Miałam nadzieję na miły, wyluzowany wieczór z winkiem na balkonie, ale gdy tak na niego teraz patrzę, to w sumie trochę bardziej aktywny program też byłby mile widziany.

– Bardzo ci zależy, żeby zostać dziś w domu? – pyta.

Unoszę głowę.

– Masz inny plan?

– Pamiętasz ten koncert Dominion Gate, o którym ci mówiłem?

– Tak. – Odchyłam się na krześle i zakładam ręce na piersi. – Bo co?

– Zapomniałem, że były bilety do wygrania na loterii. Dzisiaj się okazało, że wygrałem cztery.

Pomyślałem, że to mógłby być dobry sposób, żeby oderwać się trochę od rzeczywistości.

– Racja. – Marszczę brwi. – Czekał no, ten koncert jest dzisiaj?

– W The Rafter's – mówi, mając na myśli względnie nowy klub w Burbank.

– Aż w dolinie?

– No, to tam się odbywają koncerty. Masz ochotę się wybrać?

– Pewnie – mówię wbrew sobie. – Skoro śpię w ich T-shirtach, powinnam ich zobaczyć.

Odsuwa się od ściany, jakby stawał prosto, ale w połowie drogi zamiera, nachylony nade mną i przygląda mi się uważnie.

– Co? – pytam po chwili.

– W ogóle nie masz ochoty. – To nie jest pytanie.

Zwlekam przez chwilę, po czym przytakuję.

– W ogóle. Ale ty masz, a ja cię kocham. I wiem, że jak tam już będziemy, to mi się spodoba.

– Jesteś pewna?

Wstaję, podchodzę do niego i otaczam go ramionami w pasie.

– Zrobiłabym dla ciebie o wiele więcej niż tylko to. Tak, jestem pewna. – Całuję go lekko w usta. –

Poza tym masz rację. Cholernie dobrze nam zrobi, jak się trochę oderwiemy od tego wszystkiego.

Bierze mnie pod brodę i unieruchamia mi głowę, zaglądając mi prosto w oczy. Jego tęczywki przesuwiają się nieznacznie, gdy bada moją twarz.

– Czy ty w ogóle wiesz, jak bardzo cię kocham?

Wewnątrz i wokół mnie rozlewa się poczucie niesłychanej błogości i otula mnie miękkie i ciepłe niczym koc. Zdaję sobie sprawę, że uśmiecham się tak szeroko, że to aż boli.

– Tak – odpowiadam po prostu. – Wiem.

Przyciskam czoło do jego piersi i wdycham jego zapach, a on pieści mnie po karku. W tym momencie wydaje mi się, że wiem, co to znaczy być w niebie. Tam jest ciepło i dobrze, i bezpiecznie.

Wzdycham z zadowoleniem, a potem odchyłam się do tyłu.

– Mówiłeś, że masz cztery bilety?

– Początkowo myślałem, że moglibyśmy zaproponować Nikki i Damienowi.

Unoszę brwi.

– Serio?

– Hej, muszę się w końcu zacząć z nim bratać. Ale Damien jest dzisiaj w Palm Springs, a Nikki ma jakieś inne plany.

– Jadą z Jamie do spa na weekend – mówię.

– Jesteś doskonale poinformowana.

– Na tym polega moja praca. Poza tym Nikki mnie zapraszała. Ale powiedziałam jej, że wolę zostać z tobą. – Wspinam się na palce i szepczę mu do ucha: – Spodziewam się, że zrobisz mi kompleksowy masaż. Skoro już rezygnuję z pobytu w spa.

– Masz to jak w banku – mówi, a jego ręka ześlizguje mi się na pośladki. Podszczypuje mnie, a ja wydaję cichy jęk, po czym wybucham śmiechem. – Masaż jest bardzo wskazany po kilku godzinach stania.

Robię krok do tyłu i przyglądam mu się podejrzliwie.

– Stania?

– W The Rafter's nie ma krzeseł – odpowiada. – Za to jest dużo genialnego piwa i dobrej muzy.

Jest tak podekscytowany, że nie mogę mu się przeciwstawić, zwłaszcza przy tym, przez co ostatnio przechodzi.

– W porządku – stwierdzam. – Jesteśmy umówieni.

– W takim razie zrobimy to jak należy. Przyjadę po ciebie o siódmej. Koncert zaczyna się o dziesiątej.

Pojedziemy gdzieś na kolację, i gdzieś około wpół do dziesiątej będziemy w klubie.

– Świetnie.

– Może zaproponuję Cass i Siobhan? Mam jeszcze dwa bilety.

To pytanie, zadane tak naturalnie i z tak rozbijającą szczerością, napełnia mnie nieoczekiwanym poczuciem absolutnego szczęścia.

– Pewnie – mówię. – Byłoby super. – A potem wsuwam mu się w objęcia i całuję go czule. – W sumie to ty też jesteś super.

Rozdział 19

Z początku, kiedy podjechaliśmy pod The Rafters, pozbawionego wyrazu budynku na pograniczu North Hollywood i Burbank, myślałam, że Edward się chyba pomylił. Klub wyglądał jak jakiś barak, który ktoś zbudował sobie z tyłu na podwórku i pomalował w całości na czarno. Choć trzeba przyznać, raczej pokąźny barak.

Ale Jackson zapewnił nas, że to tutaj i kiedy przyjrzałam się z bliska, nie miałam już wątpliwości. Po pierwsze na parkingu stała rozstawiona tablica z ogłoszeniem koncertu Dominion Gate, a po drugie wzdłuż ścian wiła się długa kolejka fanów.

Spojrzałam na Jacksona zbity z tropu, ale on się tylko roześmiał i zapewnił mnie, że będzie fajnie.

I faktycznie miał rację.

Teraz, stojąc w środku, zastanawiam się, jakim cudem to miejsce przeszło przez wymagane kontrole, bo wygląda, jakby dach mógł w każdej chwili zawalić nam się na głowę od samego dudnienia gitary basowej. Nawet betonowa podłoga się chwieje, chociaż to może być tylko złudzenie wywołane setkami ludzi szalejących w rytm ogłuszającej muzyki.

Ale mimo to doskonale się bawię, a biorąc pod uwagę, że jesteśmy ściśnięci jak sardynki w dusznym pomieszczeniu, o wiele za blisko głośników, to już o czymś świadczy. Może to muzyka. Ale raczej po prostu Jackson. Ewidentnie świetnie się bawi, jest beztroski i wyluzowany. Wygląda jak młody chłopak.

A ja jestem w stanie dużo znieść, żeby tylko on był szczęśliwy.

Panuje straszny tłok i jestem zakleszczona między nim a Cass, która nachyla się, chcąc coś mi powiedzieć. Nie mam pojęcia co, bo nie słyszę ani słowa. Rozkładam pytająco ręce, na co ona przewraca oczami i wskazuje na dziewczynę tańczącą kilka głów od nas. Najpierw sądzę, że po prostu podpatruje laski, co wydaje się bardzo nie w jej stylu, szczególnie, że po jej drugiej stronie podryguje Siobhan.

Nagle zauważam, że dziewczyna robi zdjęcia telefonem. I nie robi ich zespołowi na scenie, ale Jacksonowi.

Gdybym tylko mogła uwierzyć, że robi je tylko dlatego, że Jackson wygląda wręcz oszałamiająco w wytartych, spłowiałych džinsach i koszulce Henley z krótkim rękawem, która opina jego pokryte potem ciało, aż zapiera mi dech.

Niestety, wiem, że tak nie jest. Ludzie rozpoznali go, kiedy wchodziliśmy do środka, bo słyszałam, jak przez tłum przetoczyła się fala komentarzy na temat „tego architekta, który sprzątnął producenta”, zanim jeszcze support wyszedł na scenę.

Nikt nas jednak nie zaczepia, więc Jackson udaje, że nic nie dostrzega.

Patrzę na Cass i wzruszam ramionami, dając do zrozumienia, że nic nie możemy na to poradzić. Dzisiaj

mamy się po prostu razem we czworo zabawić i dopóki nikt nie wchodzi mu w drogę, niech sobie pstrykają, ile chcą.

Kiedy koncert dobiega końca, jestem już praktycznie głucha i pokryta potem, a ubranie składające się z golfika bez rękawów, na który narzuciłam lekką, skórzaną marynarkę, i dopasowanej minispódniczki lepi mi się do ciała. Stwierdzam też, że chociaż listopadowe wieczory bywają chłodne, skórzana spódnica nie była najtrafniejszym pomysłem, bo klei mi się teraz do tyłka i ud.

A jeśli chodzi o stopy, to sama jestem sobie winna. Jackson ostrzegał, że będziemy stali. Wygląda na to, że moje ulubione czarne sandały na kaczuszcze nie nadają się jednak na każdą okazję, jak wcześniej sądziłam.

W każdym razie czekam już na powiew świeżego powietrza na zewnątrz, więc z radością witam moment, kiedy zaczynamy kierować się do wyjścia, mimo że to oznacza tłoczenie się w masie ludzi tak zbitej, że jestem w stanie rozróżnić zapachy przynajmniej siedemnastu różnych rodzajów szamponu i dezodorantu.

Jackson obejmuje mnie ciasno w pasie, a na plecach czuję napór Cass, która stara się nie zgubić nas w tłumie. Na szczęście wypuszczają nas przez szerokie, podwójne drzwi wychodzące prosto na parking, więc posuwamy się w sumie dość szybko. Jak tylko wychodzimy na zewnątrz, z ulgą poddaję się fali chłodnego powietrza, ale zaraz potem kulę głowę w ramionach, chowając się przed błyskaniem fleszy.

Jackson łapie mnie za rękę, a Cass przyciska mi dłoń do pleców. Orientuję się, że to nie są aparaty w telefonach, ale nikony, canony i ricolhy trzymane przez fotografów stojących obok reporterów z mikrofonami opatrzonymi logo TMZ i ET i diabeł wie, czym jeszcze.

Zagubiona i spanikowana odwracam się do Jacksona, bo to jest jeszcze gorsze niż paparazzi, których jak dotąd udawało nam się unikać. Z nadzieją czepiam się myśli, że może w środku jest jakaś gwiazda filmowa. No bo chyba to nie z powodu Jacksona to wszystko?

A jednak. Wołają do niego po imieniu. Pytają o Reeda. Zagadują o film. O Damiena. O pobicie. O dom Fletcherów w Santa Fe. Nie rozumiem dlaczego. Przecież Jackson nie został aresztowany i nic nowego nie wypłynęło, więc...

- Czy to prawda, że wnuczka Arvina Fletchera jest twoją córką?
- Dlaczego ją ukrywałeś?
- Czy to z powodu Veroniki próbowałeś zablokować ekranizację?
- Czy to prawda, że film został jednak zatwierdzony? Czy nie sądzisz, że śmierć Reeda jeszcze bardziej zwiększyła zainteresowanie tą historią?

Cass pokrzykuje coś za mną, wrywając mnie z zawężonego pola widzenia, w które wpadłam jak w tunel, kiedy posypały się pierwsze pytania. Słyszę mruczenie Siobhan, która zaraz potem rzuca się w bok, mija nas i niknie w tłumie.

Nie mam pojęcia, co robi, ale to nieważne, bo i tak nie mogę się ruszyć. Boli mnie ręka i zdaję sobie sprawę, że Jackson ściska mnie mocno i ogarnia mnie ulga. Bo jeżeli trzyma się mnie, to znaczy, że nie rozwała w tej chwili niczyjej gęby.

Ale kiedy patrzę na niego, widzę na pewno, że to się zaraz wydarzy. I kiedy rozlega się kolejne pytanie: „Czy zabiłeś Reeda, żeby się nie wydało, że masz córkę?”, wiem, że ten dziennikarz posunął się za daleko.

Czuję jak się cały spina tuż przy mnie. Widzę zajadłą wściekłość na jego twarzy.

A potem spada na mnie to zimne, przeraźliwie bezradne uczucie pustki, gdy puszcza moją dłoń i rzuca się naprzód, ewidentnie po to, żeby połamać kości durniowi, który nawet nie wie, co właśnie sprowokował.

Daję za nim nura i rozpaczliwie szarpię go do siebie za pasek dżinsów.

Odwraca się do mnie z dziką pasją w oczach i myślę „Matko, to zdjęcie jutro obiegnie wszystkie szmatławce”, a potem znów szarżuje naprzód, jego pięść miga w powietrzu i zanim zdolałam wykrzyknąć jego imię, reporter już leży na ziemi jak długi z ręką przy twarzy, a Jackson szykuje się, żeby doprowadzić mu z drugiej strony.

– Nie!

Wrzeszczę tak głośno, że zdieram sobie gardło, ale to działa. Jackson obraca ku mnie twarz rozświetlaną upiornym blaskiem wszechobecnych fleszy.

Dyszy ciężko, w oczach ma szal gorączki i zupełnie nie wiem, jak do cholery wyciągnąć nas z tego szamba. Nagle słyszę, że ktoś przywołuje Cass, a ona zaczyna ciągnąć mnie za bluzkę.

Zauważam Siobhan wyglądającą przez okno w dachu limuzyny.

– Idź – mówię do Jacksona i to jakoś przywraca mu przytomność. Przedzieramy się przez tłum, zakleszczając go z Cass między sobą i wreszcie zwalamy się do samochodu przez drzwi, które otworzyła dla nas Siobhan.

– Jedziemy! – krzyczy Siobhan z ręką przyciśniętą płasko do guzika interkomu. Limuzyna rusza, a Siobhan odwraca się do nas. – Pomyślałam, że lepiej się zmywać.

– Jesteś nieoceniona – mówię, ale ona nie odpowiada. Jak niby miałyby to zrobić, skoro Cass właśnie uwięziła jej usta w żarłocznym pocałunku?

Na zewnątrz flesze nie przestają błyskać, ale zaczynam odzyskiwać oddech. Jackson jednak ciągle jeszcze kipi. Przesiadam się blisko niego, a on wyciąga telefon. Już ma wybrać numer, kiedy aparat zaczyna dzwonić.

– Evelyn – mówi mi i klika „Odbierz”.

– Niech to szlag, człowieku, czy ty nie rozumiesz, co to znaczy „trzymaj nerwy na wodzy”? – W jej metalicznie zniekształconym przez głośnik głosie wyraźnie słychać gniew.

Jackson puszcza jej pytanie mimo uszu.

– Skąd się dowiedzieli do jasnej cholery?

– Złożyłeś podanie o uznanie ojcostwa, słońko. Wiedzieliśmy, czym to grozi. Ty wiedziałeś, czym to grozi. Teraz musimy to ogarnąć. Nie tylko samą informację, ale i twoją przeuroczą reakcję sprzed chwili. Oni to wszystko nagrali, moi kochani. I już dobijają się do Damiena. Co też ma do powiedzenia o swojej bratanicy.

Jackson wali ręką w gładką, drewnianą okładzinę, a ja, Cass i Siobhan podskakujemy ze strachu.

– Ożeż, kurwa, ja pierdolę! – Bierze głęboki oddech i jeszcze jeden. Chcę wziąć go za rękę, ale w ostatniej chwili coś mnie powstrzymuje. Nie teraz, myślę, jeszcze nie.

– Wszystko spieprzyłem – cedzi przez zęby, jakby każda sylaba wydzierała mu kawałek serca. – Dałem się sprowokować. I tylko wszystko pogorszyłem.

– Bardzo być może – odpowiada Evelyn bezlitośnie. – Mogę podrasować przekaz – próbowałeś

chronić swoją córeczkę, trzymać ją z daleka od skandalu – nakręcić współczucie. Ale właśnie przyrznęłaś dziennikarzowi, Jackson. A nasi przyjaciele z policji mogą podchwycić okazję i wykorzystać ten sympatyczny filmik przeciwko tobie.

– Myślisz, że go aresztują? – Mój głos brzmi jak pisk.

– O to trzeba zapytać Harriet. Ale wiedzą, że był u Reeda w domu i że się pokłócili. Wiedzą, że zaatakowałeś go już wcześniej. Wiedzą, że miałeś motyw. A teraz cały świat wie, jaki jesteś w gorącej wodzie kąpany. Na moje oko musicie być gotowi na wszystko.

Spoglądam na Jacksona, który przeczesuje włosy palcami. Jest zły i wypompowany.

– Wiem – mówi, kiedy limuzyna staje pod nieznanym mi domem. – Rozumiem.

– Postaraj się o tym nie myśleć. Pomartwię się za ciebie. Skontaktuję się z Charlesem i Harriet. A ty masz się uspokoić i trzymać z dala od prasy. Już nieważne, co się dzisiaj stało. Twojej córce nic się nie stanie. Słyszysz mnie?

– Tak. Dobrze. Pewnie. – Kończy połączenie, nie czekając na to, co Evelyn mogłaby jeszcze ewentualnie powiedzieć.

Za to ja zwracam uwagę na to, czego nie powiedziała. Nie powiedziała, że Jacksonowi nic się nie stanie.

Staram się pohamować ogarniający mnie lęk, kiedy dociera do mnie, że Siobhan zbiera się do wysiadania. Otwiera drzwi i wyskakuje na chodnik. Podnoszę wzrok na Cass, która nachyla się nade mną, żeby mnie uściskać.

– To dom Siobhan – wyjaśnia szeptem. – Pomyślała, że może potrzebujecie trochę czasu.

Nie mam nawet kiedy odpowiedzieć ani podziękować czy coś, bo już wyslizgnęła się śladem Siobhan.

Zatrząskuje drzwi, limuzyna ponownie włącza się do ruchu i zostaję sama z Jacksonem, dziwnie i niebezpiecznie nieruchomym.

Przełykam ślinę, a na całej powierzchni skóry rozsypują mi się igiełki narastającego pożądanego.

Oddycham ciężko, pierś mi faluje. Moja skóra promieniuje ciepłem, a na karku drżą mi kropelki potu.

Odwraca głowę i zatapia mi w oczach twarde, dzikie, rozbuchane spojrzenie. W jego wzroku iskrzy żądza i przez chwilę mam wrażenie, że zaraz rozerwie mnie na kawałki. Że naprawdę zbiorę za wszystkich szubrawców, którzy upublicznili informację o Ronnie. Za ten strach, który musi go zżerać tak samo jak zżera mnie.

Ale przecież wielokrotnie powtarzałam, że przyjmę wszystko, nieważne, jakie to może przybrać rozmiary. Że chcę być jego zaworem bezpieczeństwa, jego kołem ratunkowym.

Że chcę wziąć na siebie jego ból i skanalizować go w namiętność.

Wytrzymuję jego spojrzenie, jakby sparaliżowana wyłącznie siłą jego woli. Nawet mnie nie dotknął i, chociaż nie padło ani jedno słowo, wiem, że tego nie robi, dopóki się nie zgodzę. Nie dzisiaj. Nie, kiedy potrzebuje popaść w skrajność. Posunąć się najdalej, jak może, a nawet jeszcze dalej.

– Tak – mówię.

Przez policzek przelatuje mu nagły skurcz, ale poza tym pozostaje nieruchomy i milczący. Tylko lustruje mnie nieprzerwanie, jakby testował granice mojej gotowości. Nie zbliżam się i odwzajemniam spojrzenie. Ale powoli, bardzo powoli, rozkładam nogi.

Jackson zasysa powietrze przez nos. A potem przekręca się do tyłu, żeby sięgnąć do klawisza

interkomu. Uderza w niego dłonią.

– Nie jedź do domu, Edward – mówi twardo. Jego głos jest władczy i spięty. – Po prostu jedź przed siebie. Nieważne dokąd. Jedź, aż powiem ci, żebyś się zatrzymał.

Rozdział 20

Jeszcze – mówi tonem tak przepełnionym pragnieniem, że miałabym już Niagarę w majtkach, gdybym je założyła. – Chcę cię widzieć. Chcę widzieć, jak bardzo jesteś mokra.

Oblizuję wargi i unoszę biodra na tyle, żeby móc złapać za brzeg spódnicy i zadrzeć ją powyżej talii, po czym osuwam się z powrotem na siedzenie z nogami rozstawionymi szerzej. Skórzany materiał jest cieplejszy, niż się spodziewałam i wiem, że to dlatego, że całe moje ciało płonie z pragnienia.

– Jezu, Syl. – W jego głosie słychać żar. Omiata mnie spojrzeniem, ale powraca uparcie do mojego krocza, które teraz mam całkowicie na wierzchu. I tak, jestem bardzo, bardzo mokra.

– Chcesz...

– Ciebie. – Tylko jedno słowo, ale mieści się w nim wszystko. Pożądanie. Ból. Strach. Tęsknota.

To jest nasza ucieczka. Nasza ulga. Sposób na pokonanie paniki przed zbliżającym się aresztowaniem. Możliwość zapomnienia o tym, co przed chwilą zrobił. O tym, że mógł naprawdę sam się własnoręcznie pogrążyć.

– Jestem twoja. – Patrzę mu prosto w oczy, żeby na pewno zobaczył, że mówię całkowicie poważnie.

– Powiedz mi tylko, jak mnie potrzebujesz.

Potrząsa głową, przyciskając palec do ust. I nagle jest już przede mną, na kolanach, z rękami na moich odsłoniętych udach. Ujmuję mnie i jednym szybkim ruchem zarzuca sobie moje nogi na ramiona, po czym żarłocznie rzuca się na moją mychę z taką drapieżnością, że aż wciska mnie w fotel, a z ust wydiera mi się krzyk szoku i rozkoszy.

Jego język pastwi się nade mną i w miarę, jak ssie i liże mi łechtaczkę, zaczynam więc się bez opamiętania, rozpaczliwie próbując uciec przed tym dzikim, natarczywym atakiem. Ale on ma to gdzieś. Trzyma mnie mocno, nie pozwalając mi na ani odrobinę ulgi od tej rozkosznej męczarni. Rozpala mnie, doprowadza do utraty zmysłów.

A później, właśnie kiedy mam już wybuchnąć, odsuwa się i zostawia mnie tak, zdyszana, zdesperowaną i spragnioną dotyku jego gorących ust na mojej łechtaczce.

– Jackson... – próbuję, ale ucisza mnie złowrogim spojrzeniem i przypominam sobie, że mam się nie odzywać.

Odchyła się do tyłu i stawia moje stopy na podłodze. Jestem rozciągnięta na siedzeniu z szeroko rozłożonymi nogami, odsłoniętą mychą, całą mokrą i pulsującą od żądz i chociaż mnie o to nie prosi, ściągam bluzkę i wyślizguję się ze spódnicy, zostając tylko w samym czarnym biustonoszu i naszyjniku z wibratorem, który kazał mi zawsze nosić. Sięgam do tyłu, żeby rozpiąć stanik, ale Jackson potrząsa głową, a po jego ustach błąka się cień uśmiechu, aż zaczynam się zastanawiać, co sobie umyślił.

Nachyla się nade mną i powoli zdejmuje mi naszyjnik przez głowę. Przesuwa włącznik i uruchamia

wibracje, po czym nastawia je na najwyższy bieg. Następnie wręcza mi instrument i wygłodniałym wzrokiem pożera moje wyeksponowane krocze.

Wiem oczywiście, o co mu chodzi. Chce, żebym sama skończyła to, co on zaczął. Chce patrzeć, jak sama dogadzam sobie wibratorem. I chociaż z Jacksonem przełamalam już wszelkie bariery, nie mogę zaprzeczyć, że to idzie daleko. Hardcore.

I mam na to wielką ochotę. Bo gdy się tak zastanowić, to nie ma rzeczy, której bym z nim nie zrobiła i nigdy nie zdarza się tak, żeby jego spojrzenie nie rozpałało mnie do szaleństwa.

Nie spuszczam z niego wzroku, kiedy biorę od niego podłużną zabaweczkę i przeciągam zębami po mojej dolnej wardze. A potem bardzo, bardzo delikatnie przesuwam nim sobie po brzuchu, wzdłuż kości łonowej, aż do najbardziej wrażliwych partii wokół lechtaczki.

Jestem już tak blisko, że maksymalnie intensywny poziom wibracji, który nastawił, nieomal sprawia mi ból, ale nie do końca. Ale mimo wszystko, to jednak za dużo, więc zamykam oczy i wydaję ciche jęki bólu i rozkoszy, bez reszty zatracona w odczuwaniu. Próbuję wyczuć odpowiednie miejsce, odpowiedni dotyk. Zbliżam się, już czuję zrywający się we mnie huragan, który rozchodzi się po wszystkich żyłach i zbiega w moim kroczu.

Oddycham łapczywie, nie wiedząc nawet, czy staram się przedłużyć to doznanie, czy właśnie sobie ulżyć. Otwieram oczy i aż mnie zatyka na widok tak oczywistego łaknienia na jego twarzy. Trwa przede mną na klęczkach z ręką przyciśniętą do członka uwięzionego w dżinsach i wiem, że próbuje poskromić swój dziki popęd i zmusza się, żeby nic nie robić, tylko patrzeć. Nie przejmować. Nie brać.

Jego pragnienie jest tak silne, że zdaje się wypełniać wnętrze limuzyny i mnie całą i niemal czuję iskry strzelające w powietrzu między nami. Chcę się dostosować – chcę pójść o krok dalej. Bardziej to zaognić. Chcę, żeby wpadł w obłąd.

Chcę go przełamać. Żeby mógł myśleć wyłącznie o tym, że musi mnie przelecieć.

Świadomie przytrzymuję urządzenie przy swoim centrum, drażniąc się dla jego i swojej przyjemności. Ale drugą ręką ściągam miseczkę biustonosza i wywalam na wierzch jedną pierś. Ugniatam ją, zataczam kręgi wokół brodawki, muskam i podszczypuję.

Jackson milczy. Poza napięciem rysów, co, jak wiem, oznacza, że próbuje nad sobą zapanować, nie porusza się. Przynajmniej nie od razu. W pewnym momencie jednak rozpina spodnie i wyjmuję fiuta, po czym zaczyna pieścić się szybkimi, zamaszystymi ruchami. Na ten widok ogarnia mnie tak podniecające poczucie zwycięstwa, że to aż dziw, że nie dochodzę na miejscu.

Patrzy mi w oczy, jakby chciał wypalić we mnie dziurę. Zaczynam kwilić, a moja mycha, otwarta i wyeksponowana, napina się widocznie. Jacksonowi brwi podskakują do góry i wiem, że to zauważył.

Spoglądam na niego i nie mogę się już powstrzymać. Poruszam ustami, bezgłośnie wypowiadając „Przeleć mnie”.

Nie oczekuję jednak, że to robi. To jest jego show, nie mój.

Więc mimo że przez cały czas staram się doprowadzić go do ostateczności, to zaskakuje mnie siła i pazerność, z jaką nagle przyciąga mnie do siebie. Wibrator wypada mi z ręki i brzęczy żałośnie na wykładzinie samochodu.

Przenosi się z ziemi na siedzenie i sadza mnie sobie na kolanach. Ledwo mogę złapać oddech, a on już odwraca mnie zapalczywie tak, że siedzę plecami do niego. Potem unosi mi biodra i naprowadza mnie

tak, że jego fiut jest dokładnie pod moim wejściem.

– Dawaj – mówi. – Jednym ruchem. Połknij mnie całego.

Ochoczo podejmuję wyzwanie i obniżam się niespiesznie tak, żeby jeszcze pomęczyć nas oboje. Potem znów się unoszę i powtarzam ruchy, bo to jest po prostu niezmiernie przyjemne.

– Jeszcze – żąda i wyciąga ręce, żeby od tyłu złapać mnie za piersi.

Wyginam plecy konwulsyjnie, bo ściska mi brodawki do granicy bólu, i to plus jego członek tak głęboko we mnie, jest po prostu niesamowicie erotycznym doznaniem.

– Jeszcze – powtarza i tym razem jego głos brzmi jak rżenie. – Mocniej – nakazuje i muszę zaprzeć się dłonią o dach samochodu, gdy nacieram na niego raz za razem. Jego kutas wypełnia mnie od środka, a jego palce pobudzają mnie na zewnątrz i odlatują, stając się jedynie płataniną neuronów. Rozkosz. Ból. Żądza. Pragnienie. Biorą nade mną górę jedynie pierwotne potrzeby, chcę wszystkiego. Chcę zaspokojenia.

Chcę Jacksona.

Nagle limuzyna, która dotąd sunęła gładko i jednostajnie, zawadza o jakiś uskok i wypadam z rytmu, a wtedy z krzykiem ulatuję w otchłań i rozdziera mnie dzika, porywista fala orgazmu, a moja pochwa zaciska się wokół niego spazmatycznie. On też szczytuje, przywierając ustami do mojego ramienia, żeby stłumić jęk i zakleszcza mi palce na piersiach, a głęboko w środku rozlewa się we mnie żar jego spełnienia.

Gdy jego ciałem przestają wstrząsać dreszcze, odwraca mnie do siebie, a z oczu patrzy mu najczystsza żądza. Próbuję odzyskać oddech.

– Lepiej? – pytam, kiedy mogę już coś powiedzieć. – Nie mów mi, że nie, bo ja czuję się solidnie wykorzystana. Ale jeżeli nie, to proszę bardzo, możemy kontynuować. Wszystko dla sprawy.

Wybuch śmiechem, a dźwięk rezonuje rozkosznie w całym moim ciele.

– Jak ty to robisz? – pyta.

– Co?

– Resetujesz mnie. Oczyszczasz mnie z całego tego gówna. Z szaleństwa. Ze złości. I strachu. Jesteś dla mnie takim samym katharsis jak obicie komuś mordy – mówi z niebezpiecznym uśmiechem. – Ale z tobą jest o niebo lepiej.

– Miło, że tak uważasz.

Przetrzymuje mój wzrok, a rozbawienie w jego oczach przygasa. Jego ton staje się czuły i pełen mocy:

– Jesteś moim największym skarbem – mówi i przytula mnie ciasno do piersi.

Wzdycham z lubością. On też jest moim skarbem. I chociaż nic na świecie nie jest idealne, a nasz świat jest wybitnie podszyty paranoją, w tej chwili wszystko jest tak jak trzeba.

Rozdział 21

Rano chcemy jechać na wyspę, więc postanawiamy nic sobie nie robić z paparazzich i jedziemy prosto do przystani. Okazuje się jednak, że nie ma ich znowu tak wielu i bez przeszkód udaje nam się pokonać bramę i zjechać na parking.

– Chyba się połapali, że sypiam u ciebie – mówi. – Po moim dzisiejszym występie pewnie już tam czekają na komentarz o tym biedaku, któremu sprzedałem tubę.

– Nie żartuj z tego – mówię, a on otacza mnie ramieniem.

– Racja, przepraszam. – Przez chwilę głaszczę mnie kciukiem po policzku. Jest znacznie spokojniejszy. Wiem, że ciągle się gryzie, ale przynajmniej teraz możemy się trochę wyluzować. Cokolwiek jeszcze ma się posypać, może poczekać do rana. I doskonale wie, że nie musi mi znowu o tym przypominać. – Pójdiesz ze mną pod prysznic?

– Pójdę z panem wszędzie, panie Steele – odpowiadam i w nagrodę dostaję uśmiech.

– Masz ochotę na wino? – pyta, kiedy wchodzimy na łódź. Stoi o kilka kroków przede mną, bo zatrzymałam się w wejściu, żeby ściągnąć buty. – Wiem, że jest późno, ale ja bym się napił.

Nie odpowiadam. Prawdę mówiąc, nawet nie słyszałam pytania.

Słyszę za to kroki i gdy oglądam się za siebie, widzę Harriet stojącą na pomoście, jakby czekającą na pozwolenie, żeby wejść na pokład. Jej nazwisko jest na liście osób, które strażnik może przepuszczać, ale miałam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Bo jej wizyta nie wróży nic dobrego.

Wyciągam rękę i szarpnię Jacksona za koszulę. Odwraca się do mnie z pytaniem w oczach. A potem dostrzega Harriet i twarz mu tężeje.

– Chodzi o koncert? – pytam. – Bo Evelyn już czytała o wybuchu Jacksona.

– Nie – odpowiada Harriet i zerka na trap. – Mogę wejść?

Patrzę na Jacksona, który przyzwala sztywnym skinieniem głowy.

– Oczywiście.

Wchodzi na pokład, a ja rozglądam się wokół płochliwie. Czuję napięcie pod skórą, nerwy wyłazą mi na wierzch. Wystarczyłoby, żeby ktoś teraz kichnął, żebym rozsypała się w pył.

Ani chybi, sprawa jest poważna. Jest grubo po północy, raczej nietypowa pora na domowe wizyty adwokata. Coś się stało i chociaż muszę wiedzieć, jednocześnie nie chcę zadać tego pytania.

Zamiast tego, proponuję bezbarwnym głosem:

– Może usiądziesz?

Potrząsa głową.

– Przykro mi, Jackson. Masz się zgłosić na policję w poniedziałek o dziewiątej rano.

Drętwieje mi klatka piersiowa. Nie mogę złapać tchu. Nie mam pojęcia, jak udaje mi się wykrztusić:

– A co, jeśli tego nie zrobi?

– Tak czy siak, aresztują go. Jeżeli sam się nie stawi, w mediach rozpęta się nawałnica. Jeżeli pójdziesz tam dobrowolnie, możemy uniknąć rozgłosu.

– Jackson – mamroczę, a on bierze mnie za rękę i ściska mocno. I w tej chwili dociera do mnie z przeraźliwą jasnością, że on myli się co do mnie. Nie jestem silna. Jestem do niczego. Bo to on musi mnie teraz podnosić na duchu, kiedy powinno być przecież odwrotnie.

O Jezu, o Jezu, o Jezu, o Jezu.

Harriet coś jeszcze mówi, a Jackson jej odpowiada.

Jego głos brzmi niemal normalnie. Może trochę sztywno, ale pod kontrolą. Nawet nie słucham, co mówią. Ona chyba wyjaśnia, co się jutro wydarzy. Zatrzymają go. Ona wniesie o kaucję, ale przy jego porywczosci, mogą się nie zgodzić.

– Chcą też przesłuchać ciebie, Sylvia – mówi, na co podrywam głowę. – Mogę to odroczyć o dzień lub dwa. Myślę, że Garrison uwzględni, że jesteś teraz w szoku.

– To fakt – mówię, a ona kiwa współczująco głową.

– Chcę, żebyście oboje wiedzieli, że to nie jest koniec. – Mówiąc to, patrzy wprost na Jacksona.

– Może i nie koniec, ale nie jest dobrze – kwituje Jackson. – Napadłem na niego. Świadkowie mnie widzieli. Słyszeli, że się kłócimy. Sprawa filmu i Ronnie. Wszystko przemawia przeciwko mnie – podsumowuje.

– To prawda – mówi Harriet. – I dlatego teraz wytaczamy działa.

Jackson nie odpowiada.

– Wiem, że się martwisz. I że to wszystko jest przytłaczające. To normalne. Po to masz mnie. Od tego właśnie jestem, Jackson. Za to mi płacisz. Żebym teraz przeszła do ataku. Musisz mieć do mnie zaufanie, rozumiesz? Będę cię pilotować.

– Niby jak? Złożysz odwołanie? Okej, może skrócą mi wyrok, ale i tak pójde siedzieć.

– Być może – przytakuje, a mnie robi się zimno w żołądku.

Jackson patrzy jej prosto w oczy.

– Nie zabiłem go.

– Wierzę ci – odpowiada.

Ale wszyscy troje wiemy, że to bez znaczenia.

Gdy Harriet odchodzi, biorę Jacksona w objęcia. Cały praktycznie buzuje od skumulowanej energii. Potrzebuje się wyżyć. Potrzebuje walki.

Ale w tej chwili nie ma nic i nikogo, co można by rozwalić.

Przyciąga mnie jeszcze bliżej gwałtownym, desperackim ruchem i przez chwilę myślę, że znowu chce mnie pojąć. Zatracić się w seksie. Przemienić panikę w pasję.

Ale nie. Nie teraz. Przytula mnie do siebie przez jakiś czas i oboje chłoniemy siłę od siebie nawzajem, po czym odsuwa się i zaczyna chodzić po pokładzie. Pokonuje łódź w tę i we w tę dynamicznym krokiem i, chociaż nic nie mówi, z jego twarzy wiem, co się z nim dzieje. Zastanawia się. Planuje.

Robi przegląd spraw do uregulowania, upewniając się, że wszystko, na czym mu zależy, już jest zabezpieczone albo będzie do rana.

– Chester – mówi, spoglądając na mnie. – Poproś go o spis wszystkich architektów, z którymi pracowałem. Potrzebujesz kogoś do nadzorowania projektu, jak zamierzaliśmy z Deanem.

– Jackson, przestań. Dam sobie radę.

Wbija we mnie udręczony wzrok.

– Dam radę – powtarzam.

– Naprawdę? Jesteś pewna? Bo ja nie wiem, czy ja dam.

Robię krok w jego stronę i łagodnie głaszczę go po policzku.

– Dasz – mówię. – To tylko pewien etap. Nic ostatecznego, tak jak powiedziała Harriet. Przejdziesz przez to. Nie pójdziesz do więzienia.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Tak – odpowiadam, bo nie ma mowy, żeby usłyszał ode mnie dzisiaj cokolwiek innego.

Przebiega rękami po włosach.

– Muszę zadzwonić do Ronnie.

– W Santa Fe jest już po północy.

– Wiem, ale potem może już nie... – Nie kończy, ale nie ma takiej potrzeby.

– Dzwon – mówię. – Będzie zachwycona, że dzwonisz do niej w środku nocy.

Uśmiecha się z wdzięcznością, po czym znika pod pokładem. Przez chwilę nie wiem, co ze sobą zrobić. Odczuwam tę samą potrzebę działania. Żeby przejść do akcji. Coś zrobić.

Ale co? Nie ma nic, co mogłabym w tej chwili zrobić, cholera jasna.

Wiem, bo gdyby było, to już bym to dawno zrobiła.

Stoję tak przez czas dłuższy, czując się zupełnie bezużyteczna, aż wreszcie wyjmuję ze schowka koc i zwijam się na leżaku. Wyciągam telefon i wybieram numer Cass, ale włącza się poczta głosowa. Nie ma sensu zostawiać jej wiadomości. Oddzwoni przecież, kiedy zobaczy, że próbowałam się z nią skontaktować. Chociaż, biorąc pod uwagę godzinę, nie spodziewam się jej telefonu jeszcze dzisiaj.

Zamykam oczy i myślę, że dobrze by było uciec od tego w sen, ale nie chcę tego robić. Nie teraz. Nie, kiedy Jackson zaraz ma być aresztowany. To by się bez wątpienia skończyło koszmarem, a dzisiaj nie mogę sobie pozwolić na koszmarny.

Nie dlatego, że nie zdołałabym przez to przejść, ale dlatego, że nie chcę, żeby Jackson musiał mnie jeszcze uspokajać.

Znów sięgam po telefon i tym razem wybieram numer Ethana. Odbiera zaraz po pierwszym dzwonku i od razu słyszę, że jest wstawiony:

– To moja starsza siostra! Chłopaki, to Syl.

W tle rozlega się więcej męskich, podchmielonych głosów wykrzykujących coś jak „Hej!”, „Joł, lala” i pomimo ciężkiego dnia, jaki mam za sobą, nie mogę się nie uśmiechnąć.

– Gdzie jesteś? – pytam, kiedy gwar nieco cichnie.

– W Meksyku – odpowiada. – Gracias, por favor. Arriba!

Parskam śmiechem.

– Twój hiszpański jest tragiczny. Naprawdę jesteś w Meksyku?

– Tylko na weekend. Jestem z Larrym i Jimem – dodaje, wspominając dwóch przyjaciół ze studiów. – Pomyślałem, że lepiej wybrać się teraz, póki jeszcze mam wolne. Żadnego nurkowania. Taplamy się w morzu i pijemy. Oraz korzystamy z liczego damskiego towarzystwa.

Przewracam oczami.

– Boże. Mój brat jest żigolakiem.

– I dobrze mi z tym. Co tam?

– Tak tylko chciałam cię usłyszeć – mówię, na co mój brat, który dobrze mnie zna, stwierdza:

– Pitu-pitu.

– Okej. Chodzi o Jacksona. W poniedziałek postawią mu zarzuty. Ma się oddać do dyspozycji władz o dziewiątej.

– Jasna cholera – z jego głosu znika głupawa, pijacka nuta. – Syl, rany... Przerąbane.

– Wiem.

– Jak się trzymasz?

– Marnie. – Głos mi się załamuje, ale postanawiam, że nie będę płakać. – Ale jakoś to będzie.

– Mam przyjechać?

Obejmuję ciasno zwinięty w kłębek koc i myślę, jak bardzo kocham mojego brata.

– Dzięki, nie trzeba. Poradzę sobie. – Nie wiem jeszcze jak, ale muszę w to wierzyć. – Ale kochany jesteś, że proponujesz.

– Cokolwiek ci trzeba, Syl. Wiesz o tym, prawda?

– Tak.

– A jak to znosi Jackson?

– Jest spokojny. Przerażony. Wkurzony. – Zamykam oczy i wzdycham. – Sam możesz sobie wyobrazić.

– A co z jego małą? Czy ona... To znaczy... Zdecydowałaś już, czy się nią zajmiesz?

Oblizuję wargi, bo nagle zaschło mi w ustach. Nad tym się jeszcze nie zastanawiałam.

– Nie wiem – wyznaję. – Jest teraz w Santa Fe. Nie wiem, jaki Jackson ma plan. Właśnie rozmawia z nią przez telefon. Chciał... – głos znowu odmawia mi posłuszeństwa i muszę ponowić próbę: – Chciał ją jeszcze usłyszeć, zanim go aresztują.

– Jasne. – Słyszę, jak nabiera głęboko powietrza. – Słuchaj, muszę kończyć. Jest późno.

– W porządku. Fajnie, że udało mi się ciebie złapać. Bawcie się dobrze i pogadamy...

– Samantha była w ciąży – wypala.

Powtarzam sobie te słowa w myślach, niepewna, czy dobrze zrozumiałam.

– Jeszcze raz?

– Dlatego się rozstaliśmy – ciągnie. – Dlatego wyjechałem z Londynu. Była w ciąży. A ja nie chciałem dzieci, uważałem, że to nie dla mnie. Pokłóciliśmy się i wyjechałem.

– Och... – Oblizuję się. – Przykro mi.

– Nie, to mnie jest przykro.

– Że wyjechałeś?

– Nie. – Nagle wyczuwam znużenie w jego głosie. – Nie. Ja naprawdę uważam, że nie jestem materiałem na ojca. Ale przykro mi, że tak na ciebie napadłem, jak chodziło o tę małą. Mówiłem o tobie przez pryzmat swoich problemów.

– Czyli uważasz, że ja mogłabym to zrobić?

– Tak. Nie. Nie wiem. – Wyobrażam sobie, jak z irytacją odchyła głowę do tyłu. – Naprawdę nie wiem. Tylko popatrz na nasze wzorce. Ale z drugiej strony, wyszliśmy jednak na ludzi.

Nie mogę się nie roześmiać.

– Nie wiem, czy to jest najlepszy argument.

– Chyba chcę powiedzieć, że jeżeli czujesz, że potrafisz, to sobie zaufaj. Okej?

– Okej – odpowiadam.

– To co, lepiej?

– Tak – ściemniam. Bo tak naprawdę to nie wiem, czy potrafię.

I jeżeli to jest to uczucie, któremu mam zaufać, to co to dla mnie oznacza?

A jeszcze bardziej, co to oznacza dla mnie i dla Jacksona?

Rozdział 22

Budzę się w słońcu i z cudownie niebieskimi oczami Jacksona nad sobą.

– Hej – mówię, mrugając, żeby oprzytomnieć. Ciągłe jestem na pokładzie, przykryta kocem i zdaję sobie sprawę, że najwyraźniej przespałam tu samotnie całą noc. – Położyłeś się chociaż na chwilę?

Nie odpowiada. Siedzi na krawędzi leżaka z taką powagą, że zaczynam się bać.

– Musimy porozmawiać.

Potrząsam głową, bo bez względu na to, co ma do powiedzenia, nie chcę tego słuchać.

– Nie spałem całą noc – przyznaje. Pochyla się do przodu i ukrywa twarz w dłoniach.

Siadam prosto, a mój początkowy strach przeradza się w panikę. Usilnie próbuję ją zdławić. W obecnej sytuacji ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała, to jeszcze się przy nim załamać.

Z trudem zachowuję panowanie nad sobą i kładę mu rękę na udzie.

– Ej – mówię. – Wiem, że się boisz, ale Harriet ma rację. Po to właśnie ją zatrudniłeś. To nie koniec, Jackson, i oboje musimy w to wierzyć.

Potakuje niemrawo, jakbym zasuwała mu jakąś banalną gadkę na ogrodowym przyjęciu.

– Dużo się zastanawiałem – mówi w końcu. – I chyba będzie lepiej, jeżeli poproszę Damiena i Nikki, żeby zajęli się Ronnie.

– Och... Ja... – Nie tego się spodziewałam i z wysiłkiem próbuję pozbierać myśli. – Okej. – Przełykam ślinę. Powinna skakać z radości. Tak się przecież bałam odpowiedzialności za Ronnie. Ale zamiast szczęścia, odczuwam zawód. – Pewnie tak będzie lepiej – przytakuje. – Damien jest w końcu jej wujkiem.

– To też – mówi Jackson. – Ale nie tylko dlatego.

Na karku narasta mi dziwne mrowienie i zbiega mi w dół po plecach.

– Jackson, zaczynasz mnie przerażać.

– Wiem – mówi z bólem w oczach. – Przepraszam. Ale jest coś, co musisz dla mnie zrobić, Syl. Bez dyskusji. I żadnych pytań.

Nie odpowiadam. Jego słowa za bardzo przypominają to, co powiedziałam mu pięć lat temu w Atlancie. I wtedy to zmiażdżyło nas oboje.

Bierze mnie za rękę. Jego dłoń jest zimna. I jakby trochę spocona. I nagle opadają mnie mdłości.

– Nie – szepczę. – Nie mów tego.

– Muszę. – Każde jego słowo dzwoni jak gwóźdź wbijany do trumny. Nabiera powietrza, a kiedy znów się odzywa, w jego głosie słychać cierpienie. – Musisz odejść.

– Nie. – Kręcę głową przecząco, ale nawet sobie tego nie uświadamiam, aż wszystko zaczyna wirować mi przed oczami i dostaję zawrotów głowy. – Nie – powtarzam. – Nie wiem, co sobie ubzdurałeś, ale nie

musisz tego robić. Nie chcesz. I ja na pewno tego nie zrobię.

– Nic sobie nie ubzdurałem. – Ból zniknął, a zastąpiła go twarda stanowczość. – Powinienem był to zrobić już na lotnisku. Powinienem był odesłać cię do Los Angeles zaraz po tym, jak przyczepiła się do nas policja w Santa Fe.

– E tam! – Histerycznie szukam słów i argumentów. Próbuję zrozumieć. Ale nic nie przychodzi mi do głowy. – Dlaczego chcesz mi to zrobić? Nam? – Łzy zaczynają spływać mi po twarzy, ale mam to gdzieś.

Widzę drgnięcie jego palców, jakby chciał mi je wytrzeć, ale tego nie robi. Przeciwnie, wydaje się, jakby z całych sił starał się mnie nie dotknąć.

– Niech cię szlag, Jackson. Mówiłeś, że nigdy nie zrobiłbyś nic, co by mnie złamało. – Głos mi się rwie i brzmi jakoś nienaturalnie daleko, jakbym stała na końcu jakiegoś bardzo długiego tunelu. – A co, do cholery, właśnie w tej chwili robisz?

– Ochraniam cię, kotku. I to w jedyny sposób, w jaki mogę.

– Gówno prawda.

– Kiedyś powiedziałem ci, że jeśli o ciebie chodzi, to nie jestem ani odważny, ani silny, bo sama myśl, że mógłbym cię stracić może mnie zniszczyć. I tak jest. Ale znalazłem tę siłę, Syl. I to nie ty, ale świat mnie zniszczył.

– Jackson – mówię tonem pełnym bólu, ale też zrozumienia. Nie pozwala mi jednak dokończyć. Potrząsa głową i mówi dalej.

– Jestem wystarczająco silny za nas oboje, kochanie. Z nami koniec. Tak musi być. Od tej chwili to jest skończone. Nie będę żył ze świadomością, że jesteś uwiązana do człowieka, który nawet nie może cię dotknąć. Masz prawo do życia, Syl. Nie będę zamykał cię w klatce, którą sami sobie zbudowaliśmy tylko dlatego, że ja idę siedzieć.

– Nie możesz podejmować tej decyzji za mnie – mówię.

– Mogę. Oddałaś mi kontrolę, kochanie.

Unoszę brwi.

– Kontrolę? Tak, w łóżku. Ale w życiu? Nie ma nawet mowy!

– Pamiętasz to zdjęcie, które ci zrobiłem?

Oczywiście, wiem, co ma na myśli. Poprosiłam go, żeby zrobił mi zdjęcie po tym, jak Reed zaczął mnie szantażować tamtymi fotografiami z przeszłości. Musiałam odzyskać przynajmniej jakąś część z tego, co Reed mi odebrał, więc poprosiłam Jacksona, żeby sfotografował mnie nagą i związaną.

Więc tak, owszem, pamiętam.

Nie odzywam się, ale on wie, że pamiętam. Jak mogłabym zapomnieć.

– To zdjęcie to był akt całkowitego poddania – mówi Jackson.

– Nieprawda. Sama poprosiłam, żebyś mi je zrobił.

– To prawda – przytakuje. – Ale teraz ja je mam. Ja nim zarządzam i je kontroluję. To nie był tylko seks, Sylvia. W chwili, kiedy poprosiłaś, żebym ci je zrobił, oddałaś mi kontrolę nad swoim życiem. Bo tym zdjęciem mógłbym zniszczyć cię w jednej chwili.

– Ale byś tego nie zrobił. – Mimo wszystkiego, co właśnie powiedział, tego jednego jestem najzupełniej pewna.

Uśmiecha się smutno.

– Nie. Nigdy. Ale to nie zmienia faktu, że mi się oddałaś. Powierzyłaś mi swoją reputację. Swoją intymność. I teraz, kochanie, też musisz mi zaufać.

– Nie – odpowiadam.

Wzdycha.

– Okej. Ale ja wiem, że mam rację. I jeżeli nie będziesz chciała odejść, Syl – mówi głosem, który łamie mi serce – to ja to zrobię.

– Dobrze to przemyślałaś? – zapytał Damien. On i Jackson przechadzali się po alejkach jego posiadłości w Malibu opadającymi z domu w kierunku plaży. Teraz przystanęli przy kortach tenisowych i Damien otworzył bramkę.

Jackson wszedł za nim na trawiasty teren i usiadł przy stojącym przy linii bocznej stoliku na wprost brata.

– Wierz mi – powiedział – od jakiegoś czasu nie myślę o niczym innym.

Przez ostatnie godziny czuł się kompletnie zagubiony. Pusty. Naprawdę ją zostawił.

Naprawdę zamierzał iść dalej bez Sylvii u swego boku. Tyle wysiłku włożył w to, żeby ją zdobyć, a teraz sam z tego rezygnował.

Nie.

Nie wolno mu patrzeć na to pod tym kątem. On ją w ten sposób chronił. Zasługiwała na więcej niż jakieś smętne trwanie jako wdowa po przestępcy. Wierzył w to, że naprawdę była gotowa wziąć Ronnie pod opiekę, ale jak mógłby obarczyć ją czymś takim? Tylko najbardziej parszywy egoista zrobiłby coś takiego.

Pewnie, że chciał, żeby jego córka była z kobietą, którą kochał.

Ale jeszcze bardziej pragnął dla Sylvii szczęścia i wolności. A nie uwiązania.

Więc tak. Chociaż pękało mu serce, był absolutnie pewien, że dobrze wszystko przemyślał. Na tyle pewien, że od niej odszedł. Na tyle pewien, że zranił ją do żywego.

– Tak – potwierdził z mocą.

Damien nie skinął głową i nie próbował go przekonywać. Po prostu przypatrywał mu się tymi swoimi dwukolorowymi oczami, które dostrzegały więcej, niż Jackson chciałby ujawnić.

– Ona cię kocha – powiedział Damien wreszcie. – Myślisz, że jak ją zostawisz, to przestanie?

Jackson przesunął palcami po włosach, bo te słowa zaboląły go bardziej, niż mógł przewidzieć.

– Myślę, że to pozwoli jej żyć swoim życiem.

Damien uniósł brwi, jakby z lekką kpiną.

– Tak jak ty żyłeś swoim po tym, jak zostawiła cię w Atlancie?

Słowa Damiena ugodziły go jak cios prosto w żołądek. Ale to było co innego, do cholery. On szedł do więzienia.

– Muszę tylko wiedzieć, czy zgodzisz się przejąć opiekę nad Ronnie. Reszta to moja sprawa.

Przez chwilę wydawało mu się, że Damien nie da się zbyć tak łatwo. Ale on skinął głową.

– Oczywiście. Muszę omówić to z Nikki, ale jestem praktycznie pewien, że się zgodzi. W końcu Ronnie jest moją bratanicą.

Jackson uspokojony powoli skinął głową.

– Dziękuję – powiedział tylko.

Wszystko wokół niego grzęzło w martwym punkcie. Ale przynajmniej udało mu się zadbać o Ronnie.

– Damien powiedział mi, co się stało – mówi Nikki. Przyjechała do mnie z butelką wina. – Wiem, że jest dopiero południe, ale pomyślałam, że to ci dobrze zrobi.

– Dzięki. – Cofam się i wpuszczam ją do mieszkania. Sama nie wiem, czy mam ochotę na towarzystwo, ale przyznaję, że doceniam jej troskę. I wiem, że kto jak kto, ale akurat Nikki doskonale wie, co teraz czuję. Damien też ją kiedyś zostawił. Byłam wtedy jego osobistą asystentką, ale nawet ja nie miałam pojęcia, gdzie przepadł. I, tak samo jak Jackson, zrobił to, żeby ją chronić.

Więc jeżeli już mam się przed kimś wyzalić, to nie widzę właściwszej osoby.

– Jak się trzymasz? – pyta, gdy odkorkowuję wino i napełniam dwa kieliszki.

Wychodzimy na taras. Ja zajmuję miejsce na leżaku, a Nikki siada na krześle. Ale nie mogę usiedzieć w miejscu, więc podrywam się znów na nogi, podchodzę do balustrady i spoglądam na sąsiedni budynek i ocean w oddali.

– Mam wrażenie, że cały świat zawala się wokół mnie – przyznaję. – Ośrodek mi się sypie. Dzisiaj rano straciliśmy kolejnych dwóch inwestorów, bo już się rozniosło, że w poniedziałek Jackson oddaje się w ręce policji. I rzecz jasna dziennikarze mają używanie i nazywają Santa Cortez „przeklętym przedsięwzięciem”. Ręce opadają.

– Rozumiem – mówi łagodnie. – Ale pytałam raczej o Jacksona.

– Wiem. – Wzdycham ciężko i wracam na leżak. – Szczerze mówiąc, sama nie wiem, czy jestem zła, zrozpaczona, czy jeszcze coś innego.

– Pewnie wszystkiego po trochu.

Potakuję głową.

– Chodzi o to, że wiem, że mogę być sama. – I to prawda. Tak jest, bo Jackson nauczył mnie, jak żyć bez koła ratunkowego. Jak znaleźć w sobie siłę. – Ale nie chcę być sama. Chcę być z Jacksonem.

– Nawet, jeżeli będzie daleko? – pyta. – Wiesz, że on ma rację. Damien rozmawiał z Charlesem i Harriet. Przy tym wszystkim, co świadczy przeciwko niemu: pobicie, jego charakter, ta kłótnia, którą słyszeli świadkowie, Harriet spodziewa się, że prokurator wytoczy najcięższe działa. I twierdzi, że z pewnością wywloką jeszcze te jego walki podziemne.

Podnoszę na nią wzrok.

– Wiesz o tym?

– Tak. A sąd też się dowie niebawem.

– Jezul! – Ma słuszność. Jego przeszłość na nielegalnych ringach bokserskich dodatkowo wzmocni teorię o choleryku, który dał się ponieść i zabił człowieka, bo ten nie zgodził się wstrzymać produkcji filmu.

– Może on ma rację – mówi łagodnie. – Może powinnaś odejść.

Moja odpowiedź jest twarda i kategoryczna:

– Nie ma mowy. Chcę Jacksona. Chcę Ronnie. Chcę być z mężczyzną, którego kocham, i biorę

wszystko, co za tym idzie.

W oczach zapalają jej się iskierki.

– Wiem – mówi i oddycham z ulgą, bo widzę, że naprawdę rozumie.

– To jak mam go odzyskać? Co mam zrobić, żeby ten zakuty łeb zmienił zdanie?

– Nie wiem – przyznaje.

– A ty, co zrobiłaś? – pytam i wiem, że się domyśli, że chodzi mi o Damiena.

Wzrusza ramionami.

– Najpierw dużo płakałam. A potem się wzięłam do walki. – Przygląda mi się przez chwilę, a potem rozjaśnia w uśmiechu. – Swoją drogą, walka to może być na Jacksona wybitnie skuteczny sposób.

Rozdział 23

Budzę się na dźwięk głosu Jacksona.

Porywa mnie fala bezgranicznej ulgi, ale natychmiast zastępuje ją przykre uczucie zawodu, bo przypominam sobie, że go u mnie nie ma. Jego głos rozlega się w telewizji i zdaję sobie sprawę, że musiałam zasnąć przed telewizorem.

W tej akurat chwili leci program poranny i na ekranie ukazuje się Jackson na swoim jachcie w towarzystwie Harriet.

– Czy zgłosisz się jutro na policję? – pyta jeden z reporterów.

– Tak – odpowiada.

– A co z projektem kurortu na Santa Cortez? Zamierzasz zrezygnować?

– Nie. Gdyby udało mi się wyjść za kaucją, to będę dalej pracował. Ale jeżeli będę musiał pozostać w areszcie, to albo spróbuję zorganizować to tak, żeby móc nadal pracować z celi, albo pomogę ekipie znaleźć odpowiednie zastępstwo.

– Ekipie? – pyta inna dziennikarka. – Chodzi o Sylvię Brooks? Bo to ona jest menedżerem projektu, prawda?

– Tak.

– Dlaczego nie ma jej dzisiaj z tobą? Jesteście też parą w życiu prywatnym. Jak zareagowała na wiadomość o twoim aresztowaniu?

Twarz mu się napina.

– Z panią Brooks łączą mnie tylko sprawy zawodowe. Nie jesteśmy już w związku.

Przez tłum dziennikarzy przelatuje szmerek, a mnie coś boleśnie ściska w żołądku. Niech cię szlag, Jackson. Wiem, co robi. Próbuje urealnić nasze zerwanie i sprowadzić je na mnie ze wszystkich stron.

Pokazuje mi, że to się dzieje naprawdę.

Pieprzyć to.

Nikki ma rację. Jeżeli chcę go odzyskać, to muszę wziąć się do walki.

I dobrze się składa, że Jackson woli bić się bez rękawic, bo zamierzam przejść do rękoczynów.

Ubieram się piorunem, ale nie mam pojęcia, dokąd powinnam pojechać. Sprawdzam najpierw na łodzi, ale tam go nie ma. Potem jadę do biura, zakładając, że mógłby chcieć zrobić jak najwięcej, zanim go zatrzymają.

Tam też go nie znajduję.

Przejeżdżam koło działki w Palisades, bo a nuż wzięło go na uzalanie się nad samym sobą. Tam też

nic.

Nie wiem, co robić, więc z bezsilności postanawiam zajrzeć do Cass. Przynajmniej ona jest w domu.

– Pewnie właśnie obija komuś mordę – wyrokuje Cass.

Krzywię się, bo niestety Cass może mieć rację.

– Oby nie – mówię. – Gdyby coś takiego znowu wyciekło do prasy, to z pewnością nie pomoże mu w obronie.

– A próbowałaś zadzwonić do Harriet?

Nie próbowałam, a to świetny pomysł. Wybieram numer, ale nadzieję mam na pocztę głosową. Już mam się dalej miotać przed Cass, kiedy dzwoni Harriet. Jestem pod wrażeniem jej szybkiej reakcji.

– Wszystko w porządku? – pyta i czuję się wzruszona. W końcu ja nie jestem jej klientem.

– Niezupełnie. Muszę go znaleźć, Harriet. Wiesz może, gdzie jest?

Boję się, że powie, że nie może udzielać mi takich informacji. Albo, co gorsza, że według niej Jackson postępuje słusznie i że lepiej, żebym nie wiedziała.

Ale, ku mojemu zaskoczeniu, mówi:

– Wynajął pokój w Biltmore.

– Dziękuję. – Moja odpowiedź jest nabrzmiała z ulgi. Za to potem w moim głosie pojawia się niepewność: – Czy... W sensie... Jak sobie radzi?

– Powiedzmy tylko, że nie powiedziałabym ci, gdzie go szukać, gdybym nie uważała, że spotkanie z tobą dobrze mu zrobi.

Wypuszczam powietrze, które bezwiednie wstrzymywałam do tej pory.

– Dziękuję – mówię raz jeszcze i rozłączam się.

Spoglądam na Cass.

– Nie trać czasu, potem mi opowiesz – mówi. – Jedź.

To jadę. I jestem przekonana, że przekraczam wszelkie ograniczenia prędkości na trasie z Venice Beach do centrum miasta. Zostawiam samochód boyowi hotelowemu i wpadam do środka, gdzie moje zapędy szybko studzi facet na recepcji, który za nic nie chce podać mi numeru jego pokoju. Plecie jakieś farmazony o przestrzeganiu prywatności klientów. I staje się jeszcze bardziej podejrzliwy, kiedy odrzucam jego propozycję, żeby zadzwonić do pokoju i zapytać.

Cholera.

Nie ma jeszcze trzeciej, ale postanawiam rozlokować się w foyer i warować tam tak długo, jak będzie trzeba. Ale najpierw zaglądam do Gallery Bar, bo to jest jedno z ulubionych miejsc Jacksona i może poczuje się tam bliżej niego.

I wtedy go dostrzegam.

Nie spodziewałam się go tu znaleźć tak wcześnie. Siedzi przy barze i pogaduje z Philem, który napełnia mu szklanę.

Prostuję się, zbieram w sobie i podchodzę do niego zdecydowanym krokiem.

Wie, że to ja, zanim jeszcze mam czas cokolwiek powiedzieć. Widzę to po sposobie, w jaki sztywnieją mu plecy. Po tym, jak szklanka nieruchomieje mu w dłoni w drodze do ust.

– Sylvia – mówi, po czym okręca się na stołku w moją stronę.

Zajmuję sąsiednie miejsce.

– Miło cię widzieć.

Przygląda mi się, a szybki błysk radości w jego oczach dodaje mi otuchy.

– Nie powinnaś tu być.

– To wolny kraj – odpowiadam zaczepnie.

– Syl, do cholery. – W jego głosie pobrzmiewa desperacja, a Phil ulatnia się dyskretnie, zostawiając nas samych.

– Cicho. Widziałam po twoich oczach, że cieszysz się, że mnie widzisz.

– Jak zawsze – mówi. – Dlatego tak ciężko mi było cię zostawić.

– Trzeba było tego nie robić.

Nie polemizuje.

– Jak mnie znalazłaś?

– Byłam u ciebie na jachcie. I w biurze. I w końcu zadzwoniłam do Harriet. Nie bądź na nią zły.

– Nie jestem – odpowiada i okruszek nadziei we mnie staje się coraz większy.

Wyjmuję mu szklankę szkockiej z ręki i pochłaniam zawartość, nie spuszczaając z niego wzroku. Potem odstawiam ją hardo na bar.

– Musisz mnie wysłuchać. Tyle mi przynajmniej jesteś winien. Okej?

Przez chwilę się nie odzywa, aż wreszcie nieoczekiwanie kiwa potulnie głową.

– Dobrze.

– Jesteś idiotą – zaczynam. – Skończonym idiotą, jeżeli wydaje ci się, że tak łatwo się mnie pozbędziesz. Oboje o tym wiemy.

Nie odpowiada i znowu biorę to za dobrą monetę.

– Pamiętasz, jak Damien kazał mi cię zwolnić i czułam się winna, że nie odeszłam z tobą?

– Pamiętam.

– Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałeś? – Nie czekam, aż odpowie, ale mówię pospiesznie dalej. – Powiedziałeś, że nigdy nie poprosiłyś mnie, żebym porzuciła to, co kocham. A, do cholery jasnej, nie ma na świecie nic, co kocham bardziej niż ciebie.

– Syl...

– Cicho. Teraz ja mówię. Kiedyś powiedziałeś, że muszę uwierzyć w to, co jest między nami. I tak zrobiłam. I wiesz co, Jackson? Miałaś rację. Teraz ja też w to wierzę. I ty też musisz. W więzieniu czy nie, z córką czy bez, to istnieje. I to jest dobre. Cholera, Jackson, musisz w nas uwierzyć.

Zamyka oczy.

– Wierzę.

Serce zamiera mi w piersi.

– To dobrze. Bo nie wyjdę stąd bez ciebie. Bez Ronnie. Nie obchodzi mnie, że Damien jest jej stryjem. Chcę być jej opiekunem, Jackson. Więcej, chcę być dla niej mamą.

Podrywa głowę z surowym wyrazem twarzy.

– Co ty mówisz?

– Mówię, że chcę wyjść za ciebie za mąż, Jackson. – Wyskakuje to ze mnie naturalnie i jakoś całkowicie na miejscu. – I nie zamierzam czekać ani jednego dnia dłużej, zanim nie obiecasz mi, że będę twoją żoną.

Małżeństwo.

Jackson miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi.

Sądził, że ją stracił. Że ją skutecznie odepchnął. A oto zjawia się przed nim, gotowa wyjść za niego za mąż.

Co on takiego zrobił, żeby sobie na to zasłużyć? Nie miał pojęcia, ale jedno, co wiedział, to że za nic jej nie odmówi.

Rozmyślał o tym, jak ją odzyskać od rozmowy z Damienem. Odkąd zrozumiał, że rozstanie z nią było zaledwie plasterkiem na ranę.

Teraz dotarło do niego, że jedynym sposobem na uratowanie ich obojga było zostanie razem. Bo bez siebie każde z nich było niczym.

– Jackson? – zagaiła miękko z nieśmiałym wyrazem twarzy.

Podniósł głowę, wiedząc, że jego uśmiech wystarczy za wszelkie deklaracje.

– No raczej, że będziesz moją żoną.

Przyglądał się, jak zamknęła oczy, a jej rysy rozpuściły się z ulgi i miał ochotę sam sobie złozić skórę za to, jak bardzo ją zranił.

– Przepraszam – powiedział, chociaż to nie oddawało nawet nikłej części jego uczuć.

– Rozumiem. Naprawdę. – Wzruszyła ramionami. – Jesteś przerażony.

– Sram pod siebie ze strachu – przyznał. – Że cię stracę. Że pójdę do więzienia. Że wszystko się rozleci.

– Ja też – wyznała ledwo dosłyszalnym szeptem. – Ale jesteśmy w tym razem, tak?

Zamiast odpowiedzieć, zsunął się ze stołka i podał jej rękę, żeby pomóc jej wstać.

– Potrzebuję cię, Syl. Potrzebuję cię właśnie teraz. – Czuł, jak narasta w nim konieczność. Jakaś pustka, którą trzeba wypełnić. Pragnienie, które należy zaspokoić. – Chcę, żebyś wypaliła we mnie swój ślad. Żeby twój ogień na zawsze mnie naznaczył. Bo nie chcę żyć bez ciebie, choćby w więzieniu. I chcę ciebie całe – dodał chrapliwym głosem. – Żoną? Jesteś czymś znacznie więcej. Jesteś moim życiem, Syl. Moją krwią. Jesteś jedyną osobą, która może mnie złamać i jedyną, która może mnie ocalić. A w tej chwili potrzebuję cię bardziej niż powietrza.

Jego usta opanowują moje, gdy tylko zamykają się za nami drzwi do jego pokoju. Pocałunek jest rozszalały i pełen pasji, bo oboje chcemy nim nadrobić stracony czas i dać sobie coś na przyszłość.

– Zdejmuj – mówi, szarpiąc mnie za bluzkę i w sekundę po tym oboje jesteśmy nadzy. Zdzieramy z siebie ubrania w takim pośpiechu, że aż dziw, że nie przewracamy się po drodze.

Przytulam się do niego, bo pragnę poczuć dotyk jego skóry na sobie, ale ku mojemu zdumieniu on bierze mnie na ręce i zanoszi do łóżka. Obsługa już była w pokoju i łóżko, na które oboje się zwałamy, jest świeżo posłane.

Jackson przekręca się na plecy i patrzy na mnie z dołu.

– Pocałuj mnie – żąda, a ja nie waham się ani chwili. Siadam na nim okrakiem, ustawiając się tak, że koniuszek jego członka jest dokładnie pod moim wejściem. I gdy nachylam się, żeby przycisnąć moje usta do jego, opuszczam biodra. Jestem już cała mokra i rozogniona, więc pochłaniam go jednym, gładkim

ruchem.

Zaczyna charczeć z językiem w moich ustach, a jego palce przemykają w dół do mojej mychy, a potem z drugiej strony i wsuwają mi się między pośladki. Wydaję okrzyk, bo wrażenie tak całkowitego wypełnienia jest zniewalające i skrajnie erotyczne.

– Tak – dyszę. – Boże, tak! – Napotykam jego spojrzenie. – Możesz mnie tak wziąć.

– Wezmę cię, jak mi się spodoba – odpowiada, a od gorącej siły tych słów, tak władczych i zatrważających, mam nagłą suchość w ustach, a moja mycha znów zaczyna pulsować. – Ale najpierw podaj mi portfel.

Unoszę brwi, ale się nie przeciwstawiam. Za to schodzę z niego ostrożnie i wracam z portfelem, który znalazłam w tylnej kieszeni jego spodni. Klękam przy nim na łóżku i patrzę, jak wyjmuje niewielką saszetkę przypominającą opakowanie prezerwatywy.

Robię zdziwioną minę, bo wydawało mi się, że mamy to już za sobą, ale on tylko się uśmiecha.

– Olejek – wyjaśnia. – Pomyślałem, że może się przydać.

Przełykam ślinę i kiwam głową. Chcę tego, ale trochę się boję. Nie robiliśmy tego nigdy wcześniej i chociaż to, co odczuwam, gdy wsuwa we mnie palce, jest bardzo przyjemne, to jednak jestem odrobinę zdenerwowana. Ale Jackson szybko rozbija moje lęki, a przynajmniej skutecznie je odgania. Bo przyciąga mnie do siebie i bierze moją pierś do ust. Pieści mnie, zahacza o brodawkę zębami i podgryza. Czuję ból, który jednak rozbiega mi się po ciele ognistymi nitkami rozkoszy. Znowu na nim siadam, wyginam plecy i jęczę. W tym momencie czuję zimno olejku w okolicach odbytu, a jego palce pieszczą mnie, rozciągają i przygotowują na głębszą penetrację.

Drugą ręką stymuluje mi łechtaczkę, osaczając mnie pieszczotami ze wszystkich stron. Moje ciało otwiera się na niego, pragnie go.

– Właśnie tak, kotku. Rozluźnij się. Pozwól mi cię tam wziąć. Pokażę ci, jak może ci być dobrze.

– Tak – mówię, bo dzisiaj dam mu, czego tylko zażąda i w każdy sposób. I tak, ja też tego pragnę. Mój oddech jest urywany, a moja mycha wibruje. Tak strasznie potrzebuję, żeby mnie przeleciał! Jakby poddając się mojej woli, wsuwa palce jednocześnie do mojej pochwy i do odbytu. Podnoszę się, ale zaraz potem opadam, bo chcę więcej niż tylko to.

Nie spuszczam z niego wzroku i widzę taki sam żar w jego oczach. Moja reakcja sprawia mu przyjemność. Ja też go wyczuwam. Jego członek pulsuje przy moim udzie, jakby domagając się swojej kolejki.

– No już – błagam. – Proszę, Jackson, teraz.

Już kiedy wypowiadam te słowa, ześlizguję się z niego, gotowa ustawić się na czworakach z głową pochyloną do przodu, ale mnie przytrzymuje.

– Nie – mówi. – W ten sposób. Chcę cię widzieć.

– Ale... Ja jeszcze nigdy nie...

– Chcę cię widzieć – powtarza. – Poza tym – dodaje i całuje mnie pożądliwie – w ten sposób masz więcej kontroli. – Uśmiecha się lekko, jakby dając do zrozumienia, że z czegoś rezygnuje. Ale to nieprawda. Jestem całkowicie podporządkowana i zdana na jego łaskę i on doskonale o tym wie. – Chcę cię teraz. W ten sposób. – W jego głosie słychać zarówno żądę, jak i żądanie, od czego robię się jeszcze bardziej mokra. – Chodź.

Pochyłam się i pozwalałam mu złościć się pocałunkiem. Jego język drapieżnie zajmuje mi usta i jęczę, podczas gdy jego natłuszczone olejkami palce pobudzają mój tył, wchodzą, rozciągają mnie.

Jackson wydaje pomruk zadowolenia i czuję, że dokłada kolejny palec, rozszerza mnie i pobudza.

– Teraz, kotku. Bo jak nie, to naprawdę po prostu złapię cię i pojadę.

Unoszę się i pozwalam mu ustawić się nad jego fiutem i faktycznie, mam pewną kontrolę nad sytuacją. Czubek jego członka zaczyna napierać na moje pośladki. Poruszam biodrami, a on rozpala mi łechtaczkę, pomagając mi się odprężyć i dając mi więcej śmiałości. I potęgując moje pragnienie.

Jackson zamyka oczy i rzezi nie tylko rozkosznie, ale i błagalnie, a to rajcuje mnie jeszcze bardziej. Obniżam się, biorąc w siebie koniuszek, a gdy rozlewa się we mnie piekące, cudowne uczucie błogości, zagryzam usta. A kiedy dołącza do mojego skomlenia, charcząc moje imię, wiem, że dłużej już nie wytrzymam i opadam w dół z całą mocą, pokonując ból i otrzymując w zamian oszałamiające uczucie rozkoszy wypełnienia przez tego mężczyznę.

Pieczenie się rozprasza, więc unoszę się i znowu opuszczam, czując jak to absolutnie upojne uczucie coraz bardziej się nasila. Ogarnia mnie euforia i staram się jak najlepiej dopasować do niego.

– Tak – mówi i wsuwa mi dwa palce do pochwy, ale nie zdejmuje kciuka z łechtaczki. – Dalej, kotku. Jedź mnie ostro.

– Nie tak to sobie wyobrażałam – wyznaję, a gdy w odpowiedzi wybucha śmiechem, jest mi jeszcze bliższy.

– Ale podoba ci się?

– Tak – odpowiadam szczerze. – Bardzo.

Gdy tak gawędzimy, ujeżdżam go, jak mi kazał, i presja na łechtaczce w połączeniu z tym niewiarygodnie zmysłowym doznaniem penetracji z obu stron sprawia, że szczytuję o wiele za szybko.

To jednak nie ma znaczenia, bo Jackson nie ma najmniejszego zamiaru przestawać i przejmuje władzę nad moim ciałem. Chwyta mnie za biodra i operuje mną, wsuwając się głęboko do środka, a ja zaciskam się wokół niego i zasysam go, pragnąc jeszcze więcej i jeszcze głębiej.

I chociaż nie dotyka mi już łechtaczki, jest tak nabrzmiała z napięcia, że ten pierwszy orgazm niknie pod wpływem drugiej porażającej detonacji, która rozdziera mnie w chwili, gdy Jackson we mnie szczytuje.

Ciągle jeszcze jesteśmy zespoleni, gdy zwiotczała opadam mu na piersi, a on głaszcze mnie łagodnie po plecach, zanim świat wokół nas nie przestanie wirować i iskrzyć.

Gdy oboje dochodzimy do siebie, przyciska mi usta do głowy. Wiem, że powinniśmy się doprowadzić do porządku, ale nie mam ochoty jeszcze się ruszać. Podoba mi się uczucie jego mięknącego członka w odbycie. Przychodzi mi do głowy, że tworzymy zamknięte koło i jest w tej myśli coś bardzo kojącego. Bo bez względu na to, gdzie będziemy, nieważne jak daleko od siebie, i tak jesteśmy nierozzerwalnie złączeni. I im bardziej będę się od niego oddalać, tym łatwiej go odnajdę.

Gwałtowne pukanie do drzwi wyrywa mnie z otchłani głębokiego snu.

– Co jest...

– Spokojnie – mówi Jackson. – Idę.

Potakuję i akurat zaczynam ponownie odpływać, kiedy wraca. Otwieram usta, ale kładzie mi palec na wargach, po czym wyciąga rękę, żeby pomóc mi wstać.

– Wiem, że jest późno, ale musimy gdzieś zajrzeć. Pojedziesz ze mną?

– Jasne. – Przecież wie, że dzisiaj nie ma takiej rzeczy, której bym mu odmówiła.

Boy podprowadza samochód przed hotel i gdy mkniemy wzdłuż Pacyfiku, jestem prawie pewna, że wiem, dokąd jedziemy. Moje przypuszczenia potwierdzają się, kiedy zjeżdżamy z autostrady, kierując się do Palisades. Kilka minut później zatrzymuje się przy fantastycznej działce nad oceanem. To jego posiadłość. Kupił ją wiele lat temu i planował postawić na niej dom. Wiem, że zastanawia się nad tym domem praktycznie od chwili zakupu.

Nie wyjaśnił, dlaczego chce tu dzisiaj zajrzeć, ale się domyślam. Zamierzał postawić tu dom. Dla siebie. Dla swojej córki.

A teraz przyjechał się pożegnać.

Nie chcę na to patrzeć, chociaż obawiam się, że to może być prawda.

Zanim wysiada z samochodu, łapię go za rękę.

– Nawet tak nie myśl – mówię.

– Jak?

– Że ten dom nigdy nie powstanie.

Uśmiecha się z taką czułością, że topnieje mi serce.

– Chodź.

Wysiadamy oboje z samochodu. Wyjmuje z bagażnika niewielką torbę i ruszamy w kierunku czarnej otchłani przed nami. To ocean, wiem, ale dzisiaj wydaje się, jakby ta pusta ciemność nas pochłaniała.

Po jakimś czasie teren zaczyna łagodnie opadać, potęgując wrażenie intymności.

– Tutaj – mówi, wskazując palcem na polankę wytyczoną przez naturalną półkolistą linię drzew. – Tutaj zamierzam zbudować dla niej plac zabaw.

Patrzę na niego zdumiona. Powiedział „zamierzam”. A nie „zamierzałem”. I budzi się we mnie drobny promyk nadziei.

Nie poruszam jednak jego doboru słów. Mówię tylko:

– To idealne miejsce.

Odwraca się i spogląda na ocean pod nami niknący za występami linii brzegowej, wzdłuż której wije się autostrada dzieląca nas na tym wzgórzu od huczących fal.

– Nie chciałem zabierać się za projektowanie. – Patrzy przed siebie, jakby mówił do mnie i do całego świata – Bałem się, że i tak wszystko pójdzie na marne.

Milczę. Też mi to już przyszło do głowy, ale czekam, żeby zobaczyć, dokąd on zmierza.

– Z tego samego powodu nie przywiozłem tu Ronnie. Nie mogłem się zdecydować, żeby oficjalnie uznać ją za swoją córkę, chociaż powinienem to zrobić dawno temu. Całe moje życie trwało w zawieszeniu, bo ktoś gdzieś kogoś zabił. Ja, Sylvia, facet, który nigdy nie podporządkowywał się niczyjej woli. I co? Przestałem decydować sam o swoim życiu, bo bałem się, że i tak zostanie mi odebrane.

– A teraz już się nie boisz?

– Strasznie się boję – odpowiada. – Ale to żaden powód.

Przełykam ślinę. Mam w sobie taki mętlik myśli i emocji, że nawet nie potrafię ich dobrze określić.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie odpowiada. Za to sięga po moją dłoń i przyciska ją sobie do ust. Całuje mi palce i, chociaż to

niezwykle ujmujący gest, robi mi się smutno. I nie wiem, czy powinnam się bać, czy właśnie cieszyć i to uczucie zdezorientowania ciąży mi niemal fizycznie.

– Opowiedz mi o twoich zdjęciach – prosi miękko i już zupełnie nie wiem, o co mu teraz chodzi. – O domach, które fotografujesz.

– Już ci mówiłam. – Fotografia to moje hobby. Szczególnie lubię robić zdjęcia budynków. I wcale niekoniecznie najbardziej imponujących wież czy wspaniale zaprojektowanych obiektów handlowych, ale po prostu domów. Niektóre z nich są całkiem zwyczajne. Inne – niesamowite. Mam domy z przedmieść, ale też gospodarstwa rozrzucone gdzieś na prywatnych ranczach.

– Opowiedz mi jeszcze raz – nalega.

Marszczę brwi, czując się trochę nieswojo. Nie mam pojęcia, co mu chodzi po głowie, ale nie chcę pytać. Nie dzisiaj.

– Zawsze je robiłam, przez całe życie. Chyba lubiłam wyobrazać sobie, co się dzieje w środku. W tych wszystkich budynkach. W małych i dużych, zadbanych i całkowitych ruderach. Zastanawiałam się, czy ludzie tam mieli lepsze życie niż ja. Ojca, który się o nich troszczył. Matkę, która się nimi opiekuje. – Wzruszam ramionami. – Więc zaczęłam je zbierać. Takie skrawki historii, które kiedyś może stałyby się moją historią.

– A gdybyś miała wyobrazić sobie jakiś dom tutaj, to jak by wyglądał?

– Jak wiejski dom. Działka jest taka duża, że ładnie by się wpasował. Ale z piętrowymi skrzydłami. W jednym byłaby przestrzeń rekreacyjna, a w drugim sypialna. A obydwie łączyłby balkon z widokiem na ocean.

– Podoba mi się. A gdzie planujesz kuchnię?

– Na tyłach, całą przeszkloną. Żeby można było jeść na dworze, jeżeli ma się ochotę.

– I kuchnia wychodzi na basen – dorzuca.

– Oczywiście. Tak jest najwygodniej. A w skrzydle sypialnym byłyby trzy, nie, cztery pokoje poza główną sypialnią.

Kiwa głową.

– Nieźle. Sam, prawdę mówiąc, myślałem o czymś podobnym. Będę musiał zrobić małe poprawki, żeby nanieść twoje pomysły.

Bierze mnie za rękę i prowadzi w północną część posesji.

– Tu będzie główna sypialnia. Jak teraz ustaliliśmy, na piętrze. Co daje nam przestrzeń na parterze, gdzie mogłabyś mieć swoje domowe biuro.

Unoszę brwi.

– Tak? A twoje gdzie?

– Zaraz obok, rzecz jasna. Połączone bezpośrednio drzwiami.

– Podoba mi się ta zabawa – mówię. Ale gdy patrzę na niego, tracę pewność siebie. – Jackson, to zabawa, tak?

Jego oczy są pełne ciepła i migoczą w nich wesołe iskierki.

– To zależy. Jeżeli ktoś na końcu wygrywa, to pewnie tak. Zbuduję ci ten dom, kotku. Będziesz miała swój dom z widokiem na ocean. Nawet gdybym miał zaprojektować go w kiciu i zlecić wykonanie. Moja żona i córka będą miały gdzie mieszkać.

– Och – mówię cicho. Jak westchnienie. Ale mimo wszystko czuję, jak kiełkuje we mnie radość i jedno, co mogę zrobić, to żarliwie przytaknąć. Bo tak musi być. Gdzie miałybyśmy mieszkać razem z Ronnie, jak nie w domu zbudowanym przez Jacksona?

– W porządku?

– Tak. Jak najbardziej. – W moim głosie dźwięczą wezbrane emocje. Tyle, że sama ich nie rozróżniam. Czuję się przepełniona. I niemal zupełnie przesłaniają mój strach.

– Mam coś dla ciebie. – Sięga do kieszeni i wyciąga małe pudełeczko.

Otwieram je onieśmielona i odkrywam pierścionek z brylantowym oczkiem tak doskonale oszlifowany, że jarzy się nawet w słabym świetle księżyca. Obrączka z białego złota z motywem roślinnym wygląda na bardzo starą.

– Należał do mojej babci. Kiedy zasnąłaś, zadzwoniłem do Lauren – mówi, odnosząc się do swojej asystentki. – Poprosiłem, żeby pojechała na jacht i przywiozła mi go z biurka.

Kiwam głową, bo dociera do mnie, że to Lauren pukała wcześniej do pokoju w hotelu.

Wyjmuje pierścionek z pudełka i wsuwa mi go na palec. Pasuje idealnie.

– Moja matka nigdy nie wyszła za mąż – ciągnie Jackson. – Nigdy go nie założyła. Teraz chciałbym, żebyś ty go nosiła.

Przełykam ślinę, ale w gardle pęcznieje mi kula emocji i nie mogę wydobyć głosu. Ułożyliśmy więc sprawy między nami, a ten pierścionek to pieczętuje. Należę do Jacksona. On należy do mnie. I tak będzie już zawsze.

Podnoszę głowę i patrzę mu w oczy.

– Jest piękny.

– Nie obrażę się, jeżeli uznasz, że nie jest w twoim stylu.

Przez dłuższą chwilę przyglądam się roziskrzonemu kamieniowi. Wreszcie podnoszę na Jacksona oczy pełne łez.

– Nie – mówię. – Jest taki, jak trzeba.

Rozdział 24

Noc spędziliśmy z Jacksonem w Biltmore. Wtuleni w siebie nawzajem zapadliśmy w sen ogarnięci obezwładniającym zmęczeniem, które ostatecznie pokonało strach, przynajmniej na tych kilka rozluźnionych godzin.

Jestem wdzięczna za sen. Za to, że mogłam trzymać go mocno w ramionach, z rozpaczliwą nadzieją, że nie robię tego po raz ostatni. A teraz, kiedy jedziemy z Santa Monica do Beverly Hills, powtarzam sobie, jak dobrze, że mamy dla siebie jeszcze tę jedną chwilę.

Oczywiście, to wszystko iluzja. Co mi po tej jednej chwili? Ja chcę z nim być zawsze. Nie chcę brać go w objęcia i zastanawiać się, czy to przypadkiem nie ostatni raz. Chcę go przytulać co noc.

Ale moje chcenie nie ma tu znaczenia. Siedzę więc w samochodzie w milczeniu i staram się być silna, bo wydaje mi się, że to mu jest teraz potrzebne. Jeden Bóg wie, jak bardzo mnie to jest teraz potrzebne.

– O drugiej przyjeżdżają Stella i Ronnie – oznajmia.

– Wiem. Mówiłeś mi wczoraj.

Po tym, jak Damien zgodził się zająć Ronnie, Jackson rozpoczął starania, żeby sprowadzić ją tutaj. Teraz natomiast opieka nad Ronnie przechodzi na mnie.

Nachylałam się i kładę mu rękę na udzie.

– Zajmę się tym. Obiecuję.

Kiwa głową, a na jego twarzy w równym stopniu maluje się smutek i wdzięczność.

– Jackson... – urywam, bo nie jestem pewna, czy w ogóle chcę poruszać ten temat.

Lepiej było wcale nie zaczynać.

– Hm?

Waham się, czy wyznać otwarcie, jak bardzo się boję. W końcu to prawda. No i winna mu jestem szczerłość, więc brnę dalej.

– Jesteś pewien, że chcesz ją tutaj ściągnąć? Biorąc pod uwagę, że ciągle mogą zrobić ten film, i że prasa już o niej wie...

Przerywam, bo nie chcę nawet przypominać mu o skandalu, który już i tak spędza mu sen z powiek.

– Wiem – odpowiada. – Nie chce mi się nawet o tym myśleć. Ale już to omówiliśmy i chociaż istnieje ryzyko, to jednak możemy ją chronić. – Rzuca mi spojrzenie kątem oka. – Tyle że mnie pewnie przy tym nie będzie. Chcesz, żeby to jednak Damien i Nikki ją wzięli? A może uważasz, że powinna zostać z Betty w Nowym Meksyku?

– Nie. Chcę, żeby była ze mną – odpowiadam bez namysłu, mimo że sama nie wiem, czy tak właśnie uważam. Ale nawet jeżeli to nie jest do końca prawda, to tylko w kwestii tego, czy będę potrafiła się dobrze nią zająć. Jak chodzi o skandal, to sądzę, że Jackson ma rację. To można kontrolować. Nie będzie

to łatwe ani przyjemne, ale da się zrobić. Celebryci zmagają się z tym każdego dnia i trudno o lepsze miejsce do znalezienia ekspertów od PR-u niż Los Angeles.

Kiwam głową i od tego robi mi się lepiej.

– Z tym nie ma problemu. Skandal mnie nie przeraża.

Przygląda mi się i milczy odrobinę za długo, po czym podejmuje łagodnie:

– Będziesz wspaniałą mamą.

Oblewam się gorącym rumieńcem.

– Za dużo widzisz, kiedy na mnie patrzysz.

Bierze mnie za rękę.

– Widzę odpowiedzialność. Widzę siłę. Widzę ciebie, Sylvia. Naprawdę. Dasz sobie świetnie radę.

Potrząsam głową, ale nie po to, żeby zaprzeczyć, mimo że wciąż nie jestem do końca przekonana, tylko z niedowierzania, że w takim dniu jak dziś to on pociesza mnie.

Ściskam go lekko za rękę.

– Nie musisz się o mnie martwić – zapewniam. – Wszystko dobrze. Słowo honoru.

Czekam, aż coś powie, ale w tym momencie ćwierka mój telefon, sygnalizując odebrany e-mail.

Wyjmuję go i widzę, że wczoraj w nocy ktoś zostawił mi też wiadomość głosową. Sprawdzam numer i klnę, kiedy okazuje się, że to mój ojciec.

Jackson zerka na mnie.

– Nie zamierzasz odsłuchać?

– Nie. Cokolwiek chce mi powiedzieć, nic mnie to nie obchodzi. – Ale jeszcze kiedy wypowiadam te słowa, wciskam jednak klawisz odtworzenia wiadomości przez głośnik. Sama nie wiem dlaczego. Może dlatego, że nic, co powie mój ojciec, nie może być gorsze niż to, o czym w tej chwili rozmawiamy.

– Kochanie, tu tata. Chciałem ci tylko powiedzieć ostatni raz, że cię kocham, i że cię przepraszam. Nie będę już więcej dzwonił. Mam nadzieję, że kiedyś będziemy mogli jeszcze porozmawiać.

Koniec wiadomości.

Marszczę czoło, bo w głosie mojego ojca wyraźnie słyhać ból, a nie mogę sobie pozwolić na uzalanie się nad tym człowiekiem. Nie teraz. Nigdy.

Cholera.

Odwracam się i wyglądam przez okno po swojej stronie, bo nie chcę, żeby Jackson widział moją twarz. Na pewno by zobaczył, że coś w głosie mojego ojca naprawdę mnie poruszyło.

Po chwili czuję dotyk jego ręki na plecach.

– Nie ma w tym nic złego, słyszysz?

– W czym?

– W tym, że nie nienawidzisz go tak całkowicie. To nie znaczy, że go akceptujesz, a tym bardziej że mu wybaczasz.

Zamykam oczy i milczę.

– To potworne, że przehandlował cię, żeby ratować Ethana. I przysięgam, że mógłbym zabić go za to, co ci zrobił. Ale czasem myślę, że on już jest martwy. Umarł, kiedy podjął wtedy tamtą decyzję.

Kręcę głową. To bez znaczenia. Ten człowiek nic mnie nie obchodzi i chcę, żeby tak zostało.

– Może i tak – mówię, żeby utwierdzić się w swojej zaciekłości. – W każdym razie dla mnie on już od

dawna nie żyje. A poza tym – obracam się na siedzeniu, żeby popatrzeć wprost na niego – jedyne, o czym chcę teraz myśleć, to ty.

Sięgam po jego dłoń.

– Wszystko będzie dobrze. – Może, jeżeli będę to w nieskończoność powtarzać, to stanie się to prawdą. Albo przynajmniej zdołam w to sama uwierzyć.

Dojeżdżamy na komisariat i parkujemy w miejscu wskazanym przez Harriet, po czym wchodzimy do holu. Stamtąd prowadzą nas do sali konferencyjnej, gdzie czeka już Charles razem z Damienem i Nikki. Gdy tylko wchodzimy, Damien rusza szybko do Jacksona z wyciągniętą ręką.

– Powinieneś być w drodze do Chin – mówię spanikowana, bo moim obowiązkiem jest dopilnować, żeby mój przełożony był tam, gdzie powinien być, a on właśnie zupełnie wywrócił cały grafik. – Miałeś wylecieć wczoraj wieczorem. Jezu, Damien, to będzie...

Podnosi rękę, żeby mnie uciszyć.

– Wszystko załatwione. Rachel się tym zajęła. Mój brat idzie do więzienia, a zaraz potem przyjeżdża moja bratanica. Muszę być tutaj, przynajmniej podczas odczytania zarzutów i ustalenia kaucji. W razie gdybyś czegoś potrzebował – dodaje, zwracając się do Jacksona.

Damienowi nie chodzi o pieniądze. Nawet gdyby sąd wyznaczył jakąś astronomiczną kaucję, Jackson ma środki na to, żeby ją pokryć. Chodzi mu o wsparcie. I widzę po twarzy Jacksona, że on też to rozumie. W odpowiedzi uśmiecha się do brata i lekko skłania głowę.

– Gdzie Harriet? – pyta Jackson.

– Rozmawia z inspektorem Garrisonem – odpowiada Charles. – Potem tu przyjdą po ciebie.

Jackson kiwa głową całkowicie spokojny. Ja natomiast niemal czuję, że robię się blada.

– Czy możemy coś zrobić? – Nikki zwraca się do Jacksona. – Jeżeli czegoś potrzebujesz, wystarczy powiedzieć.

– Moglibyście pojechać z Syl na lotnisko? Stella przywozi dziś Ronnie, może trzeba jakoś pomóc jej się urządzić.

– Jasne – mówi Nikki, a ja nie oponuję, chociaż mogę w zupełności zająć się tym sama. To znaczy, lubię tak myśleć, ale w rzeczywistości wcale nie jestem pewna, czy mogę.

– Muszę też znaleźć coś do mieszkania – mówię. – Jest wprawdzie wolny pokój na jachcie, ale to nie jest odpowiednie miejsce dla małej dziewczynki. A w mieszkaniu mam tylko jedną sypialnię. Mogę rzecz jasna ulokować w niej Ronnie, ale i tak nie mam co zrobić ze Stellą. – Stella jest moim aniołem. Zostanie z nami przez co najmniej tydzień, żebyśmy mogły się z Ronnie ze sobą oswoić, i żeby nauczyć mnie, jak zajmować się takim małym brzdącem.

Jackson zamierzał wynająć dla nas dom, ale nie miał zbyt wiele czasu, a tych kilka miejsc, które zdążył obejrzeć zupełnie się nie nadawało.

Przenoszę wzrok na Jacksona.

– Szkoda, że... – urywam w połowie zdania. On wie, co chcę powiedzieć, bo od rana mówiłam to już chyba z pięć razy.

– Wiem – odpowiada. – Szkoda, że nie przyjechały tu wcześniej. Wierz mi, ja też żałuję.

– Harriet wyciągnie cię za kaucją – stwierdza Damien z mocą. – Spotkasz się z córką całkiem niedługo.

Pochwytyję spojrzenie Jacksona. Oboje mamy nadzieję, że ma rację. I oboje boimy się, że jej nie ma.

– A dlaczego nie w Stark Tower? – proponuje Nikki, spoglądając pytająco na Damiena.

– No pewnie – potwierdza Damien. – Możesz zająć apartament, a my z Nikki przeniesiemy się do Malibu. To żaden problem. I Syl będzie miała blisko do Ronnie nawet w ciągu dnia. I ty też, jak już wrócisz do pracy. A mogę ci obiecać, że będziesz mocno zajęty – dorzucą sucho. – Mój ośrodek ma być gotowy na czas.

– Twój ośrodek? – powtarza Jackson, a Damien tylko uśmiecha się w odpowiedzi.

Przez chwilę robi się tak przyjemnie, jakbyśmy sobie tak zwyczajnie stali i gawędzili. A nie czekali na komisariacie, aż aresztują Jacksona.

Jackson patrzy na mnie, a ja kiwam głową. Mieszkanie jest urządzone i w pełni wyposażone. A najlepsze, że znajduje się w budynku Stark Tower.

– W porządku – mówi Jackson, zwracając się do Damiena, a zaraz potem do Nikki. – Dziękuję wam.

– Cóż – mówi Damien – od tego ma się rodzinę, prawda?

– Chyba tak – odpowiada Jackson. – Nie mam doświadczenia.

Rozmowa utyka w martwym punkcie i już mam przerwać to niezręczne milczenie, pytając Nikki, który pokój przeznaczylaby dla trzylatki, gdy nagle drzwi się otwierają. Przywieram do Jacksona, a do środka wchodzi Harriet i inspektor Garrison.

– Dzień dobry – inspektor wita się z Jacksonem. – Dziękuję, że pan przyszedł.

Jackson unosi brwi.

– Nie żebym miał jakiś wybór, ale bardzo proszę. – Porusza ramionami w górę i w dół, jakby gotując się na najgorsze. – Dobrze, przejdźmy do rzeczy.

– Nie ma żadnej rzeczy – odzywa się Harriet miękko. Na twarz wypływa jej szeroki uśmiech. – Jesteś wolny.

Jego palce zaciskają mi się na dłoni, ale poza tym nie drga mu żaden mięsień. Ja zaś mam wrażenie, że coś mi umyka, bo to, co powiedziała wydaje się nie mieć sensu.

Jackson powoli zadaje pytanie:

– O czym ty mówisz?

– Aresztowaliśmy podejrzanego – oświadcza Garrison. – Do wszystkiego się przyznał.

Jackson po omacku chwyta się stołu, po czym w zwolnionym tempie opada na krzesło. Otwiera usta, ale nie jest w stanie wykrztusić ani słowa. To ja mówię:

– O mój Boże, więc już po wszystkim? Naprawdę?

Harriet potwierdza słowa Garrisona, a ja ściskam dłoń Jacksona, który podnosi na mnie podejrzliwy wzrok, jakby to był jakiś dowcip, a on czekał na puentę.

– Koniec – powtarzam i przez chwilę tylko tak patrzymy na siebie, rozkoszując się tą cudowną chwilą. Przychodzi mi na myśl, że być może los uznał, że wystarczająco sobie na nas poużywał. Zabawa skończona i możemy dalej żyć już normalnie, a nie dzień w dzień rozgrywać jakiś szalony mecz w dwa ognie.

– Chwała Bogu – szepcze Jackson. – O Jezu.

– Kto się przyznał? – pyta Damien, a wtedy uśmiech Harriet wyraźnie zamiera.

– Co znowu? – pytam, od razu cała spięta.

– Przykro mi – odpowiada i z miejsca wydaje mi się nienaturalne, że patrzy prosto na mnie. – To twój ojciec, Sylvia. Przyznał się do winy.

Rozdział 25

Proszę – mówi Jackson i podaje mi kieliszek wina, chociaż nie ma jeszcze dwunastej. – Wypij to.

Jesteśmy u mnie w mieszkaniu, żeby spakować rzeczy, które zawieziemy do apartamentu w Stark Tower po odebraniu Ronnie z lotniska. Chociaż w tej chwili mam w głowie istny chaos.

– Wszystko okej – mówię i podciągam pod siebie nogi, zwiijając się na kanapie. – Poważnie. – Ale biorę kieliszek, bo tak naprawdę to nie wszystko jest okej. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak się czuję. Jestem otepiąła.

Przychodzi mi na myśl, że funkcjonowałam w tym stanie od rozmowy z policją tuż po przyjeździe do Santa Fe. Najpierw czułam się tak wobec podejrzeń, które spadły na Jacksona. Później w związku z aresztowaniem. A potem nadeszło dość przyjemne uczucie odrętwienia, gdy okazało się, że go oczyszczono.

I tu rzecz powinna się skończyć.

Nie powinnam czuć się tak jak teraz. Coś mi doskwiera, ale sama nie chcę nawet tego nazwać. Nie z jego powodu. Nie przez mojego ojca.

Ale to we mnie siedzi i kłuje mnie od środka. I najchętniej w ogóle przestałabym czuć. Dlatego dobrze mi w tym stanie otepienia i staram się pozostać w nim jak najdłużej, bo mam nadzieję, że może to wszystko samo jakoś minie.

Nie rozmawiałam jeszcze z moim ojcem. Nawet nie wiem, czy zamierzam to zrobić. Zresztą zdaniem Harriet i tak jeszcze by mi nie pozwolili, bo muszą go najpierw przesłuchać, a jest weekend i w sprawach prawa karnego nic się nie dzieje tak szybko. Wiem tylko, że to zrobił, wiem tylko, że to prawda. Wychodzi na to, że policja nie mówiła nam jednak wszystkiego. Na rzeźbie z kości słoniowej, którą Reed został uderzony, był wyryty napis.

Mój ojciec przytoczył go przed Garrisonem.

Powiedział śledczym, że zrobił to w obronie Jacksona, człowieka, z którym jest jego córka.

Ale ja w to nie wierzę. Albo raczej, nie wierzę w to tak do końca.

Myślę, że mój ojciec zabił Reeda po tym, jak Jackson powiedział mu o szantażu.

Myślę, że mój ojciec zrobił to w mojej obronie, żeby te zdjęcia nigdy nie wyszły na jaw. Myślę, że mój ojciec próbował mnie chronić.

Ale to jednak mój ojciec, człowiek, którego nienawidzę od lat. I, szczerze mówiąc, nie wiem, jak się czuję ze świadomością, że on mnie teraz chroni. A poza wszystkim, czekał jednak do ostatniej chwili. Biernie przyglądał się, jak paparazzi roznoszą nas na kawałki. Czekał, pozwalając, żebyśmy się oboje z Jacksonem zamęczali, podczas gdy mógł w każdej chwili to przerwać.

Wzdrygam się, bo nie chcę o tym myśleć. Pragnę tylko upajać się tym, że Jackson jest na wolności. Że

jest bezpieczny.

Że jest ze mną.

Jackson siada przy mnie i kładzie sobie moje nogi na kolanach. Ściągnęłam buty, ale nadal mam na sobie spódnicę, którą włożyłam rano. Zamykam oczy i rozkoszuję się pieśzczotą jego palców na mojej łydce.

– Tak mi przykro – mówię.

– Z powodu?

Otwieram oczy i widzę jego ciepły uśmiech. Przygląda mi się tak czule, że mało nie pęknie mi serce.

– Że jestem zdołowana. Powinniśmy teraz rozsypywać z dachów worki confetti.

– Jestem pewien, że miasto nie zezwala na takie wybryki. A nie chciałbym przypadkiem zostać aresztowany – mówi kpiąco i unosi brwi.

Parskam śmiechem.

– Ale, mówiąc poważnie – dodaje – nie ma nic złego w tym, żebyś była szczęśliwa z mojego powodu i smutna z powodu ojca. Albo skołowana, czy co tam jeszcze – dorzuca pośpiesznie, bo moja twarz zdradza pewnie, że nie wiem, jak się czuję z powodu mojego ojca.

– Tak się cieszę, że cię oczyścili – mówię. – I jestem wdzięczna ojcu, bo to dzięki niemu. Ale z drugiej strony... – Wzruszam ramionami niepewna i oszołomiona. – To, co on zrobił... A potem to, że nie przyznał się wcześniej...

– Wiem, kochanie. Ale nie musisz teraz o tym myśleć – mówi Jackson. – Daj sobie trochę czasu.

– Nawet nie wiem, czy chcę się z nim spotkać – wyznaję cicho ze wstydem, bo przecież zabił człowieka, który mnie zadrezczał. I chociaż trochę późno, to jednak ocalił mężczyznę, którego kocham.

Mimo wszystko nie chcę mieć wobec niego żadnego długu wdzięczności. Jest mi winien więcej, niż mógłby kiedykolwiek spłacić.

– O tym też nie musisz teraz decydować. – Nie przestaje delikatnie gładzić mnie po nogach. Ta czuła pieśzczota pozwala mi zamknąć oczy i odprężyć się, ulegam więc tej potrzebie, żeby ktoś się mną zajął i zaopiekował.

Jego palce podpełzają wyżej i zaczynają mnie ożywiać. Ich mięśnięcia są tak lekkie, że czasem nawet nie wiem, czy mnie rzeczywiście dotyka. Z drugiej strony, jakżeby mogło być inaczej? Jackson mnie zawsze dotyka. Zawsze się mną zajmuje.

Jackson mnie kocha.

Nie wiem, jak długo to trwa, ale wiem, że czuję jego dotyk coraz bardziej wyraźnie. Jakby mnie polerował, żeby moje ciało załśniło swoim zmysłowym światłem. Żeby, gdy jego palce zapuszczą mi się pod spódnicę i zaczną drażnić delikatną skórę wewnątrz moich ud, już dla niego płonęła. A kiedy dotrą do szczytu moich nóg i odkryją nagie i cudownie nawilżone krocze, moja pochwa aż skurczy się z pragnienia, by wziąć je głęboko do środka.

Oddycham ciężko, moje ciało jest rozgrzane, a w piersiach czuję ból. Wyginam plecy, bezgłośnie prosząc o więcej.

Ale on nie wchodzi. Wręcz przeciwnie i zaczynam zawodzić, gdy wycofuje rękę. Czuję ruch na poduszkach obok i otwieram oczy. Stoi nade mną i patrzy na mnie z góry z taką pasją i pożądaniem, że aż przechodzą mnie ciarki.

Zmienił już garnitur na dżinsy, które trzyma u mnie w mieszkaniu, i widzę całą długość jego napęczniałego członka pod materiałem. Uśmiecham się. Podoba mi się, że mu stoi. Że doprowadzam go do tego stanu. Podoba mi się to, bo kiedy już we mnie wytryśnie, doznanie będzie o wiele intensywniejsze.

– Chodź ze mną – mówi, ale nie czeka, aż wstanę. Zamiast tego bierze mnie na ręce i przytula do piersi, a ja oplatom go ramionami za szyję. Czuję się spokojnie i bezpiecznie, ale gdy kładzie mnie na łóżku i robi krok do tyłu, widzę, że żar w jego oczach zapowiada coś zgoła innego.

– Obejmij mnie nogami. Teraz – dociska, jakbym miała zamiar się opierać. – Bez słowa. I żadnych pytań.

Robię, co każe.

W ten sposób moje kolana wystają na zewnątrz na kształt rombu i jedynie niewielka przestrzeń dzieli moje krocze od jego. Tyle akurat, żeby mógł wsunąć tam rękę i rozkosznie mnie torturować.

I to też właśnie robi. Znowu czuję palce na udzie, przesuwane się leniwie w górę i w dół, i zaczynam wierzyć i wyrzucać biodra do góry z pożądania.

– Podoba mi się – mówi Jackson tak nisko, że ledwo go słyszę. – Lubię jak się tak dopraszasz w milczeniu. Z taką mokną, rozgrzaną cipką. Tylko dla mnie.

Zamykam oczy i przesuвам zębami po dolnej wardze.

– Jackson, proszę.

– Proszę, co? Proszę to? – Jeden palec prześlizguje mi się po łechtaczce i szok jest tak wielki, że rozdziera mnie jak ładunek elektryczny. – Czy to? – Wsuwa we mnie dwa palce i przyciska mi kciuk do łechtaczki, aż wyginam się cała po więcej.

Porusza we mnie palcami, a jego kciuk nie przestaje mnie stymulować, aż w końcu całkowicie tracę rozeznanie.

– Zaraz dla mnie dojdiesz, kochanie. Usiądź sobie wygodnie i pozwól mi działać.

Chcę coś odpowiedzieć, ale wtedy dokłada jeszcze jeden palec i wjeżdża we mnie głęboko i zdaję sobie sprawę, że nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa.

Moja mycha zawęży się wokół jego palców. Chcę mocniej. Głębiej.

– Zamknij oczy – mówi. – Wsuń sobie rękę pod spódnice.

Robię, co mówi. Powierzchnia mojej skóry jest rozpalona.

– Przesuwaj wyżej, do piersi. Uszczypnij się w brodawkę. Mocniej, kotku. Wiem, że lubisz mocno.

To prawda, więc szczypię się mocniej i przygryzam dolną warg, po czym wydaję okrzyk, bo on bierze drugą moją rękę i naprowadza na moje krocze.

– Pobaw się dla mnie łechtaczką, kotku – mówi i znowu zanurza mi palce do środka i posuwa mnie, podczas gdy ja pieszczę się z przodu. Moje lęki i niepokoje rozmywają się. Narasta przyjemność. Euforyczna radość z tej chwili razem. Z wolności. Z życia.

Z nas.

– Dojdź dla mnie, kotku. – Jego głos jest niski, jednostajny i zdaje się wypełniać mnie tak samo jak jego dotyk. – Dojdź dla mnie i powiedz mi, że jesteś moja.

– Jestem – charczę. – Boże, Jackson, jestem twoja. – Słowa są urywane, bo nagle przez całe moje ciało przetacza się huragan, a moje mięśnie tak silnie zaciskają się wokół jego palców, że mogłyby je

połamać.

Pozwalam falom rozkoszy porwać moje ciało, a gdy na koniec wzdycham słodko zaspokojona, Jackson szepcze mi do ucha:

– Ożenię się z tobą.

– A żebyś wiedział – odpowiadam.

Rozdział 26

Tata! Stella! Sylvie! Ktoś idzie!

Ronnie przelatuje przez pokój do holu, gdzie przed chwilą rozległ się dzwonek windy.

Stoję z Nikki i Stellą przy barku, ale przyglądam się twarzy Jacksona, na której maluje się tak bezgraniczne uwielbienie, że postanawiam sprawdzić, jak zgłosić Betty i Stellę do kanonizacji.

Stella nie tylko przyjechała z notatnikiem pełnym wszelkich informacji o Ronnie, jakie tylko można sobie wyobrazić, ale – co ważniejsze – odkąd Jackson zdecydował, że sprowadzi Ronnie do siebie, Betty wytłumaczyła małej, że wujek Jackson jest jej tatusiem i że niedługo sąd da im specjalny papierek na to, że tak jest naprawdę. A w międzyczasie, obiecała Betty, Ronnie zamieszka w mieście tuż obok plaży.

Betty obróciła to, co mogło wydawać się straszne, w ekscytującą przygodę i już zawsze będę jej za to wdzięczna.

Nie chcieliśmy z punktu przyłoczyć małej, ale jednak wypadało uczcić jej przyjazd, więc wyciągnęliśmy na stół kawałki kurczaka, pizzę i zaprosiliśmy kilkoro przyjaciół. Charles i Harriet wpadli na chwilę i już musieli lecieć, a podejrzewam, że teraz nadchodzą Cass i Siobhan.

Idę za Ronnie do holu i widzę, że się nie pomyliłam.

– Jestem Ronnie – mówi mała do Cass. – A to mój tata i ciocia Sylvia.

– Wiem – odpowiada Cass. – Jest moją najlepszą przyjaciółką. To my chyba też, nie? – Patrzy w dół na Ronnie i rozmawia z nią z tak swobodnie, że czuję się naraz pełna podziwu i onieśmielona. Cały czas czuję się nieco sztucznie, kiedy z nią rozmawiam. Tak jakbym tylko udawała ciocię czy tam mamę, a nie naprawdę weszła w tę rolę. – Mam na imię Cass. A to jest Siobhan.

Ronnie taksuje Cass wzrokiem, wykrzywiając buzię, po czym przenosi uwagę na Siobhan.

– Lubisz psy?

– Chyba żartujesz – odpowiada Siobhan. – Psy są ekstra.

– Ciocia Sylvia mówi, że masz psa – dodaje Cass. – Pokażesz?

Ronnie spogląda na mnie, a ja kiwam głową i mała wypada z pokoju.

– Chodźcie!

Cass rzuca mi rozbawione spojrzenie.

– Zaraz wracamy. – I obie znikają w pokoju Ronnie. Fred siedzi tam w swojej budce, niczym król w pokoju przeobrażonym w prawdziwą komnatę księżniczki. To prezent od Nikki i Damiena, którzy zdążyli na nowo urządzić i zmienić wystrój wnętrza zaledwie w kilka godzin.

– W porządku? – pyta Jackson, obejmując mnie w pasie ramieniem, gdy wracamy do Nikki i Damiena do salonu.

Nie wiem, czy pyta o to, jak sobie radzę z historią mojego ojca, czy z faktem, że mam w domu malutką

dziewczynkę, ale w obu przypadkach odpowiedź jest taka sama:

– Fantastycznie – mówię i pochylam się, żeby zakosić kawałek pizzy pepperoni z pudełka na stoliku do kawy. – Jesteś wolny. Ronnie przyjechała i jest cała szczęśliwa. Fred jest czyściutki. A projekt ośrodka się uda, bo mój architekt może wracać do pracy. – Uśmiecham się do Jacksona, a potem do Damiena. – Nie przejmuję się nawet tym, że straciliśmy część inwestorów, bo od poniedziałku zamierzam wisieć na telefonie non stop i przysięgam, że znajdę nowych, choćbym miała wykopać ich spod ziemi.

– Nie musisz – odzywa się Damien i zerka na Jacksona. – Sprawa jest załatwiona.

Przenoszę wzrok z jednego na drugiego całkiem skołowana.

– Rozmawialiśmy trochę o tym – wyjaśnia Jackson. – Dlaczego miałbym nakłaniać innych do wsparcia projektu, którego sam nie chcę wspierać? Co więcej, wcale nie uważam tego za ryzyko. Myślę, że zarobimy na tym masakrycznie dużo pieniędzy.

– Już masz dużo pieniędzy – mówię. – Ale wiem, ile kosztują udziały i, Jackson, to naprawdę niemały wkład. Naprawdę masz takie środki?

– Teraz już mamy – odpowiada, a mnie robi się ciepło na sercu, że w ten sposób włączył mnie do swoich spraw. – Chcę porozmawiać z Isaakiem Winnem i sprzedać mu moje trzydzieści procent udziałów w Winn Building, tę część, która nie zasila funduszu Ronnie. A wtedy będę mógł kupić pozostałe udziały w Cortez.

– Jackson! Jesteś pewien? – Winn Building to kamień milowy w jego karierze. Nie mogę uwierzyć, że tak łatwo się go wyrzeknie.

Wzrusza ramionami, jakby to była jedna z wielu zwyczajnych decyzji.

– Znam tu wszystkie zaangażowane strony. Myślę, że to dobra inwestycja.

– No raczej – mówię. – Ten ośrodek zawojuje cały rynek wakacyjno-wypoczynkowy i przyniesie nam mnóstwo kasy. Ale Winn Building to pierwszy projekt, w którym masz własnościowe udziały. Naprawdę chcesz tak po prostu z tego zrezygnować?

– Sylvia ma rację – odzywa się Damien. – A trzydzieści procent to dużo. Szczególnie w przypadku takiego budynku jak Winn, który ma widoki na dalszy wzrost wartości.

Jackson patrzy mi w oczy.

– Uważam, że Cortez ma taki sam potencjał.

– Zgoda – przyznaje Damien. – I dlatego mam propozycję.

Oboje odwracamy się w jego stronę.

– Sprzedaj Isaacowi piętnaście procent. Resztę pokryję ja.

Zatyka mnie i orientuję się, że mam rozdziawione usta.

– Przecież nigdy tego nie robisz. – Damien ma fobię na punkcie swoich prywatnych aktywów. Do tego stopnia, że kiedy pierwsi inwestorzy zaczęli przebąkiwać o rezygnacji po utracie pierwszego architekta, dał jasno do zrozumienia, że nie zamierza osobiście finansować projektu.

– Nigdy – mówi Damien i patrzy na Jacksona. – Ale tym razem, myślę, że warto zaryzykować.

– O rany, tyle się wydarzyło, że kręci mi się w głowie – mówi Cass. Siedzimy we dwie w przestronnym pokoju gościnnym, w którym teraz zamieszkałam z Jacksonem. Wymknęłyśmy się z imprezy

na szybkie ploteczki. – Dziwię się, że jesteś jeszcze zdrowa na umyśle. – Marszczy brwi. – Jesteś, prawda?

Przewracam oczami i siadam na skraju łóżka.

– Tak jak wcześniej. Czyli nie do końca.

Cass tylko się uśmiecha i zaczyna odliczać na palcach.

– Zaręczyny. Dziecko. Nieskazany narzeczony. I ojciec, który przyznał się do morderstwa. To nie wszystko, ale z grubsza podsumowuje najważniejsze punkty. Naprawdę – jej głos łagodnieje – dobrze się trzymasz?

– Tak – odpowiadam. – To, że Jackson jest wolny, przebija wszystko inne.

– To fakt. Ale – krzywi się, jakby przyszło jej do głowy coś niesmacznego – ten twój ojciec... Popaprana historia. Rozmawiałaś z Ethanem?

Kręcę głową przecząco.

– Nagrałam mu wiadomość, żeby do mnie oddzwonił. Zdaje się, że dopiero dzisiaj wraca z Meksyku. A skoro i tak nie może się od razu spotkać z ojcem, wołałam go nie martwić.

– A ty masz zamiar się z nim zobaczyć?

– Nie wiem. I powiem ci, że nie chce mi się w ogóle o tym myśleć. Ani rozmawiać, nawiasem mówiąc. Nie to, że nigdy, ale na pewno nie dzisiaj. Bo i tak nic nie mogę w tej chwili zrobić, a dzisiaj chodzi wyłącznie o to, że Jackson nie poszedł siedzieć i że jest z nami Ronnie. Okej?

– Dasz znać, jakbyś czegoś potrzebowała?

– No raczej.

Cass wybucha śmiechem.

– W porządku. Na razie dam ci spokój. I... – urywa i robi pocieszoną minę.

Potrząsam głową i hamuję śmiech.

– Co?

– Ronnie jest przesłodka. I wygląda, że masz z nią świetny kontakt.

Marszczę brwi.

– Niepotrzebnie ci cokolwiek mówiłam. Uwielbiam ją, a Jackson jest w niej absolutnie zakochany. – To wszystko prawda. Nie dodaję jednak, że mimo wszystko nie potrafię pozbyć się wrażenia, że występuję w *Ulicy Sezamkowej* czy innym programie dla dzieci i tylko wcielam się w postać dorosłego. I chociaż chciałabym przestać udawać, nie wiem, jak to zrobić. Bo jeżeli nie to, to na czym miałabym się opierać? Ktoś, kto dorastał z takimi ludźmi jak moi rodzice... Bez przykładowego scenariusza będę się miotać od ściany do ściany. To wszystko w ogóle wydaje się jakieś nierealne.

Ale powtarzam sobie, że jest po prostu za wcześnie. A ponieważ kocham Jacksona i kocham Ronnie, to wszystko się ułoży.

Tak sobie wmawiam. Ale nie wiem, czy sama w to wierzę.

– Na kiedy wyznaczyci przesłuchanie w sprawie ojcostwa? – Cass wstaje i kieruje się do drzwi, a ja idę za nią, rozumiejąc, że w ten sposób próbuje zmienić temat. Jestem jej za to wdzięczna.

– W przyszłym tygodniu – odpowiadam. – Będziemy musieli wyskoczyć do Santa Fe, ale tylko na dzień czy dwa.

– No a ślub?

– A to już dalszy plan. Myślmy o lecie. Chciałbym wyjść za mąż w ośrodku.

– No chyba! Będę świadkiem?

Śmieję się.

– Ma się rozumieć.

Wracamy do salonu. Szybko dostrzegam Nikki, która rozmawia w kącie ze Stellą i Siobhan, ale muszę rozejrzeć się dookoła, żeby zobaczyć Jacksona. Stoją, trzymając za rękę Ronnie, plecami do pokoju, zapatrzeni w okno. Zapadł już wieczór i rozpościerające się w dole miasto jarzy się milionem światełek.

– O rety – mówi Ronnie, a Jackson śmieje się cicho.

– No – zgadza się. – O rety, rety.

Ronnie puszcza jego dłoń i przywiera ciasno do jego nogi.

– Kocham cię, tatusiu – mówi.

I w tym momencie, przysięgam, że nie mam najmniejszych wątpliwości, że wszystko będzie dobrze.

To przekonanie towarzyszy mi przez jeszcze mniej więcej siedem godzin.

A potem nadchodzi moment, kiedy okazuję się jedynym dorosłym, który nie śpi w całym mieszkaniu.

Położyliśmy Ronnie o siódmej. Przed pójściem spać uściskała wszystkich na dobranoc i obdarzyła kilkoma uślinionymi buziakami „Cassy” i „wujka Damiena”.

Stella już wcześniej poszła do siebie, uskarżając się na katar.

Cass i Siobhan wyszły jakieś dziesięć minut po Damienie i Nikki. Przez cały wieczór czekałam na to, żeby spędzić trochę czasu z Jacksonem, ale szybko staje się jasne, że nie ma na co dziś liczyć. O ile nie chcę gadać do nieboszczyka.

Powiedział, że idzie się położyć i zaproponował, żebym przyniosła do sypialni butelkę wina.

Tak też zrobiłam, ale kiedy weszłam do pokoju chwilę później, znalazłam go głęboko uśpionego w ubraniu na niepościelonym łóżku.

Zdjęłam mu buty, ale zostawiłam ubranie i tylko przykryłam go kocem. Musiał być totalnie wykończony, fizycznie i psychicznie, i nie chciałam ryzykować, że go obudzę. Teraz potrzebuje odpocząć.

Sama też położyłam się obok, ale sen nie nadchodził. I już miałam ululać się przy pomocy wina, którego wcześniej sobie nalałam, gdy nagle usłyszałam ostry, dziecięcy krzyk. Wskoczyłam z łóżka i pognałam do niej.

I teraz siedzę tu i bezskutecznie próbuję uciszyć na wpół zaspaną istotkę w moich ramionach. Nie przestaje płakać, cała zaróżowiona z wysiłku i z trudem łapiąca oddech wśród spazmatycznego łkania. Płacze, że chce do babci, ale Betty tu nie ma, a ja zupełnie nie wiem, co począć. Borykam się z koszmarami przez całe swoje życie, a teraz nie umiem nawet pomóc tej biednej kruszynie.

Mam wrażenie, że tak mijają nam całe godziny. Głowa mi już pęka od jej krzyku, a ramiona mdleją z wysiłku. Jackson nie przychodzi, a ona nie przestaje płakać i teraz ja też już płaczę i niewiele brakuje, żebym sama zaczęła krzyczeć, bo czuję się kompletnie bezsilna i zagubiona.

Wtedy do pokoju wbiega Stella w długim, rozwianym szlafroku z bawełny i z włosami, które zwykle upina w staranny kok, teraz opadającymi luźno wokół twarzy.

– Och, kochanie – mówi i kiedy uświadamiam sobie, że to słowa skierowane są do mnie, ogarnia mnie

potężna fala żalu nad samą sobą. Muszę wyglądać nad wyraz nieszczęśliwie i bezbrannie. – Ja ją wezmę.

Podnosi Ronnie i kołysze ją sobie na biodrze.

– Już dobrze, słoneczko. Stella jest przy tobie. Coś ci się przyśniło?

Pod wpływem jej kojącego głosu i miarowego bujania płacz małej cichnie i przechodzi już tylko w sporadyczne czkanie, po czym jakimś cudem zamiera. Drobne ciało wiotczeje z wyczerpania, a do buzi wędruje kciuk.

– Posiedzę przy niej – mówi Stella, zwracając się w końcu do mnie i wtedy uświadamiam sobie, że od dłuższego czasu stoję tam skamieniała, zapatrzona w jej magiczne zdolności, których mi ewidentnie brakuje.

– Tak – mówię. – Dziękuję.

Wychodzę z pokoju i wracam do sypialni. Czuję się zagubiona, bezużyteczna i panicznie przerażona.

Rozdział 27

Na co masz chęć? – pytam Ronnie, kiedy stoimy obok siebie przed drzwiami otwartej lodówki i kontemplujemy zawartość. Nikki zadbała o to, żeby zostawić nam zapasy „dziecięcego” jedzenia, a więc jogurtu, mleka i soku, a poza tym co w lodówce wypakowała jeszcze spiżarnię niebieskimi opakowaniami makaronu, sera, płatków ze zwierzątkami na pudełku i wielkimi paczkami krakersów w kształcie rybek.

Prawdę mówiąc, trudno znaleźć tu cokolwiek dla dorosłych.

Ani chybi będzie trzeba wyskoczyć do sklepu.

Jest późny niedzielny poranek. Wszyscy troje jesteśmy już od kilku godzin na nogach. Najpierw byczyliśmy się razem na kanapie, oglądając poranny program w telewizji i pałaszując płatki. Wygląda na to, że Ronnie nie pamięta nic ze swoich nocnych koszmarów.

Szkoda, że ja nie mogę powiedzieć tego samego o sobie. Czuję się, jakbym stąpała po tafli lodu, ale postanowiłam się tym nie przejmować, tłumacząc sobie, że ta sytuacja po prostu mnie zaskoczyła i nie byłam na to przygotowana. Nie mówiłam o tym Jacksonowi, podobnie jak Stella, która pod jego naciskiem wyszła pozwiedzać miasto.

– Sok jabłkowy – żąda Ronnie i wyciąga rączkę po kartonik. Podaję jej napój i pomagam jej wbić słomkę w otwór, po czym znów krzywię się w stronę lodówki.

– A może zrobimy dziś specjalny obiad dla taty? Możemy pójść do sklepu i kupić coś pysznego?

– Ktoś mnie woła? – odzywa się Jackson, który wchodzi do kuchni z pokoju, w którym od jakiegoś czasu ślęczał nad laptopem.

– Rozmyślamy nad obiadem – mówię i nastawiam się do pocałunku, a potem oddaję pieśczętę.

– Może lody? – podsuwa Ronnie ze śmiertelną powagą.

– Pomyślmy może o czymś, co nie jest deserem – sugeruje Jackson.

Ściąga usteczka, analizując jego propozycję.

– Dlaczego?

Zerkam na Jacksona.

– Trafiony zatopiony. – Odwracam się do Ronnie. – A może siekane kotlety? – To akurat umiem zrobić, a według notesu Stelli, który od teraz traktuję jak moją własną biblię, Ronnie powinna to zjeść. Okazuje się, że trzylatki mają bardzo ograniczoną dietę.

– I lody? – pyta, bo najwyraźniej odziedziczyła upór po tatusiu.

Spoglądam na Jacksona, który ze wszystkich sił stara się nie roześmiać. Potem odwracam się znowu do małej.

– Dobra – mówię – a co powiesz na fasolkę szparagową?

Wywala jęzor i marszczy nosek. Jackson chwyta ściereczkę i udaje, że kicha, ale nie ulega wątpliwości, że zwija się ze śmiechu.

– Flytki! – targuje się Ronnie. – Plosę, Sylvie? – Składa rączki jak do modlitwy i podnosi na mnie oczka, takie niebieskie i znajome, że serce mi topnieje. – Ładnie plosę.

Kucam przed nią, żeby być na równi i przybieram najbardziej negocjacyjny wyraz twarzy, na jaki mnie stać. Chociaż w rzeczywistości nie mam pojęcia, jak to rozegrać. Po głowie kołacze mi się tylko, że powinnam z góry ustalić granice. Wprowadzić jasne zasady w kwestii lodów. I przy każdej najmniejszej okazji zachwycać się zieleniną.

Ale pewnych rzeczy nie przeskoczę, więc tylko pukam ją lekko po nosie.

– Okej, umawiamy się tak: jeżeli zjesz trochę fasolki, to zrobimy też frytki. Zgoda?

– Zgoda. – Wyciąga rączkę, całą lepką od czekolady, którą wcześniej podkarmił ją tatuś. Przypieczętowujemy naszą umowę solennym uściskiem dłoni. Podsuwam następnie moją upačkaną rękę Jacksonowi pod nos, ale on tylko pokornie wzrusza ramionami.

– Prędzej czy później będziesz musiał przestać na wszystko jej pozwalać – drocę się.

– Wiem. Daj mi jakieś dziesięć–jedenaście lat i się tego nauczę.

Śmieję się. W głębi duszy uważam, że trzeba mu dużo więcej. Opieram się o kuchenną ladę i patrzę, jak mała wyciąga w górę ramiona, żeby wziął ją na ręce. Podnosi ją i sadza sobie na biodrze, jak małpkę na drzewie. Jest szczęśliwy i cały przejęty. A przy tym bardzo sprawny, choć totalnie zawojowany. Chyba nigdy mnie tak nie pociągał.

– Dobra. To ja idę do sklepu, żebyśmy mogli zabrać się za naszą małą ucztę. Wracam niedługo.

– Ja też, ja też!

Spoglądam na Jacksona.

– Co myślisz? Masz czas?

Potrząsa głową.

– Mam umówiony telefon. W sprawie ośrodka – dodaje, mrużąc łobuzersko oczy. – Ale wy sobie idźcie – mówi z uśmiechem. – Wasze pierwsze wyjście matki z córką.

Na samą myśl mam motyle w brzuchu i niewiele brakuje, żebym się wycofała. Ale wtedy widzę, jak mała cieszy się na tę wyprawę.

– Dobrze – mówię po chwili. – Dlaczego nie? – No bo co się w końcu może stać złego?

Wygląda na to, że całe Los Angeles ściągnęło dzisiaj do Ralphs przy Zachodniej Dziewiątej. Przynajmniej tak mi się wydaje, kiedy z trudem manewruję przez tłum, jedną ręką prowadząc wózek, a drugą ściskając drobną łapkę Ronnie.

– No co, bąku? – mówię. – Nie chcesz się przejechać? – Próbowałam ulokować ją w koszyku, jak tylko rozpoczęłyśmy zakupy, ale ona za wszelką cenę chce pomóc, co najwyraźniej oznacza, że musi iść przy mnie, podczas gdy ja usiłuję lawirować w tłumie i zdecydować, co powinnymy kupić.

Kręci główką nieustępliwie.

– Chcę iść. I chcę pchać wózek.

– Nawet do niego nie sięgasz – odpowiadam. – Ale okej. Możesz iść.

Mam już mielone mięso wołowe, jajka, sos pomidorowy i lody. Teraz musimy znaleźć ziemniaki, cebulę i zieloną fasolkę, którą przepchnęłam w trakcie naszych lodowo-warzywnych pertraktacji.

Dobrze znam ten sklep, bo Stark Tower jest dwa kroki stąd i czasami przychodzę tu po coś na lunch. Więc bez trudu odnajduję stoisko z warzywami i wyładowuję koszyk wszystkim, co nam potrzebne na obiad.

– To wszystko – mówię. – Muszę to tylko zważyć, przykleić ceny i idziemy do kasy, tak?

Przygląda się zafascynowana kobiecie przed nami, która wybiera odpowiedni kod i w nagrodę otrzymuje białą naklejkę.

– Ja! Ja! – domaga się, kiedy nadchodzi nasza kolej.

– Znasz cyferki? – pytam, a ona skrupulatnie odlicza do dziesięciu, improwizując nieco od sześciu w górę.

Uznaję, że to wystarczy.

– Dobra – mówię i kładę torbę cebuli na wagę. Biorę Ronnie na rękę i podszam na biodrze, po czym powoli dyktuję jej kod: – Trzy, cztery, jeden dwa.

Gubi się przy „cztery”, ale nakierowuję jej paluszek na odpowiedni przycisk i dostajemy etykietkę na cebulę, którą zamaszycie przykleja do torebki.

Cała operacja zajmuje nam tylko jakieś osiem razy dłużej niż powinna.

– Świetnie się spisałaś – chwalę. – A teraz ja zrobię to z resztą, bardzo, bardzo szybko. Chcesz zobaczyć?

Macha żarliwie główką, aż jej czarne kędziory podskakują sprężysto. Wracam do wagi i czytam na głos każdy wciskany numer, jak w edukacyjnym filmiku dla dzieci.

Kończę i zgarniam wszystkie moje siatki, po czym odwracam się, żeby przywołać ją z powrotem do wózka.

Nie ma jej.

W jednej chwili skacze mi ciśnienie, ale staram się opanować. Niemożliwe. Pewnie jest w alejce tuż obok. Gdzieś za tymi ludźmi.

Ale jej nie znajduję i panika powoli bierze nade mną górę. Zgubiłam ją. Zgubiłam córeczkę Jacksona.

Żołądek mi się wywraca i z wysiłkiem przełykam strach i mdłości. Nie mam na to czasu. Muszę ją natychmiast odnaleźć.

– Nie widziały panie, gdzie poszła? Taka mała dziewczynka, była tu przed chwilą – niemal wrzeszczę do dwóch kobiet gawędzących w przejściu przy pomidorach. Ale obie patrzą na mnie zupełnie bez wyrazu. Jedna wygląda, jakbym jej nadepnęła na odcisk, a druga zdobywa się na przepraszący uśmiech i mówi:

– Przykro mi, nic nie widziałam.

Jezus Maria!

– Ronnie! – Nie zwracam uwagi na zdumione spojrzenia kupujących, i drę się jak mogę najgłośniej, biegnąc w poprzek sklepu, dzięki czemu mogę zajrzeć do każdej prostopadłej alejki. – Veronica!

Nic. Nie mam pojęcia, co robić. Nie chcę zapuszczać się w inne części sklepu, muszę jak najszybciej znaleźć kierownika. Potrzebuję kogoś i właśnie mam zamiar zacząć wzywać pomocy na cały głos, kiedy staje przy mnie niska kobieta o przyjaznym wyrazie twarzy i puka mnie lekko w łokieć:

– Czy to nie pani mała? – pyta.

Spoglądam w dół i odnajduję Ronnie na czworakach pod wolnostojącym straganem z brukselką i kalafiorem.

– Jezu – wołam i robi mi się słabo. – Ronnie. Ronnie, chodź tu, kochanie.

Gramoli się spod skrzynek, po czym pokazuje mi malutką, czerwoną piłeczkę, którą zauważyła na ziemi.

– Mogę ją sobie wziąć? – pyta, ale nie odpowiadam. Gwałtownie przyciskam ją do piersi, starając się opanować rozszalałe tętno i uspokoić oddech.

Odwracam się, żeby podziękować kobiecie, która ją zauważyła, bo kto wie, co by się stało, gdyby nie ona. Ale kobieta zniknęła.

Zgarniam Ronnie na ręce, porzucam nasz wózek i lecę prosto do wyjścia.

Mam gdzieś zakupy i obiad, i lody, i kotlety.

W głowie dzwoni mi tylko jedno: nie udało się.

Muszę zaraz natychmiast wracać do domu.

– Uspokój się – mówi Jackson, podczas gdy ja krążę nerwowo po pokoju i próbuję nie wybuchnąć po raz kolejny płaczem. – Kochanie, uspokój się. Nie zgubiłaś jej. Nic jej się nie stało.

Ronnie śpi u siebie, a cała historia najwyraźniej mało ją obeszła. Popłakiwała trochę w samochodzie, ale to raczej dlatego, że zauważyła moje roztrzęsienie, kiedy jechałam z obiema rękami kurczowo zaciśniętymi na kierownicy.

– No właśnie zgubiłam! – odpalam. – Tylko dlatego, że okazało się, że jest dwa metry dalej, to nie znaczy, że jej nie zgubiłam. To tylko znaczy, że miałam szczęście. A co gdybym poleciała szukać kierownika sklepu, zanim ta kobieta ją zauważyła? Mogłaby sobie wyleźć spod stoiska i najspokojniej wyjść na dwór. Warzywa są tuż przy wyjściu, a drzwi otwierają się automatycznie i wychodzi się prosto na parking, a sam wiesz, jak szybko ludzie potrafią jeździć po parkingach, mimo że nie wolno!

Brakuje mi tchu, a słowa i panika zaczynają nakładać się na siebie w mojej głowie. Wiem, że ma rację. Nic jej nie jest. I pewnie nawet nie jestem pierwszą osobą, która spuściła z oczu dziecko w sklepie. To jednak katalizator, który zdetonował wszystkie moje najgłębsze lęki i wątpliwości.

Wiem, co muszę zrobić. Wszystko się we mnie skręca. Bo będzie mi strasznie, strasznie ciężko. Ale muszę. Dla Jacksona. Dla Ronnie. A nawet dla siebie samej.

Jackson zatrzymuje mnie przy kolejnym okrążeniu pokoju i bierze mnie w ramiona.

– Kotku, po prostu się przestraszyłaś. Rozumiem. Ale musisz trochę odpuścić. Weź głęboki oddech.

Wrywam się z jego objęć.

– Przestraszyłam? Nie, nie przestraszyłam się, Jackson. Myślałam, że się tam posypię na miejscu! Tak samo jak wczoraj w nocy. Miała jakiś zły sen i...

– Wiem – odpowiada łagodnie. – Stella mi powiedziała. Ale, Sylvia, świetnie ci idzie. To, że jest ci trudno, nie znaczy, że robisz coś źle.

Przypominam sobie, że to samo powiedziałam mu na lotnisku.

– Będziesz mi teraz wyciągał moje własne słowa? Okej. Powiedziałam ci wtedy, że cię kocham. I że

dam ci wszystko, czego potrzebujesz. I tak jest, Jackson. A teraz potrzebujesz być ze swoją córką. Blisko niej. W każdej chwili. A ja będę w tym tylko przeszkadzać. Nawet mi przez myśl nie przeszło... To znaczy, kiedy próbowałam cię odzyskać, nie myślałam...

– Boisz się – powtarza. – Ale, kotku, nie ma w tym nic złego. Myślałaś, że jak raz zostajesz rodzicem, to nagle wszystkie zmartwienia znikają we mgle?

– Nie wiem. Właśnie o to chodzi. – Opadam na brzeg łóżka. – Ale nie mogę eksperymentować na życiu tej małej. Jackson, Jezus, spójrz na mnie. Jestem kompletnie w proszku. Nie umiem nawet wygrzebać się ze swoich własnych koszmarów, a co dopiero pomóc Ronnie.

– Umiesz. Zobacz, przy całym tym zamieszaniu z twoim ojcem, moim aresztowaniem, wszystkim, co stało się wcześniej, już dawno nie miałaś ani jednego. – Łapie mnie mocno za ramiona. – Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje.

– Może i tak. Ale to mnie przerasta.

– Pomogę ci.

Ale ja tylko kręcę głową.

– Nie rozumiesz? Właśnie w tym rzecz. Jeżeli mam być twoją żoną, to ja powinnam umieć ci pomóc, a nie być jeszcze ciężarem.

– Syl... – W jego głosie pojawia się obawa i wiem, że zaczyna rozumieć, do czego prowadzę.

– Powiedziałam ci już, że nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobiła, żeby z tobą być. I wiem, że zmusiłam cię, żebyś do mnie wrócił. Walczyłam o ciebie. O nią. I Bóg mi świadkiem, że to było naprawdę. Ale pomyliłam się, Jackson. Nie chcę wystawiać twojej córki na takie ryzyko. Nie podołam temu. Nigdy nie powinnam była się na to zgodzić. To był błąd. Myślałam tylko o sobie. Zachęciło mnie, że tak we mnie wierzysz i potwornie się bałam, że mogę cię stracić. Ale zapomniałam, że wiara to nie wszystko, a strach to megasłaby powód do czegokolwiek.

Zrywam się, bo nie mogę usiedzieć. Więcej, muszę stąd wyjść.

– Kochanie, proszę cię, poczekaj.

– Nie mogę. Przepraszam cię Jackson. Muszę iść. Potrzebuję... – urywam w połowie zdania. Bo tak naprawdę to jego potrzebuję. Ale gdy przechodzę przez hol i zostawiam pierścionek na szafce przy drzwiach, już nie wierzę, że mogę go mieć.

Rozdział 28

Przez resztę niedzieli snuję się po mieszkaniu i oglądam powtórki *Jak poznałem waszą matkę*, ale ani razu nie wybucham śmiechem. Tak naprawdę to ledwo rejestruję, co dzieje się na ekranie, całkowicie pogrążona w myślach.

W poniedziałek dzwoni Cass, żeby dowiedzieć się, jak się miewam i zapewniam ją, że wszystko w porządku, co jak obie wiemy, jest jednym, wielkim, wysanym z palca kłamstwem. Poprzedniego dnia zadzwoniłam do niej i wszystko opowiedziałam, od nocnego koszmaru Ronnie, przez zakupy w sklepie, aż do mojego odejścia. Trudno, żebym w ciągu jednego dnia z kupki nieszczęścia wróciła do normy.

– Wpadnę do ciebie po pracy – zapowiada. – Musimy pogadać.

– Nie, proszę. Chcę być trochę sama. Chcę... Chyba chcę spróbować przetrwać to sama.

Słyszę wahanie po drugiej stronie i rozumiem ją. Cass przeszła ze mną przez praktycznie wszystkie największe kryzysy w moim życiu. A kiedy jej nie było, to wtedy był Jackson.

I właśnie dlatego chcę być teraz sama. Muszę sprawdzić, czy dam radę uporać się z tym bez niczyjej pomocy. Bo na razie kotłuje się we mnie złość i strach i oszołomienie, i ciąży mi w brzuchu jak wielka emocjonalna kula, na której co chwilę pojawia się jakiś jaskrawy napis ostrzegawczy, na przykład: „ojciec” albo „Jackson”, albo „Ronnie”, czy znowu „rodzice” albo „decyzja”.

– Wiesz, że jakby co, to jestem.

– Dzięki.

– Wybierasz się do mnie do studia?

To pytanie też świetnie rozumiem. Pyta, czy trzeba będzie zrobić mi kolejny tatuaż, pomóc mi znaleźć siłę. Przypominać, który pozwoli mi przetrwać.

– Nie wiem – odpowiadam otwarcie.

– W porządku – wzdycha. – Jakby co, to wiesz.

– Wiem. Naprawdę. Poradzę sobie. – A potem wyrzucam z siebie, zanim się zdąży rozłączyć: – Cass!

– No?

Chcę zapytać, czy Jackson do niej nie zadzwonił, ale zmieniam zdanie. Nie potrzebuję słuchać o tym, co się dzieje w świecie, w którym nie jesteśmy już razem, choć nadal sądzę, że postąpiłam słusznie. I czy powie, że on się o mnie martwi, czy że za mną tęskni, czy że jest na mnie wściekły, to i tak będzie tak samo bolesne.

– Nie, nic.

Zapada długa cisza, a potem, jakby celowo chcąc uszanować moją wcześniejszą prośbę, mówi:

– Dobra. To pogadamy później.

Nie idę dzisiaj do pracy. Nie tylko ponieważ w ogóle nie jestem gotowa, żeby spotkać się z Jacksonem

w biurze, ale też dlatego, że adwokat ojca zaaranżował dla mnie wizytę w areszcie. Która jednak zaplanowana jest na szesnastą, co daje mi mnóstwo wolnego czasu. A że nie chcę znowu popadać w rozmyślanie, po raz kolejny szukam pocieszenia w telewizorze. Ale powtórki *Przyjaciół* też mnie bynajmniej nie śmieszą.

Dzwoni telefon i rzucam się ku niemu lecz w połowie drogi przystaję, bo uświadamiam sobie, że w głowie mam tylko jedno: Jackson.

Ale to nie on dzwoni. To Ethan.

– Hej – mówi. – Widziałas się już z tatą?

– Jeszcze nie – odpowiadam. – Idę za jakąś godzinę. A ty przyjeżdżasz jutro?

– Tak. Mam się z nim spotkać w południe. Powiesz mi?

– Jasne.

– A mama do ciebie dzwoniła?

Marszczę brwi.

– Nie. – Powiedzieć, że mam z matką napięte stosunki to jak określić czarny jako ciemny kolor. Nic nas nie łączy. Przez całe lata praktycznie dla niej nie istniałam i nie wiem nawet, czy ona w ogóle rozumie, co mi się przytrafiło. Co jej mąż zrobił jej córce. Po prostu spisała mnie na straty i całą uwagę przeniosła na Ethana, zostawiając mnie samą sobie. Choć biorąc pod uwagę, jacy są moi rodzice, to może w sumie i lepiej.

– Cholera, mówiłem jej, żeby to robiła. Nasz ojciec jest w pierdlu. Chyba wypada, żeby matka odezwała się do ciebie, nie?

Nie nasza matka, myślę. Ale mówię tylko:

– A co ona na to?

– Zapytała po co.

Wzdycham ciężko. Nie wiem, czemu mi to opowiada. Nic się przecież nie zmieniło między nami.

– Ja tylko... Wiem, że się nie popisała, Syl. Oboje wszystko spieprzyli. Ale to nie znaczy, że ty też taka będziesz.

Oblizuję wargi, ale nic nie mówię. Nie chcę wracać do tego tematu i żałuję, że w ogóle dałam mu znać, że odeszłam od Jacksona i Ronnie.

– Wiem, że zawsze mówiliśmy, że nie będziemy mieć dzieci, że to błędne koło, ale może niekoniecznie. Mogłabyś to przerwać.

– Właśnie to robiłam – odpowiadam.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Wiem, ale nie chcę o tym rozmawiać.

– Słuchaj, muszę iść się ubierać.

– Kurde, przepraszam. Nie powinienem był...

– W porządku – zapewniam szybko.

– Nie – zaprzecza stanowczo. – Nie w porządku. Słuchaj, dużo o tym myślałem. Chodzi o to, że ty go kochasz.

– Ethan, daj spokój. – Głos mi się załamuje przy każdym słowie.

– Syl, pozwól mi skończyć, do cholery. Wydaje ci się, że nie potrafisz być matką. Bo nie masz żadnego

wzorca do naśladowania. Ale to nieprawda. Nie rozumiesz? Ty sama jesteś dla siebie wzorcem.

Przeczuję włosy palcami, bo jestem za bardzo rozbita, żeby próbować zrozumieć, co ma na myśli.

– Ethan...

– To prawda. W sensie, jeżeli być rodzicem to troszczyć się o drugą osobę, być gotowym do poświęcenia i podjęcia najtrudniejszych decyzji, to na tym, trzeba przyznać, znasz się jak mało kto. Rozumiesz, Syl? Robiłaś to już, kiedy byliśmy mali.

Nabieram powietrza, bo uderza mnie siła jego słów i do oczu nabiegają mi łzy.

– Byłaś dla mnie bardziej rodzicem niż którekolwiek z nich. Przepraszam, jeżeli przeze mnie było ci to trudniej zauważyć. Podsyciałem twoje wątpliwości. Ale nie powinnaś się wahać. Bo z całą pewnością potrafisz to zrobić, Syl. Wierz mi, masz doświadczenie.

– Ja... – Nie mogę wykrztusić słowa przez łzy. Pociągam nosem i z trudem łapię oddech, po czym mówię mu, że muszę już kończyć. Bo nie mogę już tego słuchać. Nie jestem w stanie tego teraz roztrząsać, to dla mnie za dużo. Wszystkiego. – Przepraszam cię – dodaję – ale muszę być tam punktualnie.

Rozłączam się, nie czekając na jego pożegnanie.

Czy to możliwe, że może mieć rację? Chciałabym w to wierzyć, ale zanadto się boję. A nie mogę sobie pozwolić na pomyłki, bo w grę wchodzi życie tej małej dziewczynki.

Dwie godziny później siedzę w pokoju wizyt w miejscowym więzieniu, gdzie przebywa mój ojciec. Pomieszczenie jest surowe i zimne i chociaż nienawidzę ojca za to, co mi zrobił, to nie mogę znieść myśli, że miałby spędzić tu resztę swojego życia.

Drzwi otwierają się i wprowadzają mojego ojca w pomarańczowym kombinezonie i z kajdankami na rękach.

Wstaję i ruszam ku niemu.

– Kontakt fizyczny jest zabroniony – uprzedza strażnik w mundurze i zdaję sobie sprawę, że autentycznie chciałam uściskać mojego ojca – coś, co mi się nie zdarzyło, odkąd miałam trzynaście lat.

– Aha – mówię. – Tak.

– Będę na zewnątrz – informuje strażnik. – Tam nie słyhać, więc proszę dać znak, gdyby coś było trzeba.

Kiwam głową, a potem siadam za stołem naprzeciw mojego ojca. Strażnik rozkuwa mu jedną rękę i przypina ją do haka w stole. Następnie odwraca się i wychodzi, zamykając za sobą drzwi z dziwnie ostatecznie brzmiącym szczękiem.

– Zabiłeś Reeda – stwierdzam bez wstępów i dopiero, kiedy to mówię, uświadamiam sobie, że po raz pierwszy odkąd byłam mała, czuję opiekę ze strony tego człowieka. – Naprawdę to zabiłeś.

Patrzy mi prosto w oczy z prawdziwą serdecznością.

– Powinienem był to zrobić dawno temu.

Wbijam wzrok w blat stołu, bo nie chcę, żeby zobaczył, jak bardzo się z tym zgadzam. Zbieram się w sobie, wreszcie podnoszę głowę. Wiem, że mam oczy pełne wyrzutu.

– Pozwoliłeś, żeby wszystko spadło na Jacksona. Przez tyle czasu. Prawie go aresztowali. Prawie go skazali.

– Wiem. Przepraszam. Myślałem... Bałem się, cholera. Myślałem, że to się jakoś samo wyjaśni. Że przestaną się goczepiać, bo w końcu go przecież nie zabił. A potem sprawy się pokomplikowały i

zaczęłam się bać tego, co mi zrobią i dalej miałem nadzieję, że to się samo rozejdzie po kościach.

Wzdrygam się lekko. Nie podoba mi się to, co mówi, ale go rozumiem.

– I poszedłeś do niego już z takim zamiarem, żeby go zabić?

– Nie. Poszedłem, żeby zapytać o te zdjęcia, którymi cię szantażował. Twoje zdjęcia, o których powiedział mi Jackson. Ten łotr jeszcze się ze mnie natrząsał. Nawet wyciągnął jedno i mi pokazał. – Wzrusza ramionami. – I wtedy mnie poniosło. Złapałem za tę cholerną statuetkę i się na niego rzuciłem.

– Powiedziałeś to obrońcy? – pytam. – O tym, że widziałeś to zdjęcie? Bo z tego, co usłyszeliśmy, podobno zeznałeś, że zabiłeś go, żeby pomóc Jacksonowi. Ale jeżeli on cię sprowokował, to na pewno mogłoby to złagodzić ci wyrok.

– Nie zamierzam nic mówić o tych zdjęciach. Nie sądzisz chyba, że chciałbym, żeby to się wydało. W tej chwili nikt nic nie wie, tak?

Potakuję. Harriet wie o szantażu, ale to wynikło przy okazji zupełnie innej sprawy i na pewno nie powie ani słowa. Poza tym myśli, że u Reeda nadal nie znaleziono żadnych odbitek.

– Nic nie powiem – powtarza mój ojciec. – Nie chcę pakować cię w jeszcze większe szambo niż to, co już zrobiłem.

– Tato. – Zaczynam mrugać, bo oczy zaszczyły mi łzami.

Wyciąga rękę w moją stronę, ale kajdanki tamują mu ruchy.

– Boże, kochanie. Aż tak wszystko spieprzyłem? Zniszczyłem cię?

– Ja... – urywam, bo nie wiem, co powiedzieć. Tak? Nie? Czasami jestem w kompletnej rozsypce? Czasami jest w porządku?

Postanawiam przemilczeć, a mój ojciec wzdycha.

– Spieprzyłem, Sylvia. Wiem. I wiem, że wyrządziłem ci straszną krzywdę. Ale spójrz na siebie. Jesteś taka cholernie silna. Popatrz na wszystko, co osiągnęłaś. To, kim dzisiaj jesteś. Jesteś inteligentna i przebojowa, i nie odpuszczasz, jeżeli czegoś chcesz. I to pewnie tylko dlatego jestem jeszcze w stanie w ogóle dalej żyć. Bo pomimo tego, co ci zrobiłem, byłaś na tyle silna, żeby nie dać się zniszczyć.

Nabiera głęboko powietrza.

– Jackson to dobry facet. Przyznam, że miałem ochotę dojechać mu za to, że podetknął mi całą prawdę prosto pod nos. Ale cieszę się, że to zrobił. Zasługujesz na mężczyznę, który będzie cię chronił. Oboje wiemy, że twój stary nie sprawdził się na tym polu. Przynajmniej nie do czasu, aż zabiłem tę gnidę.

Dopiero kiedy pękata łza rozpryskuje się o blat metalowego stołu, dociera do mnie, że płaczę.

– Tato – mówię i utykam, bo nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu. Staram się uspokoić i biorę kilka wdechów, po czym próbuję znowu. – Tato, musisz powiedzieć im o szantażu. Muszą wiedzieć, że działałeś w afekcie. To na pewno ważne.

– Nie ma mowy.

– Jeżeli nie, to sama wyślę te zdjęcia do mediów i powiem o tym śledczym. – Kiedy mówię te słowa, wiem, że jestem gotowa to zrobić. Przez całe lata żyłam w strachu przed tymi fotografiami. Przed przeszłością, którą ukazują. Przed wstydem i upokorzeniem. Ale dosyć mam ich władzy nad sobą. Dosyć mam władzy Reeda nad sobą.

Jackson ma rację. Umiem zwalczyć moje koszmary. A żeby to zrobić, muszę wydrzeć Reedowi ostatni element jego kontroli nade mną.

– Nie, kochanie, nie. Już wypracowaliśmy dobrą ugodę. Najniższy możliwy wyrok. Bez premedytacji.

Najwyżej trzy lata.

Ma słuszność, wiem. To dobra ugoda. Ale mógłby dostać jeszcze mniej, gdybym ujawniła te zdjęcia.

Gdy to proponuję, ojciec kręci jednak zdecydowanie głową.

– Nie – mówi stanowczo i patrzy mi w oczy.

– Dlaczego? Ja sobie z tym poradzę. I gdybyśmy pokazali je tylko prokuratorowi, mogliby je nawet utajnić.

– Może i tak, ale ja chcę odbyć ten wyrok.

Mrugam oszołomiona.

– Jak to? Dlaczego?

– Jestem ci to winien, Elle – mówi łagodnie, nazywając mnie imieniem, którego przestałam używać, odkąd Reed zaczął mnie dotykać.

– Siedzenie w klatce niczego nie zmienia.

Uśmiecha się z bezgranicznym smutkiem.

– Może i nie. Ale ja poczuje się lepiej.

Strażnik stuka w szybę w drzwiach, dając znać, że czas kończyć wizytę.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam naprawdę ci wybaczyć, tato – mówię, a strażnik otwiera drzwi i podchodzi do niego. – Ale chyba chciałabym spróbować.

Rozdział 29

Jacksonowi udało się przetrwać do końca niedzieli tylko dlatego, że musiał zajmować się Ronnie. Z kolei poniedziałek przetrwał wyłącznie dzięki temu, że Stella zaopiekowała się Ronnie, a on mógł bez reszty pogрузić się w pracy.

Ale już po południu nawet projekt ośrodka nie wystarczał, żeby mógł się skupić. Był podminowany. Zagubiony. Zły.

Potrzebował się rozładować i od rana już kilkakrotnie myślał o tym, żeby zadzwonić do Suttera i poprosić go o otwarcie sali treningowej. Może nawet rozegrać z nim kilka rund? Ale pomyślał, żeby zatracić się w tańcu i unikach, w pocie i bólu, dać wycisk mięśniom i poczuć przypływ adrenaliny jakoś go dzisiaj nie korcił.

Wiedział przecież, jakiego lekarstwa mu potrzeba na to przygnębienie. Ale ona odeszła.

Niech to szlag jasny trafi!

Niech ją szlag jasny trafi! Próbował okazać cierpliwość. Chciał pomóc. A przy tym miał ochotę złapać ją za ramiona i wtłuc jej trochę rozumu do głowy. I do szału doprowadzał go fakt, że chociaż może mieć nad nią panowanie w łóżku, to w życiu musiała dokonywać swoich własnych wyborów i podejmować własne decyzje.

Oby ta była słuszna. Kochał ją i wiedział, że ona też go kocha. Chciał z nią zbudować rodzinę, wspólne życie. I całym sercem wierzył, że ona też tego chce. Ale się wycofała, ze strachu. I jedyne, co mu pozostało, to mieć nadzieję, że ta jej wewnętrzna siła sprowadzi ją z powrotem. Miała dużo siły. Namówiła go w końcu do powrotu, prawda?

Cholera.

Zerknął na zegar i zobaczył, że pora na podwieczorek Ronnie. Postanowił, że razem z córką i jej nianią zjedzą kanapkę z masłem orzechowym i dżemem. Był już praktycznie przy windzie, kiedy usłyszał wołanie swojej asystentki, Lauren.

– Przepraszam! Właśnie dzwoniła Rachel. Ktoś na pana czeka na trzydziestym piątym.

Sylvia? Niemożliwe. Chyba że krępuje się zejść. Pozwolił sobie na chwilę fantazji, wyobrażając sobie, że czeka na niego przy biurku. Ale, gdy dotarł na górę, okazało się, że to nie ona, co przyjął z rozczarowaniem, za to czekającym był Graham Elliot, co z kolei wprawiło Jacksona w konsternację.

– Pani Steele – rzekł Graham, podchodząc do niego z wyciągniętą ręką. – Przepraszam, że nachodzę pana w biurze. Widziałem się z Evelyn Dodge przy jednej czy dwóch nieformalnych okazjach i kiedy wspomniałem, że chciałbym z panem pomówić, zasugerowała, żebym przyszedł tutaj. – Błysnął hollywoodzkim uśmiechem w kierunku Rachel, który wyglądała, jakby miała zemdleć. – Pani Peters była tak miła i się mną zajęła.

– Eee... Może wody? Napije się pan wody? Albo kawy? Albo...

Graham pokręcił głową.

– Nie, dziękuję.

Jackson wsunął rękę w kieszenie spodni.

– Co mogę dla pana zrobić? – Starał się, żeby to zabrzmiało uprzejmie, ale nie był pewien, czy mu się udało. W końcu to był facet, który chciał zagrać jego rolę w filmie o domu Fletcherów. I przyczynić się do rozpętania skandalu, który odbiłby się boleśnie na życiu jego córeczki.

– W sumie to mam do pana dwie sprawy. Chciałem pogratulować panu oczyszczenia z zarzutów. I powiedzieć, że wycofuję się z filmu.

Jackson przestąpił z nogi na nogę. Nie żeby się rozluźnił – jeszcze nie – ale był zaintrygowany. I podejrzliwy.

– Naprawdę?

Z Grahama jakby uszło powietrze.

– Naruszę teraz klauzulę poufności, ale powinien pan wiedzieć, że pański ojciec zwąchał się z Reedem. Zależało mu na tym filmie. Wymyślił sobie, że zrobią na nim majątek. Nawet rozpuścił wiadomość o panu i pańskim bracie, kiedy sprawa się ślimaczyła. Liczył pewnie na ponowny wzrost zainteresowania.

Jackson stał nieruchomo.

– A pan? Dlaczego pan się w to zaangażował?

– Cóż, materiał jest świetny. I nie chodziło o oczernianie kogokolwiek. To, co się tam panu przydarzyło, panu i Fletcherom, to naprawdę kawał dobrego scenariusza i mógłby z tego powstać prawdziwy hit.

– Ale mimo to chce się pan wycofać.

Graham spojrzał mu w oczy.

– Tak – potwierdził. – Materiał nadal jest świetny, ale zmienił się mój punkt widzenia. Moja dziewczyna jest w ciąży. I gdyby ktoś próbował skrzywdzić moje dziecko, rozniósłbym go na miazgę. Ale tego chyba nie muszę panu wyjaśniać, prawda? Przecież właśnie dlatego próbowałem pan wstrzymać produkcję.

Jackson skinął głową.

– To prawda.

– Czy to pański ojciec był źródłem przecieku? W sensie, o pana córce?

– Nie wiem, ale nie sądzę. Podejrzewam, że dziennikarze odrobili lekcję i dokopali się do papierów sądowych w Nowym Meksyku.

Graham pokiwał głową.

– Nie mogę obiecać, że ktoś inny nie połakomi się na ten pomysł, ale mogę zagwarantować, że nie mają co liczyć na wsparcie z mojej strony. A skoro nie jest już pan podejrzany o zabójstwo, to tabloidy pewnie się odczepią. Moim zdaniem stracą zainteresowanie.

– Dziękuję – rzekł Jackson, ale oficjalny wydzźwięk tego słowa nie oddawał całego ogromu ulgi, jaką poczuł. – I gratuluję.

Na twarz Grahama wypłynął zabójczy uśmiech, któremu pewnie zawdzięczał swoją karierę.

– Dziękuję. To niesamowite, prawda?

– Co?

– Bycie ojcem. Wszystko wywraca się do góry nogami.

– Tak – odparł Jackson miękko. – To prawda.

Kilka minut później Graham zniknął za drzwiami windy, a Rachel na głos wypuściła powietrze.

– Uff!

Jackson uśmiechnął się wyrozumiale. Rachel mocno się sparzyła na oszustwach Trenta, więc niech sobie odbije pogawędką z gwiazdorem.

– Damien jest u siebie?

– Przykro mi, nie ma go. Mam coś przekazać?

Jackson potrząsnął głową.

– Nie. Porozmawiam z nim później. – Skierował się do windy z najszczerzym zamiarem, żeby złapać ekspres prosto do apartamentu. Ale zamiast tego wsiadł do zwykłej kabiny i zjechał na parking. Kiedy szedł do swojego porsche, w głowie mu szumiało. Oni naprawdę byli uszyci z jednego materiału, ojciec Sylvii i Jeremiah Stark. Tyle że ojciec Sylvii przynajmniej próbował naprawić to, co zniszczył, chociaż morderstwo to dość ekstremalny sposób na prośbę o wybaczenie.

A Jeremiah nie. On cały czas rozbijał Jacksonowi i Damienowi życie, jakby chcąc odłupać kawałek klejnotu, w nosie miał, że zniszczy cały kamień.

To było coś, czego Jackson nigdy by nie zrobił jako ojciec. Jasne, że pewnie zdarzą mu się pomyłki. Ale nie powtórzy błędów swojego ojca. Sylvia o tym wiedziała – był więcej niż pewien, że naprawdę wierzyła, że może wychować dziecko.

Tylko dlaczego, u diabła, nie mogła tego samego zobaczyć u siebie?

Już był na ulicy, kiedy zorientował się, że jedzie do Santa Monica. Chciał dać jej trochę czasu, ale jego cierpliwość właśnie się skończyła. Pragnął jej. Potrzebował jej.

I nie miał wątpliwości, że ona potrzebowała jego.

Najwyższy czas przywieźć do domu kobietę, z którą chciał się ożenić. Czas uświadomić jej, że powinna zostać. Że to może się udać.

Bo, do cholery, nie mógł jej znowu utracić.

Rozdział 30

Sama nie wiem dlaczego, ale po wizycie u ojca, zamiast wracać do domu, pojechałam do Van Nuys, pod wielką halę, w której znajdowało się studio Reeda, gdzie tak często bywałam na sesjach.

Teraz siedzę w moim nissanie na parkingu i tylko wpatruję się w te bezbarwne, odrapane ściany, całkowicie pozbawione wyrazu. I nic nie poradzę, ale nie mogę przestać zastanawiać się, co tam się za nimi dalej dzieje. Tak naprawdę, kto może powiedzieć, że wie, co się dzieje za jakąkolwiek ścianą? Albo w czyjejkolwiek głowie?

Nie wiem, co działo się wtedy w głowie mojego ojca, ale teraz mu wierzę. Jego skrucha jest autentyczna, a poświęcenie wydaje się uczciwe. Nigdy nie będę z nim tak blisko, jak Jackson będzie z Ronnie, ale chociaż wcześniej bym w to nie uwierzyła, naprawdę chciałabym spróbować już raz na zawsze się z tego wyleczyć. Przyjąć jego przeprosiny i jego pokutę, przepracować to, a następnie schować gdzieś głęboko i iść do przodu.

Zaczynam wycofywać samochód, nie do końca wiedząc, po co w ogóle tu przyjechałam. Koniec etapu? Być może. A może chciałam sama sobie pokazać, że to jeszcze nie piekło. Nie ma płomieni ani zapachu siarki, a wszelkie demony wokół mieszkaają wyłącznie w mojej głowie – i mogę je pokonać.

Wracam na autostradę i kieruję się w stronę Santa Monica, ale nie jadę do siebie, tylko przejeżdżam przez Brentwood, koło domu, gdzie mieszkaliśmy, kiedy byłam dzieckiem. To tutaj zaczęła się moja pasja z fotografowaniem domów, bo w głowie mi się nie mieściło, że taki piękny dom mógł skrywać takie wstrętne sekrety. Był tylko pustą fasadą i zastanawiałam się, czy na przykład w innych domach w mieście działo się coś podobnego.

Jedno, co pewne, to że nic takiego nie będzie miało miejsca w domu, który Jackson zbuduje w Palisades. Tam będzie miłość i szczerłość. I wydaje mi się, że to najważniejsze.

Myślę o tym, jak budzę się tam co rano obok Jacksona. Wyobrażam sobie, jak do pokoju wpada Ronnie i podskakuje na łóżku. I jak siedzę na tarasie, popijając kawę rano, a wino wieczorem, zapatrzona w bezkres oceanu.

Myślę o małej dziewczynce i szczeniaku, i mężczyźnie, którego kocham.

Pragnę tego. Boże, jak strasznie bym tego chciała.

Cały czas się boję, ale mogę się przecież nauczyć. Nie będę jak moja matka, która usuwała się na bok wobec każdej przeciwności losu. Albo jak mój ojciec, któremu kilkadziesiąt lat zajęła próba naprawienia błędów z przeszłości i zadbania o córkę.

Nie będzie łatwo. Potknę się nie raz.

Ale Jackson mnie złapie, więc nie upadnę.

Jackson.

Nagle mam wrażenie, że nie mogę czekać ani sekundy dłużej, żeby go zobaczyć. Zawracam gwałtownie i jadę w przeciwnym kierunku, z powrotem do centrum, do Tower.

Ruch jest makabryczny, a każda sekunda jest potworną męczarnią. Wreszcie bezładnie parkuję na swoim miejscu i wjeżdżam do apartamentu na szczycie. Wpadam do holu i zaczynam wołać jego, Ronnie i Stellę.

Odpowiada mi głucha cisza. I w tym momencie jestem pewna, że wszystko straciłam. Że udało mi się przekonać go, że nie warto ze mną ryzykować. Że moja nieporadność zagroziłaby jego relacji z córką.

Że lepiej będzie dla Ronnie, jeżeli zniknę z ich życia.

Matko, co ja najlepszego zrobiłam?

Rozglądam się bezradnie po mieszkaniu, nie rozumiejąc, gdzie się wszyscy podziali. Próbuję do niego zadzwonić, ale nie odpowiada i czuję się jeszcze bardziej zagubiona. Jeszcze bardziej samotna.

Oczywiście rozsądek mówi mi, że puste mieszkanie niekoniecznie musi to właśnie oznaczać, ale jestem za bardzo zmęczona. Tak zaciekle walczyłam o to, żeby się przełamać, że teraz kiedy już rozumiałam swój błąd, trudno mi uwierzyć, że nagle wszystko miałoby się ułożyć. Z mojego doświadczenia wynika, że najczęściej jest zupełnie odwrotnie.

Próbuję jednak o tym nie myśleć. Wmawiam sobie, że teraz muszę tylko spać.

Gdy wracam do domu, nawet mi się nie chce zjeżdżać na lewy pas. Jadę powoli, jak pijany, który w ogóle nie powinien prowadzić i rozpaczliwie próbuje się skupić. Schody do mojego mieszkania pokonuję jak we śnie. Jedno, co chcę teraz zrobić, to zwinąć się pod kołdrą. Jutro spróbuję znowu. A jeżeli Jackson odszedł, to pójdę do Cass po następny tatuaż, bo taki ból trzeba nie tylko znieść, ale i zapamiętać.

W mieszkaniu jest ciemno i wyrzucam sobie, że zapomniałam zostawić światło w korytarzu, jak to mam w zwyczaju. Dwoma kopniakami pozbywam się butów i po omacku kieruję się do sypialni, zdejmując jednocześnie koszulkę i biustonosz. Po drodze ściągam dzinsy i rzucam je na oparcie kanapy i już całkiem naga pokonuję krótką odległość do drzwi mojej sypialni.

Stoję w progu, gdy rozlega się jego głos. Tylko jedno słowo. Tylko moje imię, ale jest w nim wszystko.

– Sylvia.

Staję w miejscu, bez ubrania i po raz pierwszy czuję się skrępowana w obecności Jacksona. Oczy przyzwyczajają mi się stopniowo do mroku i widzę, jak wstaje z łóżka i podchodzi do mnie. Zatrzymuje się kilka centymetrów ode mnie i nagle jestem świadoma każdego swojego oddechu. Odczuwam każdy włoszek na mojej skórze. Odbieram jego bliskość. I tak, mam wielką potrzebę.

Przesuwam językiem po wargach.

– Byłam u ciebie w apartamencie.

– Zabawne – odpowiada miękko. – Bo ja byłem tutaj.

Robi krok w lewo, w stronę krzesła stojącego przy drzwiach. Wisi na nim mój szlafrok. Jackson podnosi go i podaje mi. I ten zwykły gest, z pozoru po prostu uprzejmy, mrozi mi krew w żyłach.

Oddycham nierówno i z ust wymyka mi się charczenie. Przyciskam szlafrok do ciała, ale go nie zakładam.

– Jackson, ja... Przepraszam. – Staram się wyczytać coś z jego twarzy, ale nie potrafię. – Czy tym

razem już wszystko zniszczyłam? Nie chcę stracić ciebie ani Ronnie, tylko przez to, że się bałam.

– Bałaś? To teraz już się nie boisz?

Wbijam wzrok w ziemię.

– Boję – odpowiadam. – Ale to jest strach przed „co by było, gdyby”, a ja nie chcę tak żyć. Pewnie, że nadal się boję, że coś spieprzę, ale wolę już ryzyko niż w ogóle nie spróbować. – Podnoszę głowę i spoglądam mu w oczy. – Kocham cię Jackson i tak się boję, że cię utraciłam.

Zmienia się na twarzy. Bije z niego światło czułości i ulgi. A gdy podchodzi do mnie, nie mogę nie zauważyć, jak dżinsy napinają mu się wokół wybrzuszenia z przodu.

– To jeszcze nie wiesz, że nie możesz mnie stracić? – Kładzie mi rękę na twarzy i gładzi mnie po policzku. – Myślisz, że ja nie wiem, co to znaczy strach? Jestem ojcem, jestem zakochany, to wszystko niesie ze sobą przerażające wybory. Ale wybór ciebie, wybór nas, w ogóle mnie nie przeraża.

Serce mi się ściska ze wzruszenia i nie mogę już dłużej czekać. Potrzebuję jego dotyku na poparcie słów. Muszę wiedzieć, że naprawdę znowu jesteśmy razem i że świat wrócił do normalności.

Upuszczam szlafrok i bez uprzedzenia przyciągam go mocno do siebie. Pożeram jego usta i przywieram do niego piersiami.

Zsuwam rękę niżej i podszczypuję mu tyłek, po czym przyciągam do siebie tak blisko, aż mogę go poczuć przez materiał spodni. Wydaje z siebie jęk tak nabrzmiały pragnieniem, że niemal odczuwam jego wibracje, jak przenikają mnie i rozpalają wszystkie moje zmysły. Stoję naga i rozplómięta, a moje ciało natychmiast reaguje, gdy jego krocze styka się z moim.

Jedną rękę trzyma mi na biodrze. Biorę ją i odsuwam się o krok, żeby zrobić miejsce i móc wsunąć ją sobie między nogi. Jestem mokra i śliska.

– Jestem twoja – mówię ochryple, a moje słowa rozszarpuje niewielki, nieoczekiwany orgazm, który rozsypuje mi się po ciele milionem iskierek. – A ty jesteś mój.

– Caluteńki.

Podtrzymuję mój wzrok na tyle, że widzę żądzę i obietnicę w jego oczach. A także zrozumienie. Potem zabiera rękę, co jeszcze bardziej tylko mnie rozstraja. Oblizuje sobie palce do czysta, a moja mycha aż zaciska się w odpowiedzi na ten prosty, erotyczny gest.

Robi krok do tyłu i zdejmuję koszulkę przez głowę. Następnie sięga do rozporoka.

– Nie – mówię i podchodzę bliżej. Rozpinam guziki i zsuwam mu spodnie z bioder razem z bokserkami. Jego członek napina się wyraźnie i z trudem skrywam uśmiech zadowolenia.

Zsuwam się w dół po jego ciele, aż opadam na kolana z jego sztywnym, wspaniałym fiutem tuż przed sobą. Odchyłam głowę, żeby na niego popatrzeć. Nasze spojrzenia krzyżują się i widzę, że on doskonale rozumie, co się dzieje. Bo to coś więcej niż tylko pragnienie i potrzeba. To moje przeprosiny, moje poddanie i moja obietnica.

Pobudzam go najpierw, przesuwając językiem wzdłuż całej jego męskości i pieścąc koniuszek. Ale chcę znacznie więcej. Chcę zabrać go daleko. Chcę dać mu tę chwilę, kiedy wszystko znika i będzie wyłącznie cudownym kłębowiskiem doznań i emocji. Chcę zatrzeć ból, który spowodowałam.

Biorę jądra do ręki i pochłaniam ustami członek, a gdy czuję jego męski, charakterystyczny smak, moje brodawki twardnieją i całe moje ciało domaga się pieszczot. Ale skupiam się na Jacksonie. Na tym, jak rozpaczliwie podpira się ręką, próbując utrzymać równowagę. Na jego głębokim rżeniu wzmagającym

się wraz z narastaniem napięcia.

A także – och, tak – na jego ręce na mojej głowie, która naprowadza mnie w miarę, jak zbliża się coraz bardziej, aż wreszcie wybucha mi w ustach.

Trzyma mnie w miejscu, więc nie mam wyjścia i połykam, a potem wstaję i całuję go, oddając mu jego smak, podczas gdy jego ręka przemyka do mojego krocza i zaczyna rozpalać mi łechtaczkę.

– Twoja kolej.

Piszczę, gdy mnie podnosi, po czym układa na łóżku. Powoli przesuwa po mnie palcem, a ja wpadam w obłęd od jego dotyku, bo nie ma takiego fragmentu, który by ominął. Rzucam się i wiję, rozżarzona i nabuzowana. Nie przestaje. Nie, dopóki każdy najmniejszy nerw w moim ciele nie komunikuje się bezpośrednio z centrum, a kiedy wchodzi we mnie, pobudzając mi przy tym łechtaczkę, przenika mnie kaskada cudownych dreszczy. Czuję się, jakby wschodziło we mnie słońce i rozświetlało od środka każdą komórkę mojego ciała, coraz jaśniej i jaśniej, aż w końcu nie mogę pomieścić już tej jasności i rozpryskuję się w setki słonecznych promieni.

Powoli dochodzę do siebie, cała rozdygotana i przytulam się do jego ramienia.

– Czy to u każdego tak działa? – pytam. – Ta intensywność. To poczucie, że mogłabym uschnąć, jeżeli cię zaraz nie dotknę. – Odchylam głowę i patrzę mu w oczy. – Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

– Wiesz, że wiem.

– A może to dlatego, że oboje się trochę pogubiliśmy, ty i ja?

Całuje mnie w czubek głowy.

– Pogubiliśmy? Nie, skarbie. Już nie. Właśnie się odnaleźliśmy.

Po dłuższej chwili, wyciąga spod nas kołdrę i okrywa nią nas oboje. Gdy się układamy od nowa, obraca się, żeby wziąć coś z szafki przy łóżku. Od razu wiem, co to jest – pierścionek jego babci. Mój pierścionek. Ten, który zostawiłam.

– Ty mi się już raz oświadczyłaś. Teraz moja kolej.

Wysuwa się z łóżka i zachwycona patrzę, jak pada na jedno kolano i wyciąga do mnie rękę z pierścionkiem.

– Sylvio Brooks, czy zechciałabyś zostać moją żoną?

Patrzę na niego, nie mogąc pohamować uśmiechu.

Drugie szanse. Tak najwyraźniej będzie wyglądać moje życie z Jacksonem.

I nie ma mowy, żebym tę zaprzepaściła.

– Tak – mówię, po czym wciągam go z powrotem na łóżko i całuję czule. W głowie kołacze mi się tylko jedno. Żona, myślę.

I nie mogę się już doczekać.

Epilog

Stoję na głównej plaży na Santa Cortez z Jacksonem u boku i ze światem, który sami stworzyliśmy za plecami. Ośrodek jest nowy, czysty i tak doskonale wkomponowany w krajobraz, że trudno uwierzyć, że nie pojawił się wraz z formowaniem się wyspy.

Wszystko jest gotowe. Pokoje dla gości są wyszykowane na wysoki połysk i wyposażone w świeżutką pościel. Spizarnie restauracji pękają w szwach. Półki w sklepach z pamiątkami uginają się pod ciężarem towarów. Baseny migoczą w słońcu. Nie został pominięty żaden najdrobniejszy szczegół i każda gazeta, i każdy magazyn, który coś o ośrodku napisał, uznał go za spektakularne zwieńczenie działalności Stark Real Estate Development.

Zainteresowanie jest już przeogromne i mamy komplet rezerwacji na dwa lata do przodu.

Oficjalne otwarcie miało miejsce jakiś miesiąc temu, ale na wyspie roi się już od pracowników administracji, obsługi i utrzymania. Większość z nich przeniosła się na wyspę na stałe. Ale dzisiaj jest jeszcze kilkanaście dodatkowych osób, które nie mieszkają tutaj na co dzień.

Przyjechali na nasz ślub.

Urządник kończy czytać nam słowa przysięgi, ale ledwo do mnie dociera jego głos. Trudno dosłyszeć coś z góry, kiedy się człowiek unosi na chmurze euforii.

Lecz kiedy pyta, czy mamy obrączki, a Ronnie zaczyna podskakiwać i piszczeć: – Ja mam! Ja mam! – wtedy wiem, że to się dzieje naprawdę.

Biorę obrączkę Jacksona z małej poduszeczki, którą mi podaje, po czym wsuwam mu delikatnie na palec, nie odrywając wzroku od jego oczu.

On robi następnie to samo i przysięgam, że czuję, jak ta chwila zapada się we mnie, ta nowa rzeczywistość osiada we mnie w chwili, gdy obrączka obejmuje mój palec, tak jak Jackson objął moje życie.

– Może pan pocałować pannę młodą – mówi urzędnik, a Jacksonowi nie trzeba tego dwa razy powtarzać. Przyciąga mnie do siebie, odchyła mnie do tyłu i całuje słodko przy aplauzie i gwizdach naszej skromnej publiczności.

– Witaj, żono – mówi Jackson, kiedy stawia mnie z powrotem w pionie.

– Witaj, mężu – odpowiadam, otaczam go ramionami i wzdycham z lubością.

– Niedługo sobie pójdziemy – obiecuje Nikki, która podchodzi do nas razem z Damienem – ale wcześniej czeka małe przyjęcie w głównej restauracji.

Zerkam na Jacksona, który kręci głową. Nie mieliśmy zamiaru organizować przyjęcia. Tylko szybki ślub, zanim porwie mnie wir pracy po otwarciu ośrodka.

No i rzecz jasna długi weekend na wyspie w ramach miodowego miesiąca.

Według planu dwanaście ekskluzywnych domków na północy wyspy jest przeznaczonych na sprzedaż. Nikki i Damien, znani od tej pory jako moja szwagierka i szwagier, ofiarowali nam jeden jako prezent ślubny.

– Taki drobiazg dla młodej pary – powiedział Jacksonowi Damien, najwyraźniej powstrzymując śmiech. – Pomyślałem, że skoro sam je zaprojektowałaś, to powinny ci się podobać.

Jackson roześmiał się. Obwiałam się, że nie przyjmie tak ekstrawaganckiego prezentu, ale odparł tylko:

– O, nawet nie wiesz, jak bardzo.

Teraz pochyła się, żeby podnieść Ronnie – już oficjalnie Veronicę Amelię Steele – i posadzić ją sobie na ramionach, po czym bierze mnie za rękę i razem idziemy na wesele.

Nie założył na plażę butów, ale powiedział mi, że nie może wziąć ślubu bez garnituru, który jest czarny i doskonale uszyty, a wysokiej jakości materiał połyskuje w słońcu. Jedyne, na co się zgodził, żeby uniknąć zadęcia, to brak krawata. Ma otwarty kołnierz i, gdy zwraca się do mnie szczęśliwy i uśmiechnięty, widzę nasadę jego szyi.

Ogarnia mnie przemożna chęć, żeby go tam pocałować. Polizać i porozkoszować się jego smakiem. Bo teraz naprawdę jest cały mój. Każdy jego apetyczny centymetr.

Opanowuję się jednak – mamy teraz dla siebie całe życie.

W odróżnieniu od mojego męża, ja uwzględniłam piasek przy wyborze kreacji. Mam na sobie białą, jedwabną bluzeczkę przetykaną gdzieś srebrną nitką i powiewającą białą spódnicę. Nie jest przezroczysta, chociaż może sprawiać takie wrażenie, a warstwy tiulu powiewają na wietrze, kiedy się poruszam.

Gdy wchodzimy do restauracji, jedna z kapel ośrodka już gra na scenie, a pośrodku parkietu stoi przepiękny, trzypiętrowy tort weselny. Ronnie wyrywa się do przodu, przypada do niego, a potem odwraca się z wielkimi, rozemocjonowanymi oczami.

– Mamo! Tato! Tort! – Podskakuje i z zachwytem klaszcze w rączki, aż wszyscy wokół wybuchają śmiechem. Za to ja z trudem hamuję łzy.

Bo dzisiaj naprawdę jestem w końcu mamą. A w przyszłym miesiącu już całkiem, bo wtedy skończy się proces mojej adopcji Ronnie.

Wiem, że nie jestem idealną matką i czasami zdarza mi się patrzeć na Ronnie i zachodzić w głowę, co ja, do cholery, wyprawiam. Ale wiem jednocześnie, że robię wszystko, co mogę. I wiem, że zawsze mogę liczyć na Jacksona.

Więcej, ja już się nawet nie boję. Bo wiem, że Ronnie rozwija się zdrowo, jest szczęśliwa i kochana, a to jest najważniejsze.

Biorę Jacksona za rękę i ściskam. Patrzy na mnie z góry i czule całuje mnie w czoło.

– Wiem – mówi łagodnie. – Ja też.

Idziemy zatańczyć, Jackson i ja, a potem Jackson tańczy z Ronnie, a ja z Ethanem, który przez całą ceremonię szczerzył się jak pajac. Odbija mnie Cass, która szepcze, że dałam jej do myślenia i zerka na Siobhan, która siedzi przy jednym ze stolików i z najwyższą powagą konwersuje z Ronnie. Tańczę nawet z Damienem, podczas gdy Jackson obraca obok Nikki.

Betty i Stella też tu są, razem z Megan, która wygląda na szczęśliwą i w dobrej formie w swojej

zwiewnej, żółtej sukience. Jackson porywa ją razem z Ronnie na parkiet, kiedy zespół zaczyna grać *The Twist*. Taniec nie trwa długo, bo mała gubi krok, co chwila wybuchając śmiechem i krzycząc:

– Tata! Meggi! Twistujemy!

Ze wszystkich bliskich nam osób rzuca się w oczy nieobecność naszych ojców i mojej mamy. Mojemu ojcu zostało jeszcze kilka miesięcy z wynegocjowanego wyroku. Moja matka nie przyszła, bo jest taka, jaka jest i już się z tym pogodziłam. A Jeremiah nie został zaproszony.

Rzecz jasna Jackson powtórzył mi swoją rozmowę z Grahamem Elliotem. I chociaż Jeremiah przysięgał mu później, że nigdy nie naciskałby na ten film, gdyby tylko wiedział o Ronnie, dla Jacksona było już za późno.

Bo zdrada Jeremiaha nie dotyczyła Ronnie. Nie dotyczyła nawet tego filmu. Jeremiah posłużył się Jacksonem dla własnych korzyści. I Jackson powiedział mu głośno i wyraźnie, żeby zniknął z jego życia na dobre, a więc i z jego ślubu.

Ale dzisiaj nie chcę myśleć o Jeremiahu Starku. Nie w dzień mojego ślubu, kiedy dookoła jest mnóstwo jedzenia, śmiechu i zabawy. A przede wszystkim, jest tu wśród nas miłość. I kiedy impreza dobiega końca, Damien i Nikki zabierają Ronnie ze sobą do Malibu na długi weekend, i żegnamy się z przyjaciółmi i naszą małą kruszynką, nie odstępując Jacksona na krok.

– Wiem, że miesiąc miodowy to nie miejsce dla dzieci – mówi Jackson, kiedy idziemy za rękę do naszego domku – ale tak się przyzwyczaiłem do jej obecności, że dziwnie mi nagle bez niej.

Słońce chyli się ku zachodowi i całe niebo zalewają ognistopurpurowe smugi światła.

– W sensie, wszystko w porządku – dodaje – ale trochę dziwnie.

– Może będę mogła coś na to poradzić – mówię i zatrzymuję go w pół kroku. Potem kładę sobie nasze złożone dłonie na podbrzuszu.

Waham się tylko chwilę, po czym podnoszę głowę i patrzę na niego.

– Jest tu z nami na wyspie inne dziecko, Jackson.

W jego oczach maluje się zaskoczenie i niedowierzanie, a potem – dzięki Bogu – tak ogromna radość, że robi mi się słabo.

– Jesteś w ciąży? – pyta, ale nie mogę odpowiedzieć, bo moje „tak” ginie w salwie pisku, gdy niespodziewanie chwytą mnie na rękę i przytula sobie do piersi.

– Kocham cię – mówi tylko, a ja mam wrażenie, że wypełnia mnie ciepłe światło. Radość oczekiwania i podekscytowanie. Bo dla mnie i dla Jacksona, dla naszej rodziny, życie dopiero się rozpoczyna. A będzie po prostu piękne.

Przypisy

[\[1\]](#) William Szekspir *Hamlet*, tłum. Józef Paszkowski.